

MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 8 (323) • ROK XXVIII • SIERPIEŃ 2022



CZAS
PTASICH PODRÓŻY

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fot. Zbigniew Luthowski



Istniejąca od 60 lat restauracja „Albatros” w Augustowie ma swój niezwykły wyróżnik. W 2017 roku lokalne władze samorządowe umieściły przed wejściem do lokalu pomnik – ławeczkę z postacią Beaty z „Albatrosa”, bohaterki tekstu piosenki Janusza Laskowskiego. Drugą ławeczkę w Augustowie podarowano Marii Koterbskiej, piosenkarce wywodzącej się z Bielska-Białej (za „Augustowskie noce”).

Szczegóły str. 32

fot. Vilensija/wikipedia



Miasteczko Ejszyszki na Litwie uchodzi za polską enklawę za granicą. Nadal żyje tu sporo Polaków kontynuujących rodzime tradycje i kulturę, także dzięki polonijnym placówkom. Z szefową jednej z takich instytucji, Aną Jesvilienė, dyrektorem Domu Polskiego w Ejszyszkach, o przeszłości oraz perspektywach na przyszłość, rozmawia Agnieszka Zielińska. Na zdjęciu stara zabudowa Ejszyszek.

Szczegóły str. 34

fot. Janusz Plevniak



Most nad rzeką Wupper – jeden z cudów techniki, budowano od 1893 do 1897 roku. Ma długość 465 i wysokość 107 metrów. Jest największym tego typu mostem w Europie. Biegnie nim trasa kolejowa łącząca Düsseldorf i Wuppertal z Solingen i Remscheid. Most od chwili oddania do użytku był nieustannie wykorzystywany, aż do nagłego zamknięcia w roku 2010. Na zdjęciu znajdująca się pod mostem restauracja, goszcząca turystów chcących obejrzeć stojący nadal choć nieczynny już obiekt.

Szczegóły str. 48

fot. Jacek Kaczorowski



Właścicielem tej blaszki z nesesera, wykopanej niedawno w lesie pod Starymi Budami, był pilot Aeroklubu Śląskiego, a zarazem polski prokurator – Zbigniew Rowiński, który w roku 1943 został wydelegowany do Katynia. Przypominamy niezwykle losy tego żołnierza Września.

Szczegóły str. 53

Nr 8 (323). Rok XXVIII. SIERPIEŃ 2022

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIESŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WARONSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. z o.o.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1500 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE - SPIS ZAŁOŻYCIELI
4 *Piotr Skowronek* WARTOŚĆ NARODOWEJ PAMIĘCI ROZMOWA Z DYREKTOREM
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ W KATOWICACH
8 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (ZAPISKI
I ROZMOWY)
11 *Grażyna Ogrodowska* FABUŁA TO WAKACJE DLA ZMĘCZONYCH DOKUMEN-
TALISTÓW. ROZMOWA Z BEATĄ DZIANOWICZ
14 *Antoni Wilgusiewicz* Z KRESÓW WSCHODNICH NA ZACHODNIE. LWOWIANIE
I KRESOWIANIE W PANTEONIE GÓRNOŚLĄSKIM
18 ks. *Henryk Pyka* IMPERIALNE POGWARKI
20 *Wilhelm Szewczyk* PAMIĘTNIK (6) Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*
25 *Ryszard Twardoń* SZEJKOWIE Z LECHISTANU
30 *Grzegorz Opala* WSPOMINAJĄC PROFESORA WŁADYSŁAWA WOJCIECHA
NASIŁOWSKIEGO
32 *Zbigniew Lubowski* MUZYCZNE ŁAWECZKI ROBIĄ FURORĘ
34 *Agnieszka Zielińska* GOŚCINNE PROGI DOMÓW POLSKICH NA LITWIE. ROZ-
MOWA Z ANĄ JESVILIENĖ, DYREKTOREM DOMU POLSKIEGO W EJSZYSZKACH
44 *Janusz Plewniak* KU GRANI
48 *Janusz Plewniak* ZATRZYMANE MOST
49 *Janusz Plewniak* ŚNIEŻKOWE ŻYCIE
53 *Tadeusz Loster* BLASZKA Z NESESERA – NAGRODA PPOR. PILOTA ZBIGNIE-
WA ROWIŃSKIEGO
58 *Wojciech Lipowski* W ŚWIECIE MIGOTLIWYCH ZNACZEŃ
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* MOJE PRZEMYŚLENIA O MYŚLI
MYŚLIWSKIEGO
76 *Marian Kisiel* WIECZNIKIE OGARNIAJĄCA PRZYJAŹŃ ALINA KOWALCZYKOWA
9 LUTEGO 1936 – 13 SIERPNIA 2022

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 GALERIA: SŁAWOMIR KONKOL – FOTOGRAFIA

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Marian Kisiel* PO TO PRZYSZEDŁEM, ABY WAS OCALIĆ
16 *Eligiusz Dymowski* WIERSZE
37 *Marian Kisiel* WIERSZE
40 *Jacek Okoń* AKCJA „MADONNA”
45 *Piotr Zaczkowski* BAJKI W KRZYZYSIE
74 *Juliusz Wątroba* MYŚLI

FELIETONY

- 36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA. *Jan Miodek* ZE ŚWIDNICY DO DZIECEK
W REPTACH
38 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* PAMIĘTNIK STAREGO NAUCZYCIELA
39 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* 4. FESTIWAL IM. BOGU-
SŁAWA KACZYŃSKIEGO
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* JUBILER KLAWIATURY
79 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* ŚLUBNY PREZENT. O PRZYJAŹNI JERZEGO BUZKA
I JANA KUBISZA

KSIĄŻKI

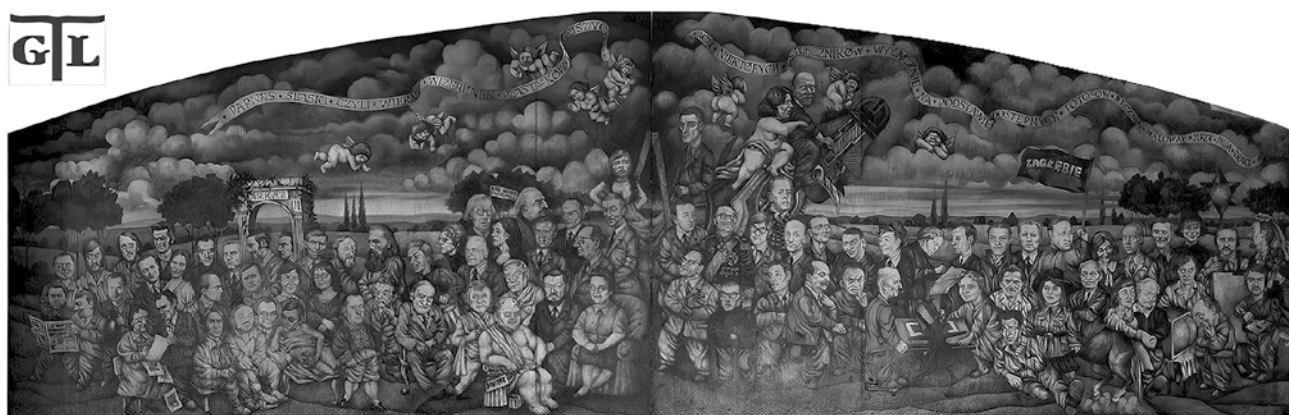
- 62 *Marian Kisiel* MODOWA BLOGOSFERA
64 *Piotr Skowronek* „POTEM IDZIE GŁADKO”
65 *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* WSZYSTKO ŁĄCZY SŁOWO
66 *Katarzyna Dziubała* MUZYKA JEST (OD)WAŻNA
67 KSIĄŻKI NADEŚLANE

80 ZAPOWIEDZI

Na okładce:

Bobak Paulina, Nieobecni VIII, olej na płótnie 160x160 cm.





GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE w Katowicach

Spis członków–założycieli GTL

Babuchowski Andrzej	Korsewicz Maria	Sierny Tadeusz
Berger Waław Adam	Kowalski Kazimierz	Sikora Jacek
Bieniasz Stanisław	Krasnodebski Jan Paweł	Sikora Władysław
Bochenek Władysław	Krawczyk Stanisław	Skopowski Romuald
Duda Harry	Krupiński Józef	Słobodnik Grzegorz
Dziaczek Mieczysław	Krzemiński Krystian	Soroczyński Tadeusz
Dziadul Jan	Kuśnierczyk Andrzej	Stanlik Mieczysław
Fast Piotr	Kutz Kazimierz	Strzewiczek Albert
Filipkowa Anna	Lubaś Anna	Szewczyk Grażyna
Fox Marta	Lubosz Bolesław	Szopa Edward
Gębala Stanisław	Malicki Jan	Trepka Andrzej
Gola Stanisław	Młynarczyk Katarzyna	Tytko Jan
Golonka Jacek	Moliński Rudolf	Waksmański Jerzy
Hadasz Krystian	Musiół Józef	Waszel Lucyna
Hałas Marcin	Nastulczyk Franciszek	Wątroba Juliusz
Hanke Rajmund	Netz Feliks	Wernerowa Anna
Horzyk Piotr	Niedoba Andrzej	Widera Aleksander
Janota Wojciech	Niezgoda Bolesław	Wilczek Piotr
Jaworski Kazimierz	Pałasz Andrzej	Wojnarowski Edmund
Jędroz Piotr	Parma Ewa	Wójcik Włodzimierz
John Andrzej A.	Pierzchała Jan	Wroński Michał
Karwat Krzysztof	Poręba Wolkowa Barbara	Zabierowski Stefan
Kaszper Kazimierz	Prus Edward	Zaczyk Eugeniusz
Kiełkowski Lucjan	Putzlacher-Buchta Renata	Zwoźniakowa Renata
Kijonka Tadeusz	Pyszko Jan	Żak Andrzej
Kinzel Ryszard	Rusnok Jan	
Kisiel Marian	Sajdok Gustaw	

Po to przyszedłem, aby was ocalić

Po to przyszedłem, aby was ocalić,
zamkniętych w czasie, który dawno minął,
już nie jest wasz, jak się wam zdawało,
już nie jest czasem, bo już dawno minął,
więc ja przyszedłem, aby was ocalić,
zamkniętych w czasie, który czasem nie jest.

Po to się trudzę, jak wielu przede mną,
aby was z czasu ocalić przed czasem,
bo czas was wchłonął, jak wchłaniają bagna,
a kto wchłonięty nie ma czasu, by
żegnać się, więc po to przyszedłem,
po czasie, ale jeszcze, by zatrzymać czas.

Witajcie znowu, siadajmy do stołu,
wy z czasu, który już dawno przeminął,
ja z czasu, który wciąż jeszcze się tli,
siadajmy, mówmy, patrzmy na swe twarze,
na których pleśń i uśmiech, bo przecież
po to przyszedłem, aby razem sięść.

2 maja 2022 r. był Pan dyrektor świadkiem podpisania przez Prezydenta RP Andrzeja Dudy projektu ustawy o ustanowieniu Narodowego Dnia Powstań Śląskich. Ustawa weszła w życie i w tym roku po raz pierwszy obchodziliśmy to święto. Jakie znaczenie i wagę ma ten akt prawny? Czy jest może w jakimś sensie aktem sprawiedliwości dziejowej wobec mieszkańców Górnego Śląska? Ustawę, która została zgodnie przyjęta przez Sejm i Senat, traktuję przede wszystkim jako znakomitą okazję do tego, by w przyszłych latach tematykę powstań śląskich i Górnego Śląska opowiadać również poza Śląskiem. To święto nie jest śląskie w znaczeniu geograficznym takim, że obchodzimy je w granicach województwa, ale jest świętem ogólnopolskim. Podobnie rzecz ma się z Narodowym Świętem Zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego, ustanowionym przez Sejm RP, które obchodzone będzie 27 grudnia.

Jeremi Przybora w tekście jednej ze swoich piosenek pisał o kalendarzu obsypanym makiem. Całkiem podobnie jest z kalendarzem IPN w Katowicach i to od wielu miesięcy. Powodem są wydarzenia, które rozegrały się na Górnym Śląsku sto lat temu. Jakie formy upamiętnienia tamtych wydarzeń wybrano? Czy uwzględniono w tym zakresie działania edukacyjne?

Wydarzenia sprzed 100 lat – powstania śląskie, plebiscyt, powrót części Górnego Śląska do Polski – IPN usiłuje przypominać na różne sposoby właściwie już od trzech lat. To co mieliśmy możliwość zobaczyć w ostatnich tygodniach, myślę tu o czerwcu tego roku, było finałem takiego trzyletniego projektu, na który złożyło się bardzo dużo różnych działań. Staraniem katowickiego oddziału IPN ukazało się ponad 20 publikacji naukowych i popularnonaukowych. Warto tu wymienić chociażby unikatowe albumy: „Wojciech Korfanty 1873–1939” i „Kronika czasu przełomu. Górny Śląsk 1919–1926 na fotografiach Stefana Pierchalskiego”. Już za kilka tygodni ukaże wybór przemówień Wojciecha Korfanteo na forum Sejmu Śląskiego I kadencji pt. „Wojciech Korfanty. Górny Śląsk to wielka rzecz...” oraz „Atlas Górnego Śląska 1919–1922. Wybór źródeł kartograficznych”. Wielką wagę przywiązywaliśmy do działań edukacyjnych. Trzeba tu wspomnieć o serii pięciu wystaw plenerowych poświęconych kolejnym powstaniom śląskim, wydarzeniom czerwca 1922 roku oraz wyjątkowej postaci wśród powstańców śląskich, którą był kapitan Robert Oszek. Tylko w ubiegłym i bieżącym roku odwiedziły one 50 miast i miejscowości w całej Polsce. Ambitnym celem, który sobie postawiliśmy, było opowiedzenie historii Górnego Śląska całej Polsce. Do takich dzia-



Wartość narodowej pamięci

Z dyrektorem Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach dr. **ANDRZEJEM SZNAJDEREM**

rozmawia PIOTR SKOWRONEK

łań można też zaliczyć ogólnopolskie dodatki prasowe, które ukazały się w prawie pół milionowym nakładzie. W ślad za wystawami edukatorzy IPN opracowali tablice z przejrzystym opisem wydarzeń kolejnych lat – 1919, 1920, 1921 i 1922. Opowiadają one kolejno historię powstań śląskich, plebiscytu i wydarzeń z roku 1922 łącząc elementy graficzne, diagramy z mapami i tekstem.

Czy ich adresatami są tylko dorośli odbiorcy, czy także młodzież i dzieci?

Infografiki są skierowane przede wszystkim do uczniów za pośrednictwem nauczycieli, którzy mogą z nich korzystać na lekcjach. Nie tylko na lekcjach historii, bo moim zdaniem są one użyteczne na lekcjach języka polskiego, czy edukacji regionalnej.

Obok wystaw czy diagramów powstała nawet osobna instytucja – Panteon Górnośląski.

Panteon Górnośląski to jeszcze zupełnie inna historia. To instytucja kultury powołana przez cztery podmioty czyli: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Samorząd Województwa Śląskiego, miasto Katowice i Archidiecezję Katowicką. Panteon ma swoją siedzibę w podziemiach archikatedry w Katowicach. W tych przestronnych pomieszczeniach powstała ekspozycja będąca – tak ją rozumiem – pewną próbą bilansu stulecia Górnego Śląska w Polsce. Stąd pojawiają się tam postaci, które symbolizują ów związek Górnego Śląska z Polską i ukazują, jak nawzajem Śląsk i reszta Polski na siebie wpływały i jakie odnosły z tego korzyści. Dobrą ilustracją tych wzajemnych oddziaływań są dwa nazwiska, które tam można spotkać. Jedno to ksiądz Franciszek Blachnicki, kapłan wywodzący się ze Śląska – z Rybnika, gdzie się urodził w 1921 r., i z Tarnowskich Gór, gdzie się wychowywał i dorastał. Twórca Ruchu Światło-Życie, postać o znaczeniu ogólnopolskim, którego spuścizna do dziś promieniuje i to daleko poza granicami Polski. Ale mamy też przykład drugi. Taką symboliczną postacią jest na pewno Tadeusz Jędrzak, który urodził się koło Garwolina. W młodości, po odbyciu zasadniczej służby wojskowej, osiadł na Śląsku i podjął pracę na kopalni. Zrósł się ze Śląskiem do tego stopnia, że dzisiaj mało kto nawet na Śląsku podejrzewa, że nie jest – jak to mówimy – „pniokiem”, nie jest Ślązakiem z dziada pradziada. Z chwilą narodzin „Solidarności” stał się jej niekwestionowanym liderem w Regionie Śląsko-Dąbrowskim i znaczącą postacią we władzach związku na szczeblu ogólnopolskim. Trudno w ogóle byłoby sobie wyobrazić Śląską „Solidarność” bez niego, a jednocześnie zapewne niewiele osób ma świadomość miejsca jego pochodzenia. To dobrze pokazuje ten fenomen Górnego Śląska i jego związku z Polską. Dla wielu Ślązaków to była znakomita okazja do rozwijania swoich talentów i służenia Polsce i odwrotnie – wielu z tych, którzy tu przyjechali znaleźli na Śląsku bardzo dobre warunki do rozwijania swojej wiedzy i umiejętności.

Wspomniał Pan Dyrektor służbę bożego ks. Franciszka Blachnickiego. IPN wznowiło śledztwo w sprawie okoliczności śmierci twórcy ruch Światło-Życie. Czy możemy się o podjętych działaniach dowiedzieć czegoś więcej?

Śledztwo w tej sprawie zostało podjęte na nowo w kwietniu 2020 roku i ma niezwykle złożony charakter. Wymaga ono zarówno szeroko zakrojonych kwerend archiwalnych, i to również poza Polską, a także przesłuchiwań wielu świadków z wykorzystaniem między-

narodowej pomocy prawnej. Wiadomo, że odbyła się również ekshumacja ciała księdza Franciszka Blachnickiego w celu przeprowadzenia odpowiednich badań. W tej sprawie trzeba uzbroić się w cierpliwość.

Inną formą przywracania pamięci jest remontowanie grobów powstańców. Na czym polega ta inicjatywa? I jaki jest obszar działań Instytutu w tym zakresie?

Inicjatywa remontowania miejsc pochówku powstańców śląskich zrodziła się z chwilą, gdy okazało się, gdzieś około 2018 roku, że w wojewódzkiej ewidencji takich grobów wojennych znajduje się zaledwie sto sześćdziesiąt kilka miejsc. To liczba dramatycznie mała w stosunku do ogółu liczby powstańców, których szeregi szacujemy na około 50 czy nawet 60 tys.

Czyli upamiętniono zaledwie jakiś ułamek procenta?

Tak, ślad pozostał po bardzo niewielkiej liczbie powstańców śląskich. Uznaliśmy wówczas, że to ostatni moment,

aby zwrócić się do rodzin, by chciały nam wskazać miejsca pochówku swoich dziadków i pradziadków w grobach rodzinnych. W ślad za takimi zgłoszeniami, po ich weryfikacji, opatrujemy te groby znakiem pamięci „Tobie Polsko” i wpisujemy do ewidencji grobów weteranów walk o wolność i niepodległość Polski. Z tą chwilą podlegają opiece państwa. Uważamy, że to ostatni moment, bo za chwilę zaczną nam one zniknąć bezpowrotnie. Jednocześnie okazało się, że wiele znanych nam wcześniej miejsc pochówku powstańców śląskich jest w tragicznym stanie. To są bardzo często już groby nieopłacone i pozostające właściwie bez opieki i stąd uznaliśmy, że trzeba im przywrócić właściwy wygląd i charakter grobu godnego czynu tych ludzi, którzy są w nich pochowani.

Jak reagowali bliscy?

Za każdym razem, o ile to tylko możliwe, kontaktujemy się z rodzinami, dysponentami tych grobów i byliśmy przyjmowani z ogromną życzliwością i wdzięcznością, a nawet w pierwszych rozmowach



fol. Tomasz Bieniek

Odsłonięty w tym roku pomnik Orląt Lwowskich i walczących o Górny Śląsk Kadetów Lwowskich znajduje się na pl. księdza Emila Szramka w Katowicach



Z inicjatywy IPN i ZHP w 2020 roku na murze więzienia przy ul. Mikołowskiej w Katowicach odsłonięto tablicę upamiętniającą harcmistrza Józefa Pukowca ps. „Chmura”, zamordowanego przez hitlerowców w 1942 roku

wach z pewnym zaskoczeniem, że ktoś chce się o nie zatroszczyć, że ktoś o to pyta, że kogoś to interesuje. Uroczystościom oznaczania tych grobów, pobłogosławienia wyremontowanych nagrobków, towarzyszyło nierzadko wzruszenie rodzin, a trzeba pamiętać, że to już jest oczywiście drugie, albo i trzecie pokolenie. Mimo to okazuje się, że pamięć o przodkach jest w tych rodzinach bardzo żywa. Doceniono, że zainteresowała się nimi instytucja państwowa, a remont jest pewnym gestem wdzięczności państwa polskiego wobec tych ludzi.

Czy powstanie mapa grobów powstańczych? Pytam ze względu na edukacyjnych, bo często nauczyciele nie wiedzą, że na terenie pobliskich metropolii spoczywają powstańcy.

To prawda. Organizując uroczystości zapraszamy też bardzo często pobliską szkołę, władze samorządowe. Często są zaskoczeni informacją, że mają na swoim terenie, na cmentarzu parafialnym powstańców śląskich. Myślę, że to rzecz, która dopiero jest przed nami, ponieważ lista grobów, które sukcesywnie ustalamy, liczy obecnie około 200 miejsc i wciąż otrzymujemy nowe zgłoszenia. W przyszłości na pewno powstanie mapa takich miejsc, którą będzie można umieścić w Internecie. Na pewno wypadłoby przygotować taką informację na poszczególnych cmentarzach. Na przykład w Pszczynie na jednym tylko cmentarzu jest kilka grobów powstańców. To będzie jednak drugi krok naszego działania, bo teraz najpilniejsze jest to, żeby miejsca pochówku ustalić, udokumentować i te groby powstańcze odpowiednio oznaczyć.

Z którymi instytucjami współpracuje IPN przy realizacji swoich przedsięwzięć i jak się ta współpraca układa? A władze miejskie, wojewódzkie, samorządowe – czy wspomagają IPN w jego działaniach?

Wiele przedsięwzięć, głównie w zakresie upamiętniania, byłoby możliwych bez zaangażowania się samorządu terytorialnego, bo nawet jeśli pewne działania typu remonty grobów czy fundowanie tablic pamiątkowych IPN finansuje

w całości ze swojego budżetu, to takie działania mają sens o tyle, o ile w następnym kroku rezonują one na terenie tej miejscowości czy miasta, gdzie miały miejsce. Niezastąpiony jest w tym względzie samorząd terytorialny, podobnie jak parafie, na terenie których uroczystości często się odbywają. Po prostu nie ma innego sposobu, żeby przenieść nasze działania na lokalną społeczność. Samorząd jest w tym absolutnie niezastąpiony, podobnie jak instytucje samorządowe – szkoły, muzea czy biblioteki, które funkcjonują właściwie w każdym mieście czy gminie. Wiele samorządów się z tego zadania wywiązuje bardzo dobrze. Często to właśnie samorządy zwracają się do nas o pomoc przy odremontowaniu czy odnowieniu pomnika. Dobrym przykładem może być wyremontowany przed kilkoma tygodniami Pomnik Powstań Śląskich w Gierałtowicach. To była inicjatywa wójta gminy Gierałtowice. Samorząd terytorialny to po prostu kluczowy partner.

W Górkach Wielkich odbyła się uroczystość z okazji 54. rocznicy śmierci Zofii Kossak-Szatkwskiej i 80. rocznicy utworzenia Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Jaki był przebieg i cel tych wydarzeń?

To była uroczystość bardzo szczególna i wracając do poprzedniego pytania, była jedną z tych działań Instytutu Pamięci Narodowej, w którym znakomicie udało się współpraca z samorządem, ze starostwem powiatowym w Cieszynie i Urzędem Gminy w Brennej. Jak sam pan zauważył uroczystość miała charak-



Mural przedstawiający Wojciecha Korfantego na ścianie kamienicy przy ul. Jerzego Dudy-Gracza w Katowicach

ter rocznicowy i związana była z rocznicą śmierci Zofii Kossak i jednocześnie rocznicą utworzenia Rady Pomocy Żydom „Żegota”. To była dobra okazja, by grób Zofii Kossak oznaczyć również znakiem „Grobu weterana walk o wolność i niepodległość Polski”. Ta część uroczystości miała miejsce na cmentarzu parafialnym w Górkach Wielkich, zaś drugą jej częścią było sympozjum popularno-naukowe poświęcone Zofii Kossak, głównie okresowi jej życia przypadającego na okres II wojny światowej. Była to doskonała okazja do spotkania się z rodziną pisarki, na uroczystość przybył bowiem jej wnuk prof. François Rosset. Dla mnie osobiście wydarzenie to było niezwykle miłym zaskoczeniem, jak żywa jest pamięć o Zofii Kossak w Górkach Wielkich. Dowodem może być frekwencja na cmentarzu. Tamtego dnia pogoda była naprawdę podła, a mimo to mieszkańcy przybyli na cmentarz bardzo licznie. Podobnie było z liczbą uczestników sympozjum, które odbywało się w dawnym dworku Kossaków, który został odrestaurowany i służy obecnie upamiętnianiu spuścizny Zofii Kossak.

Czyli pisarka w pamięci miejscowych ludzi wciąż jest obecna?

Tak, to było bardzo widoczne podczas tej uroczystości. Mieszkańcy mają naprawdę świadomość wyjątkowości tej osoby. Szkoda tylko, że to przekonanie nie jest szersze. O ile Zofia Kossak i jej spuścizna literacka na trwale znajdują w pantheonie polskiej literatury, to już mało kto wie, że ona dużą część swojego życia spędziła właśnie w Górkach Wielkich – na Śląsku, jakby na to nie patrzeć. Trudno byłoby nazwać ją Ślązaczką, a z drugiej strony nie widzę jakos w naszym życiu kulturalnym, mówię o regionie, o województwie śląskim, zainteresowania tą postacią i uznawania ją za swoją. Świadomości, że to jest osoba ważna dla Śląska i ważna dla Polski, a wywodząca się z naszego regionu. Gdzieś ta pamięć zawodzi i to jest lekcja do odrobienia.

Zresztą o Śląsku Zofia Kossak sporo pisała, by wymienić chociażby jej emblematiczny Nieznany kraj.

Tak, popularyzacja jej osoby i twórczości to jest wciąż wyzwanie. Myślę, że mogę już ujawnić, iż w Instytucie Pamięci Narodowej w oddziale katowickim przygotowujemy kilka działań poświęconych Zofii Kossak. We współpracy z Telewizją Polską powstaje film dokumentalny o pisarce, któremu będzie towarzyszyć popularnonaukowa publikacja. Mam nadzieję, że rzecz ukaże się gdzieś na przełomie roku obecnego i przyszłego, i wówczas będziemy mogli się efektami tej pracy pochwalić. Ufam, że to przybliży tę postać w mieszkańcom Śląska i obudzi w nich ciekawość wobec osoby Zofii Kossak i jej twórczości.



Postać Stanisława Ligonia upamiętnia rzeźba przedstawiająca tego działacza siedzącego na ławce przed budynkiem Polskiego Radia w Katowicach

Kolejnym ważnym, tegorocznym wydarzeniem była uroczystość odsłonięcia Pomnika Orłąt i Kadetów Lwowskich. Przybył na nią metropolita lwowski abp Mieczysław Mokrzycki. Jakie wydarzenie upamiętnia ten pomnik?

Pomnik powstał z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Z tą inicjatywą członkowie towarzystwa zgłosili się do Instytutu Pamięci Narodowej już w zeszłym roku. Przeciągały się jednak procedury dotyczące miejsca, w którym pomnik miałby stać. Ostatecznie zgodę wyraził abp Wiktor Skworec na prośbę proboszcza Parafii Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Katowicach i pomnik stanął na Placu ks. Emila Szramka w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła mariackiego. Upamiętnia on młodych Polaków – orłętą i kadetów lwowskich, obrońców Lwowa, a w szczególności tych spośród nich, którzy przybyli w spontanicznym odruchu na pomoc powstańcom śląskim w 1921 roku. To bardzo interesujące świadectwo i bardzo ciekawy epizod tej historii, trochę zapomniany, kiedy opowiadamy o powstaniach. Tymczasem sprawa Górnego Śląska, począwszy od 1919 roku, zajmowała uwagę całej Polski. Ona jeszcze wtedy była państwem dopiero kształtującym się nie tylko ustrojowo, gospodarczo, ale także jeżeli chodzi o swoje granice. Sprawa Śląska zajmowała całą Polskę. Żywo komentowano pierwsze powstanie śląskie. W ramach kampanii plebiscytowej pieniądze zbierały komitety pomocy Śląskowi w całej Polsce, bo kampania plebiscytowa finansowana była ze środków zebranych w całym kraju. To były spore kwoty dowodzące ogromnego zainteresowania i zaangażowania Polki w sytuację Górnego Śląska. Podob-

nie było z trzecim powstaniem. I tu na pomoc przyszli nie tylko kadeci lwowscy, ale także górale z Podhala, o czym też rzadko się wspomina, nie mówiąc już o innych regionach Polski. Ten pomnik uświadamia, że powstańcy śląscy nie działali w próżni, nie działali bez wsparcia, zainteresowania i zaangażowania spoza Śląska.

Już za dwa lata obchodzimy 70. rocznicę śmierci wybitnego syna śląskiej ziemi Stanisława Ligonia, którego postać jest także ściśle związana z powstaniami śląskimi, a jego „Kocynder” był fenomenem i rola tego piśma w momencie plebiscytu była nie do przecenienia. Czy IPN myśli już jak uczcić jego nieco zaniedbaną pamięć?

O postaci Stanisława Ligonia nawet trudno powiedzieć, że jest na marginesie świadomości społecznej na Śląsku, bo już poza Śląskiem w ogóle chyba nie istnieje, a jest to szalenie krzywdzące dla jego osoby, twórczości i działań. W czasie obchodów rocznic powstań śląskich i plebiscytu IPN przypomniał jego zaangażowanie w kampanii przed plebiscytem, między innymi jego słynny plakat „Plebiscyt górnośląski 20 III 1921 – Tylko z Polską lud śląski rozzerwie okowy niewoli”. Wydaliśmy go w formie puzzli. Podobnie jak w przypadku innych tego typu śląskich publikacji, w naszych magazynach nie ma już po nich śladu. Zgodzę się jednak, że przypomnienie Karlika z Kocyndra, a przede wszystkim współtwórcy katowickiej Rozgłośni Polskiego Radia, to jeszcze jeden z ważnych tematów, który wkrótce podejmiemy w Katowickim Oddziale Instytutu Pamięci Narodowej.

Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Dziennik zdruzgotanego życia

(zapiski i rozmowy)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

Patrzę na moją półkę z książkami, zwłaszcza na to miejsce, gdzie rosyjscy pisarze mają swoją nienaruszalną przestrzeń. – Co się z wami stało, panowie? – myślę sobie. Przecież wielu z tych żołnierzy, którzy dziś atakują Ukrainę, czytało wasze książki, jak i ja czytałem – Grossman, Szołochow, Pasternak, Wałamow – i co, nic do nich nie dotarło?

Pisaliście o zwycięstwie nad faszyzmem i potwornym koszcie tego zwycięstwa. O tym, jak wojna ma za nic ludzkie życie i los. O tym, jaka to druzgocąca siła, także dla zwycięzców. A ci młodzi ludzie okupujący miasta i wsie ukraińskie nic z tego nie pojęli? Jak to możliwe? Przecież otrzymywaliście najwyższe wyrazy uznania za waszą twórczość – czasem był to nobel, czasem zsyłka, albo gorzej. Daliście z siebie wszystko, by przyszłym pokoleniom otworzyć oczy. Moi wspaniali z półki, których tak podziwiałem – co poszło nie tak?

Patrzę teraz na fotografię pewnej znajomej z Ukrainy; wygląda na tym zdjęciu na przygnębioną, mocno pobladłą, przygaszoną obecnym życiem. Od kilku miesięcy większa część doby upływa jej w schronie przeciwbombowym. Straciła pracę – nie ma już tego miejsca, do którego zmierzała każdego ranka, żeby przekazywać młodzieży swoją wiedzę o literaturze i języku; rakietą czy bombą – co za różnica – ze szkoły pozostała kupa cegieł. Martwi się o rodzinę i stara się, mimo wszystko dbać o najbliższych, jak tego wymaga etos ukraińskiej kobiety. Czy mogła wyjechać? Zapewne. Mogła dołączyć do setek tysięcy kobiet, które znalazły bezpieczeństwo i jakieś tymczasowe życie w Polsce.

24 lutego zawałił się jej świat, podobnie jak większości Ukraińców. Korespondujemy po rosyjsku lub po angielsku. Od czasu do czasu wyrwam się z jakimś żartem. Odczuwam ulgę, kiedy pisze, że ceni sobie moje poczucie humoru, bo daje jej to, choćby nawet chwilowe, poczucie dystansu i odskok od dusznej atmosfery schronu. Na jej półce z książkami także mają swoje miejsce wybitni rosyjscy autorzy. Nie odrzuciła ich, ale przypuszczam, że chciałyby im zadać to samo pytanie, które ja zadałem – co poszło nie tak?

Pozostawmy jednak książki i ich autorów na swoim miejscu w mieszkaniu Anny i zejdźmy kilka kondygnacji niżej. Co czuje człowiek zmuszony w środku nocy zejść do schronu?

Anna, 10 maja 2022. *Czuję, jak wszyscy, lęk. O siebie? Też, ale staram się pogodzić z myślą, że mogę zginąć. Natomiast myśl, że mogą zginąć moi najbliżsi, jest dla mnie nie do zniesienia. O nich obawiam się najbardziej.*

Cały świat skierował oczy na Ukrainę. Kto patrzy na Annę? Nikt ważny, żaden polityk liczący na jej głos w jakichś przyszłych wyborach, żaden wielki tego świata. A jednak – ci, którzy patrzą i liczą na nią, są najważniejsi w jej świecie – to jej rodzina.

Anna, 17.05. *Nie martw się o mnie. Nadal żyję. Po prostu wpadłam w depresję. Chyba nerwy mi wysiadają. Już południe i jestem bez śniadania; nie byłam w stanie nic przekłnąć. Popłakałam sobie i już mi lepiej.*

Coś tam odpisuję o przyjaciółach, wsparciu i poparciu, a Anna na to:

Jestem ci wdzięczna. Dodajesz mi siły. Próbuję się teraz uśmiechnąć. Może powinnam się czegoś napić. Byłoby łatwiej.

Anna, 18.05. *Koszmarne poranne. Seria wybuchów w sąsiedztwie. Są zabici i ranni. Siedzę przy komputerze i piszę do ciebie, ale cała się trzęsę. Myślę, że to jakiś absurd – dwudziesty pierwszy wiek, a my zamiast wymieniać uprzejmości, rozmawiamy o planach wakacyjnych, rozmawiamy o wojnie. Dochodzę do wniosku, że natura człowieka nie zmieniła się ani na jotę od epoki kamiennej. Zmieniają się tylko śmiertelne zabawki. Postęp, kultura – to wszystko wydaje się takie powierzchowne, tak niewiele znaczące. Czy ty też tak uważasz?*

Sarkazm, a nie daj Boże cynizm byłyby tu całkowicie nie na miejscu, więc staram się zmienić nieco temat. Pytam, czy udało się jej w końcu coś zjeść.

Od jakiegoś czasu albo w ogóle nie jem, albo zmuszam się do zjedzenia małej kanapki, tak jak dziś rano. Dieta mi nie szkodzi, mam pewne rezerwy. Oczywiście, nie jestem zadowolona z takiej wymuszonej diety i nikomu jej nie polecam, ale co zrobić? Mam w pamięci to, że są u nas osoby w znacznie gorszej sytuacji.

W tym miejscu alarm lotniczy przerwał naszą rozmowę.

20.05. *Musiałam wczoraj wyjechać z miasta. Nie było przyjemnie i czułam się jeszcze mniej bezpiecznie. Wieczorem postanowiłam podreperować sobie nastrój alkoholem. To jednak nie dla mnie. Wcale nie pomogło. Dzisiaj? Nie wiem. Zobaczmy, co dzień przyniesie.*

22.05. *Okropna noc. Alarm za alarmem. Jestem nieprzytomna z niewyspania. Nawet kawa nie pomaga. Muszę wyglądać okropnie, ale to bez znaczenia. Chciałbym.....*

Rozmowa się urywa. Anna odezwała się: po dwu dniach.

24.05. *Od dwu dni bardzo intensywny ostrzał, artyleria*



Cerkiew w Ukrainie w roku 2013

fol. Witold Turant

i rakiety. W nocy miałam potworny atak paniki. Cała się trzęsę. To okropne, nie jestem w stanie nad tym zapanować. Ostrzał wciąż się nasila i nawet nie wyobrażasz sobie, co dzieje się w mojej głowie. Jest po prostu coraz gorzej. Wydaje mi się, że każdy dzień może być moim ostatnim. Przerwa. Przepraszam za tę przerwę, ale zdawało mi się, że słyszę syrenę. Jestem uczulona na tego rodzaju dźwięki.

Wiesz o czym teraz marzę? Chciałbym pójść, tak zwyczajnie na spacer do parku. Potem może do teatru i do eleganckiej restauracji, na kolację z kimś miłym, przy świecach i z nastrojową muzyką. Porozmawiać, odprężyć się. I nie musieć wracać do schronu nocą.

I znowu przerwa. Oglądam wiadomości. Wciąż ostrzały, ataki, opinie ze świata, gdzieś oburzenie, gdzie indziej kunktatorstwo. Wielka polityka. A tu milczy osoba, która boi się, że każdy kolejny dzień może być jej ostatnim, ma typowo kobiece zmartwienia, jakieś marzenia, ale kogo to w gruncie rzeczy obchodzi?

26.05. *Wiesz, postanowiłam wziąć się w garść i chyba mi się udało. Jestem dziś w bojowym nastroju. Bo co, do kurwy nędzy!? Nie jestem jakąś szmatą, żeby wycierano mną wszystkie kąty! I żebyś wiedział, że czuję się lepiej. Dostyć jęczenia. Przecież wierzę w Boga i mam liczne dowody na to, że On istnieje..... Chociażby to, że wciąż żyję. Pamiętasz, rozmawialiśmy niedawno o teatrze. Chciałabym zobaczyć „Drzewa umierają stojąc” Casony w dobrej obsadzie. Tak sobie pomyślałam, że bardzo, ale to bardzo chcę pójść do tego teatru, więc nie mogę zginąć.*

Nadchodzi pora mojego kontaktu z Anną. Cisza. Mijają kolejne godziny. Wreszcie sygnał sms-u. Ale to nie ona. Znajomy z Dniepru pisze o ataku rakietowym. Trzy jednoznaczne uderzenia w niewielkiej odległości od jego domu. Całe domowe szkło, z szybami w oknach włącznie odpowiedziało, ale obyło się bez strat. Z niepokojem oczekuję na wiadomość od Anny. Jest!

27.05. *W nocy ciężki ostrzał w pobliżu. Mnie ani nikomu z bliskich nic się nie stało. Dziś urodziny mojej córeczki. Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedykolwiek stanie się „dzieckiem wojny”. To dla mnie przerażające. Ona bardzo to wszystko przeżywa, choć na swój sposób stara się być dzielna.*

Czego temu dziecku w dniu urodzin życzyć? Bezpieczeństwa i pokoju? To chyba właściwe życzenia. Kiedy? Już, teraz, natychmiast.

28.05. *Byłam dzisiaj na zakupach. Niewiele udało mi się kupić. Boże zmiłuj się, co za ceny! Torebka soli kosztuje równowartość 3 dolarów. Jak tu żyć?*

Wczoraj była niedziela. Wymieniliśmy uprzejmości sms-em, ale nic ponadto. Może tylko to, że Anna ujawniła miejsce pobytu – Dniepr.

30.05. *Od dwóch dni jakoś dziwnie spokojnie. Jednak takie życie jak obecne jest nie do wytrzymania. Drożyzna, kradzieże, rabunki. I, nie chcę histeryzować, ale grozi nam głód. Na szczęście nasi ludzie w większości potrafią być silni i nie wpadają w panikę.*

Kradną nam zboże, ostatnio cały statek wywieźli, podobno do Syrii. W ten sposób chcą nie tylko nam dokuczyć, ale wszystkim tym ubogim krajom, do których nasze zboże trafiło. Niech ich piekło za to pochłonie, tyle mam im do powiedzenia. Pomyśleć tylko, że jeszcze do niedawna nazywaliśmy ich braćmi. Czy byłam wczoraj w cerkwi? Przechodzę tamtędy dwa razy w ciągu dnia i często wstępuję, żeby pomodlić się i prosić Boga o siłę i ochronę.

Od wczesnego rana wieści o ukraińskiej kontrofensywie. Z niepokojem pytam Annę, jak minęła noc.

31.05. *Było spokojnie, jak poprzednio, ale nasi poszli na przód w mojej okolicy. Teraz też względna cisza. Co robiłam wczoraj? To co zwykle: nagotowałam mnóstwo jedzenia (mam dużą rodzinę do wykarmienia – sześć osób, plus moi rodzice, którym zanoszę posiłki). Potem pranie, sprzątanie i wreszcie jakoś doczołgałam się do łóżka. Teraz nie mogę sobie pozwolić na taryfę ulgową; moi bliscy liczą na mnie. Być może kiedy zwyciężymy i w ogóle ten koszmar się skończy, pozwolę sobie na tydzień laby. Będę się wylegiwać całymi dniami, oglądać telewizję, sączyć whisky, którą bardzo lubię. Czuję się bardzo zmęczona, wiecznie niewyspana, ale mimo to w jakiś sposób szczęśliwa. Moi bliscy są wciąż żywi i bezpieczni. Tylko to się dla mnie liczy.*

Dziś Anna w pogodnym, wręcz radosnym nastroju. Żartuje.

1.06. *Kolejna spokojna noc i poranek. Oby tak dalej. Nie masz pojęcia, jaka to ulga. Gdzieś dalej słychać gwałtowną strzelaninę, a to oznacza, że nasi chyba poszli znów do przodu. Dzięki im za te chwile spokoju.*

Powiadasz, że mają się spieszyć, bo chciałbyś już ze mną pójść do tego teatru? Zalatwione. Tam są moi znajomi i przyjaciele. Wczoraj posłałyśmy im dwa samochody różnych dobroci. I wiesz co? To są rzeczy głównie polskiej produkcji – znacznie tańsze od naszych, których zresztą brakuje. Chłopaکی się ucieszyli. Co jeszcze? Aha, przysłali mi z Warszawy zdjęcie postrzelanego auta, i tego auta po naprawie. Super. Blacharz jak zobaczył rejestrację z Mariupola, nie wziął ani grosza za naprawę. Co za gość – taki gest.

2.06. *Będę cały dzień w ogrodzie. Wymaga wiele pracy. Pogoda dopisuje. Teraz więcej miejsca przeznaczylam na warzywa.*

To jej odpowiedź na apel władz, by każde odpowiednie miejsce wykorzystywać na uprawę warzyw. W obliczu zagrażającego głodu w niektórych miastach, a niedoboru właściwych produktów żywnościowych niemal wszędzie, to rozsądne i praktyczne rozwiązanie. Media pokazują, że są miejsca, gdzie nawet kwietniki i zieleńce są w ten sposób wykorzystywane.

4.06. *Ze mną wszystko w porządku. Wczoraj miałam wolne. Słyszałam wybuchy. Ludzie wpadli w panikę. Okazało się, że eksplodowały zbiorniki gazu w jednym z przedsiębiorstw. Niestety, nie obyło się bez ofiar. Kilka osób zginęło. Odezwe się później, bo teraz się spieszę.*

6.06. *U mnie wszystko w porządku. Zaraz napiszę więcej.*

Noc była spokojna. Za to teraz alarm za alarmem. Postanowiłam na razie nie schodzić do schronu. A żebyś wiedział, że zostanę w mieszkaniu. Koniec z paniką, koniec ze strachem. Niech sobie sami w dupę strzelą. Jestem wściekła, tylko to mi zostało. Wściekłość i desperacja. Do schronu nie zejdę, nie namawiaj mnie; kiedy zacznie się bombardowanie zastosuję „zasadę dwóch ścian”. Zasada ta polega na tym, by w razie ostrzału czy bombardowania szukać miejsca, gdzie od ewentualnego punktu trafienia oddziela ją nas dwie ściany.

Pytasz o rodzinę, jak to wszystko znoszą dzieci – jakoś sobie z tym radzą, ale tak naprawdę to jest im ciężko, bardzo ciężko, ale najtrudniej moim rodzicom pogodzić się z tym wszystkim. Oni wyrosli w przekonaniu o braterstwie ukraińsko-rosyjskim, a tu taka historia!

Znowu ogłaszają alarm. Tym razem idę do schronu. Odwołali, no powiadam ci, dom wariatów. Człowiek nie

ma pojęcia, czego się spodziewać. Coś okropnego.

O, znowu alarm. I tak od rana, co chwilę. Niech ich szlag trafi. A gównu, nie pójdę do schronu. No, przepraszam za to słowo, ale czasem takich słów nie da się zastąpić. A najgorsze jest to, że coraz częściej ich używam. A w szkole zawsze to tępiłam i starałam się uczyć dzieci także kultury. Wojna niszczy wszystko. Niszczy człowieka fizycznie, ale także wewnątrz. Zabija w nim to, co przyzwoite, to co piękne. Zostawia tylko gniew i wstrętny język.

7.06. Noc była względnie spokojna, a teraz też raczej cicho. W porównaniu z wczorajszym dniem – bajka. Tylko wciąż kłębią mi się w głowie takie przyziemne myśli – jak zarobić na utrzymanie, skąd wziąć pieniądze, by zrobić zapasy. Zapasy ważna rzecz; nikt nie wie, co będzie jutro i czego może zabraknąć. A zatem co kupić i ile, a przede wszystkim za co. Jakaś dodatkowa praca może by się znalazła, ale zarobki mikroskopijne. Poza tym wykańczające jest poczucie tymczasowości. Co będzie, jak to wszystko jutro gruchnie, nie daj Boże razem z naszym domem?

Nie traktuj mnie jak jakąś męczennicę i wyjątek. My tu wszyscy tak. Nawet ci zamożniejsi. Po prostu z dnia na dzień.

Alarm lotniczy dla połowy kraju. Także dla nas. Za chwilę kończę pracę i muszę się jakoś dostać do domu. Niech to diabli!

Po kilku godzinach sms:

Nie denerwuj się. Jestem już w domu. W oczach piasek. Zasypiam na stojąco. Dobrej nocy.

8.06. Dziś w zasadzie cicho i spokojnie. Tylko rano dwa alarmy. Mam wolny dzień i mnóstwo roboty domu.

10.06.: Dziś w nocy uderzyła rakietą. Huk był okropny. Ilekroć zdarzy się spokojniejszy czas, zawsze muszą nam w końcu przypomnieć, że trwa wojna. To bardzo niszczy psyche. Ich celem jest złamanie naszego ducha. Poza tym usiłują nas nastawić przeciwko sobie. Wypisują w rosyjskich mediach bzdury o kolonizacyjnych planach, jakie Polska ma w stosunku do Ukrainy, o tym, że prezydent Żelenski jest mario-netką w ręku Warszawy, ale tu nikt tego nie słucha i nie czyta, a jeśli nawet, to nie wierzy. Cały świat śmieje się z tych propagandowych bzdur. Moim zdaniem ich autorzy sprawiają wrażenie niedorozwiniętych umysłowo.

Anna przesyła mi sms-em emotkę z czterema sercami: dwa w barwach Ukrainy i dwa w barwach Polski. Może to i trochę dziecinne, ale sympatyczne.

14.06. Bardzo cię przepraszam. Cały dzień byłam wczoraj mocno zajęta. Chciałam wysłać sms, ale była jakaś awaria komunikatora, z którego korzystam. Było spokojnie, ale dziś od rana alarm za alarmem, choć jak na razie nie sły-

chać wybuchów. Staram się nie panikować i jak dotąd nawet mi się udaje.

Nazajutrz cisza. Wieczorem sms:

15.06. Miałam mnóstwo zajęć, padam z nóg. Napiszę jutro. Aha, nie martw się, wszystko w porządku.

16.06 (wieczór). Nie mogłam odezwać się wcześniej. Byłam u rodziców, a tam nie ma internetu. Nie masz pojęcia, jak ważne dla nas są teraz kontakty z rodziną.

Rano sms i nagranie fragmentu rosyjskiego programu telewizyjnego dla Ukrainy. Mowa głównie o Polsce, o tym, że jesteśmy narodem idiotów, którzy dopraszają się wręcz utraty niepodległości. Komentarz Anny:

17.06. Nas te brednie rozśmieszają. Inna rzecz, że w Rosji przelękają chyba te bzdury, „jak leci”. Tamtejsza TV kłamie i przeinacza fakty, uważając, że ludzie nie znają historii i uwierzą we wszystko. Tu raczej nie znajdą naiwnych, zwłaszcza teraz. Ciebie zapewne to zaskakuje, ale nas już nic nie zdziwi; ani to, że zjadamy niemowlęta, ani to, że wypijamy krew zabitych rosyjskich żołnierzy.

18.06. Dziś przez cały dzień intensywny ostrzał. Mimo to starałam się pozalatawać swoje sprawy i dlatego wcześniej nie pisałam. Jestem zmęczona i chcę się wcześniej położyć.

19.06. Okropna noc. Ostrzały i alarmy. Niemal nie zmruryłam oka. Teraz uspokoiło się. Nie wiem czy to prawda, że ponad tysiąc Polaków dołączyło do cudzoziemskiego legionu, ale i tak robicie dla nas ogromnie dużo i jesteśmy wam za to wdzięczni; za gościnę dla uchodźców i za wszystko inne.

Każda wojna ma swój kącik humoru, na ogół czarne-go, także i ta:

Nasz minister obrony pochwalił się ostatnio toastem, jakiego nauczył się od polskich przyjaciół: „**Za rosyjską marynarkę wojenną – do dna!**”.

Wczoraj Annie udało się porozmawiać telefonicznie ze znajomym, który walczy na froncie.

23.06. Coś niewyobrażalnego. Opowiadał mi, że orki nie zabierają z pola walki swoich zabitych. Nie chowają ich. Po prostu pozostawiają ich ciała, w związku z czym wszędzie unosi się smród rozkładających się zwłok. Mówiąc krótko: nie wiem, kim są te kreatury, ale z pewnością nie ma w nich już nic ludzkiego.

No a dziś w telewizji rozmowa rosyjskiego żołnierza, będącego u nas w niewoli, z jego słodką mamuszką, która temu sponiewieranemu przez wojnę młodemu chłopcu mówi, że nie ma się czym przejmować, bo nawet gdyby go zabili, za ojczyznę przecież, to stać ją jeszcze, żeby się postarać o nowe dziecko. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. Potem tłumaczy chłopakowi, że to, co robił, ma sens, bo jesteśmy przeciwieństwem tak wymieszani, że wszyscy jesteśmy Rosjanami i w Ukrainie, i wszędzie indziej na świecie, więc trzeba wszystkich wyzwolić. Ręce opadają. Może oni rzeczywiście znajdują dzieci w kapusie.

24.06. Straszna strzelanina w nocy. To już któraś noc z rzędu, od kiedy uparli się, żeby urządzić nam „białe noce”. Jestem dziś jak zombie. Nawet kawa na mnie nie działa. A jednak jest coś, co postawiło mnie rano na nogi. Wczoraj wieczorem otrzymaliśmy status państwa kandydata do Unii Europejskiej. Dawno nie było tak dobrej i elektryzującej wiadomości. A zatem pierwszy krok do normalności za nami. Teraz jeszcze, bagatela, wygrać tę wojnę!

fot. Anna Gurbicz



Jesteś absolwentką katowickiej Szkoły Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego, wykładasz tam na kierunku reżyseria. Czy filmy patrona Twojej Szkoły były w jakiś sposób dla Ciebie ważne?

Bardzo na mnie wpłynęły. Ale filmy dokumentalne. Uważam, odważę się to powiedzieć, że znacznie mniej się starzeją, niż niektóre jego fabuły. Na przykład taki prosty dokument: *Siedem kobiet w różnym wieku* z 1978 r. To film-wiersz, absolutny majstersztyk. Albo *Gadające głowy* z 1980. To są filmy, które wymyśla się przy biurku. Nie „pójdzie za życiem”, tylko reżyserska koncepcja. W ogóle, dokument lepiej się trzyma, w sensie wizji świata, formy, ponieważ często jest odważniejszy od fabuły, która starzeje się o wiele brutalniej.

Kieślowski jest ci chyba też bliski za sprawą jego refleksji o moralności kamery. Wiele razy podkreślałaś, że nie uznajesz zasady: „co krwawi, to ciekawo”.

Podczas montażu dokumentów często wycinałam sceny o bardzo silnym ładunku emocjonalnym. Raz tylko zostawiłam kłótnię. Raz lzy. W czasie realizacji zastanawiałam się, czy bohater za kilka lat, kiedy zmieni się jego życie, a perspektywa autorefleksji nada mu nowy sens, będzie potrafił patrzeć na siebie samego, widzianego kiedyś tam moimi oczami. Czy mój film nie będzie źródłem cierpienia? W dokumencie *Marzenia i śmierć*, o dziewczynach chorych na anoreksję, kiedy jedna z bohaterek zmarła przed końcem montażu, zdecydowałam się ją wyciąć z materiału, by nie przysparzać bólu rodzicom. Poszczególne sceny podleżały mojej nieustannej autocenzurze.

Gdzie leży, według Ciebie, granica dokumentu?

Granica jest to, co uznajemy za prawdę. Jest oczywiście przefiltrowana przez twórcę, ale kiedy zaczynamy ją naginać, kończy się dokument, zaczyna fikcja. Ale uważam, że dokumentu nie da się zrobić, biegając z kamerami za wydarzeniami. Trzeba się z rzeczywistością dogadać. W moich filmach dokumentalnych, np. w tym pierwszym, były sceny wymyślone, które nie wydarzyłyby się same, gdyby nie film. Ale jednocześnie miałam absolutną pewność, że są spójne z przedstawionym światem.

Ten debiut to *Cela z widokiem*. Półgodzinny film zrealizowany w Zakładzie Karnym w Bydgoszczy-Fordonie, gdzie zgromadzono niewidomych i niedowidzących więźniów z całej Polski. Studiowałaś w czasie, gdy Szkoła była w zapaści. Przez trzy lata robiliśmy tyl-



Do fabuły przyciągnął mnie totalny brak odpowiedzialności za powierzone postaci! Mogłam je zabijać, skłócać, wodzić na pokuszenie i co wieczór spokojnie patrzeć w lustro. Jak niewyobrażalna jest to ulga, wie tylko dokumentalista, który się przebrnął.

Fabuła to wakacje dla zmęczonych dokumentalistów

z BEATĄ DZIANOWICZ
rozmawia GRAŻYNA OGRODOWSKA

ko jedną rzecz, (teraz ludzie opuszczający Szkołę mają w swoim dorobku minimum pięć etiud). Aktorów dostałam tylko raz na pół godziny i raz na pięć godzin. Pamiętam to do dziś! Dlatego przygotowywałam się niesłuchanie starannie, jak do jedynej szansy. Miałam wszystko opracowane do najmniejszego szczegółu. Ale dokumentacje, scenariusz, cała strategia filmu wylądowały w koszu, gdy tylko dojechaliśmy do Bydgoszczy. Mąż mojej bohaterki zapadł się pod ziemię i nie przyjechał na zdjęcia. A to miała być ich *love story*. Odwołanie filmu nie wchodziło w grę. Musiałam zrobić *ad hoc* inny film. Dziś uczę moich studentów: jak nie macie żelaznej konstrukcji, nie włączajcie kamery! Wtedy codziennie wieczorem wymyślałam sceny, nie wiedząc, co nas czeka. Na przykład któregoś dnia poprosiłam w hotelu, żeby pożyczono mi jak najwięcej prześcieradeł. Dostałam ich 45! Za darmo! Porozwieszaliśmy je tak, że powstał bawełniany labirynt w całej ogromnej świetlicy.

...i w tym białym labiryncie powstała piękna, symboliczna scena.

...w której Złodziej się gubi, Morderca jest przerażony, nie potrafi zrobić kroku, wpadają na siebie, próbują rozpoznać. Lubię ją. W ogóle ten pierwszy, pewnie koślawy film, to moje ukochane dzieło. Bez niego niczego bym się nie nauczyła.

***Cela z widokiem* zdobyła nagrodę na 36. Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie.**

Nagrodę dostałam od Andrzeja Fidyka, dzięki niej mogłam zrobić następny film. Rozmawialiśmy wtedy chwilę, opowiedziałam, jak jest w Szkole. – *Kurczę – powiedział – to może przyjdę do was uczyć?* I tak zrobił. To było fantastyczne dla naszej Szkoły. Do dzisiaj studenci ogromnie go cenią, bo Andrzej ma świetny z nimi kontakt i jest nietuzinkowy, ogromnie pomocny i szczerzy. Z nim zawsze się gra w otwarte karty. Taki pedagog to skarb.

Był też opiekunem artystycznym Twojego filmu, promotorem pracy dok-



Beata Dziańowicz

torskiej. Ten doktorat pisałaś m.in. na podstawie filmu dokumentalnego *Latawce*. Ale zanim pojawił się filmowy Afganistan, najpierw pojechałaś z ekipą do Sarajewa. Twoje dwa ważne filmy łączy osoba Janiny Ochojskiej.

Podróż (nie całkiem) sentymentalna była realizowana w Sarajewie na zamówienie Polskiej Akcji Humanitarnej, w dziesięciolecie jej istnienia. Ochojskiej towarzyszył Wojciech Tochman, tak jak to było podczas pierwszego konwoju. Oboje nie wstydziła się całkiem przyziemnych wspomnień, bez patosu i wzniosłych słów.

Współpraca musiała być udana, bo Janina Ochojska zaprosiła Cię ponownie, tym razem do Afganistanu.

Najpierw była *Lekcja nadziei* o odbudowywanej przez Polską Akcję Humanitarną szkole artystycznej w Kabulu, gdzie też zrodził się pomysł na inny dokument. W tej właśnie szkole przeprowadziliśmy sześciotygodniowy kurs podstaw sztuki dokumentalnej *Kabul, moje miasto* i jednocześnie realizowaliśmy film, którego integralną częścią były etudy naszych uczniów. Tak powstały *Latawce*.

Uderzający jest wysoki poziom zdjęć, które nakręcili dzieci.

Dla mnie to było odkrycie! Przecież one nie chodziły do kina, może były tam raz w życiu, nie miały telewizora. Mimo to świetnie wyczuwały sztukę

filmową. Zrozumiałam dlaczego, gdy pokazaliśmy im film dokumentalny *Szczurołap*.

Klasyka polskiego dokumentu. Film Andrzeja Czernieckiego o człowieku zawodowo tępiącym gryzonie.

Po projekcji zapytaliśmy, o czym jest ten film. Jak to, o czym? To oczywiste. O zdradzie, o zawiedzionym zaufaniu – powiedziały. Zrobiłam wielkie oczy. To samo pytanie stawialiśmy podczas warsztatów z reżyserem Jarosławem Stypą uczniom renomowanych polskich liceów. I dla nich *Szczurołap* był tylko o szczurołapie, bo jakże inaczej?

U nas dominuje dosłowność odbioru.

Właśnie. A tam dorastają, uczą się na poezji, na opowieściach. Wieczorami w Kabulu, na dachach, na rozłożonych dywanach, leżały całe rodziny i zawsze ktoś coś opowiadał przy herbacie. Wtedy tak było. Teraz znowu nie wolno biesiadować razem, nawet w obrębie tej samej rodziny. Chyba że w duchocie domu. Dach czy restauracja odpada.

W uzasadnieniu jednego z werdyktów jury przyznającego nagrodę Latawcom napisano: „za uczciwość i szczerłość między autorem, bohaterami i widzami”. To mogłoby być motto dla dokumentalisty, nie sądzisz?

Miło mi, że tak sformułowano to zdanie, ale ono w tym przypadku nie jest prawdziwe.

Dlaczego tak sądzisz?

Zbyt wielka była różnica kultur, a przede wszystkim trudności językowe. Wyobrażałam sobie, że damy Europie film opowiedziany naprawdę z wnętrza Kabulu. Nikt wtedy takich rzeczy nie robił. Dzięki naszym bohaterom i ich kamerom, mieliśmy możliwość wchodzenia w bardzo zamknięte światy Afganistanu. Ale nie znałam języka dari. Nie rozumiałam, o czym rozmawiają między sobą. Do tego wnętrza na zdjęciach nie dotarliśmy. Nie w taki stopniu, w jakim dokumentalista powinien wyczuwać niuanse. Mieliśmy oczywiście tłumaczy, było ich nawet troje, ale to nie wystarczyło przy tak intensywnej pracy. Wracając do początku rozmowy – ten film się zestarzał modelowo. Tam był materiał na rzecz o wiele krótszą, zgrabniejszą. Powinien być opowiedziany tylko przez dzieci, jest za długi o cały wątek.

Ale spodobał się na całym świecie. Doceniono jego humanizm i Twój kunszt filmowy, dostał nagrody na Festiwalach w Abu Dhabi, Budapeszcie, Kazaniu, Petersburgu, Łodzi, Warszawie, Locarno... Przede wszystkim było Locarno. Latawce zdobyły w 2008 roku I nagrodę w prestiżowej sekcji Le Prix SRG SSR idee Suisse/Semaine de la Critique 61. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego.

Już kiedy dostał się na ten słynny Festiwal, nie mogłam w to uwierzyć, bo konkurencja była naprawdę wielka. Mój przyjaciel Krzysztof Kopczyński, produ-

cent, uważał jednak, że mamy szansę. A kiedy wygrał, radość była ogromna.

Gdyby spróbować znaleźć jakiś wspólny mianownik dla bohaterów twoich filmów, tak przecież różnych, to byłby...? Motyw siły w człowieku niedoskonałym. To mnie fascynuje w ludziach – skąd brać moc, gdy się jest niewidomym więźniem, albo umierającą z głodu kobietą lub nieśmiałym chłopakiem, który potrafi tylko kopać piłkę? Skąd w nich bierze się siła, żeby nauczyć się Braille’a, złamać schemat, wyjechać do Kalifornii, albo – jak Ochojska – pozbiierać pokiereszowane ciało i poprowadzić konwój do Sarajewa, czy na nowo odważyć się śmiać, gdy się tyle razy widziało egzekucje, jak nasi uczniowie w Kabulu.

Z dokumentu ten motyw przenosisz do fabuły. Człowiekiem niedoskonałym jest przecież i Justa z *Odnajdę cię* i przede wszystkim Adam ze *Strzępów*. U Justy drobny kompromis z sumieniem na początku skutkuje zabiciem człowieka. Pojawia się szczelina, od której zaczął się etyczny upadek tej postaci. Adam jest bardziej skomplikowany. On cały czas chce dobrze, i chce wszystkiego. Dlatego w pewnym sensie przegrywa (nie wiem, czy by się ze mną zgodził), jego wybory nie są oczywiste. Chciał ocalić wszystko, a tak się nie da.

Adama zagrał Michał Żurawski, z którym już pracowałaś w *Odnajdę cię*, bardzo doświadczony aktor filmowy. Pozostałe główne role w tym kameralnym dramacie psychologicznym powierzyłaś znakomitym aktorom Teatru Śląskiego w Katowicach: Gerarda – Grzegorzowi Przybyłowi, Bognę – Agnieszce Radzikowskiej.

Jest jeszcze nasz „nadmorski desant”, genialna Pola Król. Uwielbiam ją! To już doświadczona aktorka, mimo szesnastu lat. A Teatr Śląski... Mój najważniejszy zawodowy punkt odniesienia, bo praca na uczelni to inna kategoria. Na aktorów Teatru Śląskiego patrzyłam kilkanaście lat przez obiektyw kamery, filmując i montując premiery i spektakle. To jest niezwykle zespół. Z Grzesiem chciałam pracować już od wielu lat. Widziałam go w kilkudziesięciu rolach, w wielu z nich zrobił niezapomniane kreacje! Z kolei Agnieszka znam od jej debiutu scenicznego w *Panu Pawle* Tankreda Dorsta, kiedy jeszcze nie studiowała w szko-

le teatralnej. Była młodziutką, szaloną dziewczynką. Już wtedy grała cudownie.

I to jej zostało! (Swoją drogą, pamiętam tamten spektakl na Scenie w Małarni; świetny Wiesław Ślawik w tytułowej roli). W Teatrze Telewizji w *Koncertcie życzeń* przyglądałaś się relacji między siostrami i ojcem, w *Odnajdę cię* punktem odniesienia stała się relacja matka-dziecko, taka, która unieważnia wszystkie inne. W *Strzępach* poszerzasz ten model na całą rodzinę. Stawiasz ją w ekstremalnej sytuacji, jaką jest choroba. Co dzięki temu odkrywasz?

Nie wiem. Chciałam sprawdzić, jak egoizm postaci – taki elementarny i dobry, który wyznacza granice tego, co mogę oddać drugiemu człowiekowi, taki, który wyznacza poczucie bezpieczeństwa, pozwala zapanować nad własnym zmęczeniem, rozpadem psychicznym – jak ten egoizm wybrzmi w dobrych ludziach, którzy muszą ograniczyć się totalnie. Oddać czas komuś bliskiemu, kto nie ma już hamulców i bierze całość (bo rzecz jest o Alzheimerze). Sprawdzaliśmy to na relacjach w naszej małej terapeutycznej rodzinie Pateroków. Wszyscy poprowadzili te role trochę inaczej, niż się spodziewałam. I to było piękne.

Często podkreśla się, jak bardzo dokumentalne doświadczenie wpływa na reżysera. Zgadzasz się z tym?

Tak, jak najbardziej. Tak było w moim telewizyjnym debiucie teatralnym, *Koncertcie życzeń*. Z operatorem Jackiem Petryckim zdecydowaliśmy się realizować go dokumentalnymi, długimi ujęciami (najdłuższe trwa około ośmiu minut), co zaowocowało bardzo charakterystycznym napięciem w scenach. Aktorzy nie starali się „przypodobać” obiektywom i światłu, to my tak poruszaliśmy się w ich świecie, żeby uchwycić to, co istotne. Dzięki temu dialogi brzmiały bardzo naturalnie, a nawet, momentami, jakby były improwizowane. Jest przestrzeń dla aktora. Nie dla aktora, dla postaci! Ona ma czas, by pobyć w swoim świecie. Kiedy mój bohater otwiera szufladę, to chcę, żeby były tam prawdziwe łyżki i widelce, które dźwięczą. Można oczywiście ten dźwięk znakomicie podłożyć, ale dla mnie to nie jest to samo.

Dlatego też piszesz biografie bohaterów swoich wymyślonych światów?

Żeby byli „prawdziwi”? Dobrze „zdokumentowani”?

Myślę, że tak, ale nie tylko. Przez kilka miesięcy, jeszcze przed scenariuszem, piśzę wyłącznie życiorysy postaci. Pełne wydarzeń, anegdot, relacji rodziny, od narodzin do momentu, kiedy spotkamy ich w filmie, w którym zresztą nie ma odniesień do tych wydarzeń! Znam tych ludzi, jeszcze zanim zacynam pisać im scenariusz. Wiem, co ich zbudowało, co ich denerwuje, a co pociąża. Znam ich. W sumie oni sami to piśzą. Trzeba tylko ich pilnować, żeby się trzymali jakiejś konstrukcji, bo mają tendencję do rozwlekania.

Twoje postacie próbowały rozwlekać, a film nie mógł być zbyt długi. Na pewno trudno było zrezygnować z wielu dobrych fragmentów?

Bardzo. Szczególnie dotyczyło to Agnieszki Radzikowskiej, która zagrała jeszcze kilka znakomitych scen. Jej Bogna miała być większą postacią, ale ustąpiła pola prymarnej relacji Ojciec-Syn.

Dla większości reżyserów film fabularny, ten naturalny etap zawodowy po szkole dokumentalnej, jest o wiele trudniejszy. Dlaczego uważasz inaczej?

Fabuła jest jak wakacje, albo emerytura dla zmęczonego dokumentalisty. Absolutnie mam takie przekonanie. W dokumencie jestem niemal sama, zwłaszcza, kiedy sama go sobie montuję. W fabule jest blisko setka ludzi, którzy dzielą się ze mną swoim talentem, doświadczeniem, profesjonalizmem. A potem do montażowni przychodzi nie montażysta, a właściwie drugi reżyser – i nad filmem pracują już nie dwie, a cztery półkule mózgowe (*śmiech*). Tak jest z genialnym Rafałem Listopadem, z którym robiłam *Strzępy*. Poza tym do fabuły przyciągnął mnie totalny brak odpowiedzialności za powierzone postaci! Mogłam je zabijać, skłócać, wodzić na pokuszenie i co wiecior spokojnie patrzeć w lustro. Jak niewyobrażalna jest to ulga, wie tylko dokumentalista, który się przebranzowił.

Choć przed Tobą dopiero początek drogi ze *Strzępami*, na pewno już wiesz, o czym będzie następny scenariusz?

Nie tylko wiem, ale już go napisałam! To będzie gorzka komedia z „osiemdziesięcioletkami plus” w rolach głównych.

Dziękuję za rozmowę.

BEATA DZIANOWICZ – katowiczanka, absolwentka polonistyki (1993) oraz reżyserii (1996) na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Doktor habilitowany sztuki filmowej, adiunkt w Szkole Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego, wykładała również na Wydziale Wokalno-Aktorskim katowickiej Akademii Muzycznej. Autorka sztuk teatralnych, scenariuszy telewizyjnych i filmowych. Reżyserowała spektakle operowe, Teatru Telewizji, filmy dokumentalne, m.in. *Cela z widokiem* (1996), *Marzenia i śmierć* (1998), *Lekcja nadziei* (2002), *Podróż (nie całkiem) sentymentalna* (2003), *Deyna* (2003), *Latawce* (2007), *Twarze Łopusznej* (2011); kinowe filmy fabularne: *Odnajdę cię* (2018), *Strzępy* (2022). Ten ostatni został zakwalifikowany do oficjalnej selekcji konkursu głównego 47. Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni 12–17 września 2022 r.

Z Kresów Wschodnich na Zachodnie. Lwowianie i kresowianie w Panteonie Górnos Śląskim

ANTONI WILGUSIEWICZ

Panteon Górnos Śląski, stworzony z myślą o uczczeniu 100-lecia powrotu części Górnego Śląska do Polski, jak wszystkie tego typu upamiętnienia budzi różnego rodzaju zastrzeżenia, poczynając od miejsca, w którym został umieszczony. Najwięcej jednak – co zrozumiałe – kontrowersji dotyczy listy osób, które znalazły – lub znajdą, bo nie jest to lista zamknięta – w nim miejsce. Po dyskusjach zrezygnowano, moim zdaniem słusznie, z pierwotnego zamiaru uwzględnienia osób żyjących, dokooptowano za to niektóre nieżyjące, dla których w pierwotnej wersji nie było miejsca. Nie odnosząc się w sposób ogólny do listy pomieszczonych w Panteonie sylwetek zasłużonych dla Górnego Śląska osób przeanalizowałem ją jedynie pod kątem reprezentacji lwowian i kresowian przyjmując jako (podstawowe, ale nie jedyne!) kryterium miejsce urodzenia. Na 166 sylwetek odnalazłem dziesięć, które można powiązać z Kresami (w tym jedno małżeństwo) – dziewięć to kresowianie



Otwarcie Panteonu

zasłużeni dla Śląska, a jedna – Ślązak, który żył i zginął na Kresach.

Są to następujące osoby (według stanu

dostępnego mi na 20 czerwca 2022 roku):

- Tadeusz Ceypek, wybitny lekarz, laryngolog
- Tadeusz Ginko, chirurg (jako jedyny

z tej grupy pochodził z Wileńszczyzny, reszta reprezentuje Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie)

- Wojciech Kilar, kompozytor
- Roman Lutman, prawnik, dziennikarz, dyrektor Biblioteki Śląskiej i Instytutu Śląskiego
- Maria i Kazimierz Pawłowiczowie, pracownicy naukowcy (kresowianką była prof. Maria Pawłowiczowa)
- ks. Michał Rękas, twórca pierwszego w świecie radiowego Apostolstwa Chorych
- Bolesław Rutkowski, lekarz-anestezjolog, uczestnik bitwy pod Monte Cassino
- Olga Ręgorowiczowa z d. Zarzycka, poetka, dziennikarka, działaczka narodowa
- ks. Ludwik Wrodarczyk – Ślązak, oblat, zamordowany na Wołyniu przez ukraińskich nacjonalistów
- Jerzy Zieliński, lekarz, twórca śląskiej szkoły urologii

Nie kwestionuję zasadności umieszczenia w Panteonie żadnej z tych osób – ich zasługi są niewątpliwe, choć trudno porównywalne. Trzeba jednak zauważyć, że w powszechnym odbiorze społecznym na Śląsku egzystuje tylko jedna z nich – Wojciech Kilar, o którym nie słyszeli tylko nieliczni. Inne osoby znane są przede wszystkim w pew-

14
fot. Tomasz Wiktor PAP



Grób Adama Didura i jego córki Mary

ných kręgach zainteresowanych dziedziną, w której działały – tak na przykład osoby chore, korzystające z duchowej pomocy Apostolstwa Chorych, którego siedziba przeniesiona ze Lwowa przez ks. Rękasa do Katowic mieści się tu do dziś, z pewnością wiedzą o jego zasługach (podobnie jak jego następcy, także przybyłego ze Lwowa ks. Jana Szurleja, którego w Panteonie nie ma). Postacie niegdyś bardzo popularne i zasłużone dla Śląska, jak Roman Lutman czy Olga Ręgorowiczowa, dziś już są znane raczej znawcom i miłośnikom historii regionalnej. Osobne miejsce zajmuje postać ks. Ludwika Wrodarczyka, który bywa przypominany (poza rodzinnym Radzionkowem) w kontekście tzw. zbrodni wołyńskiej, której padł ofiarą. Warto dodać, że jest on jedynym kapłanem – męczennikiem tej zbrodni, którego objął proces beatyfikacyjny (zresztą niezwykle powolny). Nie jest to w żadnym wypadku zarzut pod adresem Panteonu, a wręcz przeciwnie – wszak jego główną funkcją powinno być utrwalenie i przypominanie, a w głównej mierze uświadomienie społeczeństwu regionu, całej Polski, a także odwiedzających go gościom i turystom z zagranicy zasług pokazanych w nim osób. Jak informują osoby zarządzające Panteonem, rozważane jest poszerzenie teże listy o dalsze osoby – prawdopodobnie znajdzie się tu aktor Zbigniew Cybulski, urodzony w Kniażach na południe od Stanisławowa i z tej racji mogący być uznany za kresowianina. Jest on pochowany wraz z rodzicami i bratem na cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza; w Panteonie znajdzie się raczej ze względu na swoją popularność i zasługi dla polskiej kinematografii niż dla Śląska jako takiego.

Z pewnością każdy zainteresowany najnowszymi dziejami Górnego Śląska ma własne propozycje osób, które zasługują na umieszczenie w Panteonie, a które być może w przyszłości tam się znajdą. Jeśli chodzi o kategorię wybitnych postaci związanych ze Lwowem i Kresami, o której wspomniałem na wstępie wymienilibym kilka następujących:

- spośród lekarzy, którzy są dość obficie reprezentowani (zapewne to zasługa Śląskiej Izby Lekarskiej, która przywiązuje duże znaczenie do utrwalania pamięci o przedstawicielach swojej profesji) przypomnielibym postać wybitnego pediatry, Artura Chwalibogowskiego. To on, a nie jego uczennica Bożena Hager Małecka, był twórcą śląskiej szkoły pediatrii;

- w przeciwieństwie do lekarzy kategoria inżynierów (naukowców i praktyków) jest reprezentowana bardzo ubogo, co musi dziwić na przemysłowym Śląsku. Spośród profesorów Politechniki Śląskiej znalazł się w Panteonie jedynie jej Rektor w latach 1990–1996 Wi-



Stanisław Fryze

libald Winkler, jednak – jak przypuszczam – ze względu na swoje zasługi polityczne i społeczne (był m.in. wojewodą śląskim i laureatem nagrody Lux ex Silesia), a nie osiągnięcia zawodowe. Spośród licznych grona zasłużonych profesorów proponowałbym wywodzących się z Politechniki Lwowskiej Stanisława Fryze, Stanisława Ochęduszkę oraz Tadeusza Zagajewskiego (ojciec potety). Pamięć o nich jest żywa i utrwalona, niestety jak dotąd w Panteonie nie znaleźli miejsca. Zwróciłem na to uwagę JM Rektorowi Politechniki Śląskiej, oby z pozytywnym dla sprawy skutkiem;

- muzyków reprezentuje Wojciech Kilar, co dziwne – zabrakło miejsca dla Adama Didura, który ze Śląskiem z powodu rychłego zgonu był związany dość krótko, ale pamięć o nim jako twórcy Opery Śląskiej jest wciąż żywa (pochowany jest wraz z córką śpiewaczką Mary Didur-Załużką na cmentarzu przy ulicy Francuskiej w Katowicach);

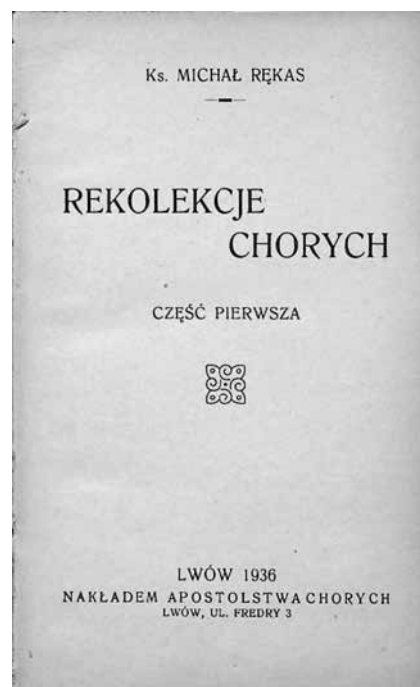
- wśród uczonych humanistów widzę konieczność uwzględnienia profesora Ryszarda Gansińca, rodowitego Ślązaka, światowej sławy filologa klasycznego. Pracował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, skąd z innymi ekspatriantami powrócił na Śląsk. Po wojnie był profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego, a następnie Jagiellońskiego;

- spośród wybitnych urzędników pochodzenia kresowego, godnych upamiętnienia można wymienić Michała Antonowa, twórcę polskiej archiwistyki na Śląsku (sprowadzony w tym celu ze Lwowa przez wojewodę Grażyńskiego, powrócił do swojej funkcji po II wojnie światowej), a także Leonarda Kuntze ze Stanisławowa, twórcę poczty polskiej na Śląsku jeszcze w ramach Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego (w czasie III

powstania śląskiego zorganizował pocztę polową) – kierował nią do 1931 roku;

- grono osób duchownych ze zrozumiętych względów jest reprezentowane w Panteonie dość licznie, niemniej jednak umieściłbym w nim także księdza Józefa Pawliczka, wieloletniego kanclerza katowickiej kurii. Po przejściu w stan spoczynku zdecydował się na prośbę ks. abpa lwowskiego Mieczysława Mokrzyckiego na objęcie funkcji wikariusza generalnego Archidiecezji Lwowskiej, gdzie swoim bezcennym doświadczeniem walnie przyczynił się do odrodzenia pracy duszpasterskiej po latach sowieckiego zniewolenia. Zmarł niespodziewanie na COVID podczas pobytu w Polsce 1 kwietnia 2021 roku.

Uwzględnienie tych, a być może także innych propozycji, pozwoliłoby na lepsze ukazanie roli Lwowian i kresowian w życiu Górnego Śląska XX wieku. Rola ta, znaczna jeszcze w czasach II RP, poważnie się zwiększyła wskutek powojennej ekspatriacji. Nie należy także zapominać o kierunku odwrotnym, to jest o roli, jaką Ślązacy – jeszcze od czasów średniowiecza – odgrywali w życiu Lwowa i Kresów. Ekspozycja postaci Wojciecha Kilara, wspaniałego kompozytora, „Ślązaka ze Lwowa”, wszystkiego bowiem w tej dziedzinie nie załatwia. Dodam na koniec, że zwiedzenie Panteonu z młodą panią przewodniczką nie rozwiązało moich wątpliwości, a wręcz przeciwnie, zrodziło wiele nowych, i to nie związanych z obecnością lub nie poszczególnych osób na przytoczonej na wstępie liście (która, notabene, nie jest dostępna dla odwiedzających!). Pozostaje jedynie mieć nadzieję, że zgodnie z oświadczeniem pracowników Panteonu problemy te z biegiem czasu będą rozwiązywane. ■



Oglądając obrazy Mariana Kołodzieja w Harmężach

Niebo zasłonięte szczelnie ciemnymi chmurami
budzi demony wojny. Ich szkielety jak kominy krematoriów
unoszą wciąż strach nad milionami niewinnych istnień.
Jeśli jeszcze kiedykolwiek na ziemi narodzi się piekło,
twój głos muszą usłyszeć wyznawcy zła. To nie dla nich
tak poczerwniało słońce, grzebiąc w zapadłych od głodu policzkach
wszelką nadzieję na sen spokojny.

Wróciłeś na tę przeklętą ziemię, nie jako pan i władca, ale świadek.
To bardziej boli, niż kolczasty drut strzegący ludzkich prochów.
Historia nigdy nie będzie sprawiedliwa dopóki nie zmierzy się z prawdą.
Całym tobą okaleczona pamięć, wgryzła się
w papier i ryje do głębokości obraz za obrazem,
aby śmierć – tak pewna siebie i okrutna – już więcej nikogo nie pochłonęła.

Tu demon i anioł zaciekle walczą ze sobą, który z nich pierwszy
zedrze okrucieństw kurtynę i z gapiów zadrwi zadufanych w sobie.
Lecz na tej scenie zbrodni nie kończy się człowieczeństwo,
bo z resztek pozostała ocalona godność i krzyk z otchłani:
Requiescat in pace!

Klasztor św. Jerzego w Wadi al-Kilt

pod wieczór w modlitewnym milczeniu
mnisi wychodzą z cerkwi

ich długie brody
jak skrzydła aniołów
dostojnieją w mroku

nadchodzi czas spoczynku
na ramionach Pana

po Ostatniej Wieczerzy
nikt nie chce już być
judaszem

od dawna przecież wiedzą
że nie zbawia się świata
w pojedynkę

Krajobraz świątloczuty

nie pozwól umierać wodzie
błysk tafli usypia czujność
wie o tym dobrze kamień
kiedy przebija jej serce

Zdumienie

nawet we śnie
przychodzisz spóźniona
i taka prawdziwa

że trudno oszukać
niepamięci dotyk

Okno

w centrum świata Bóg
umieścił okno

lubię jak przytula się do niego deszcz
a potem długo łzawi
nim na zawsze pochłonie go słońce

okno obnaża prawdę
tę za i przed smugą cienia

patrzac w dal pozwalam na chwilę
ulecieć duszy ku niebu
która jak mała dziewczynka
z przyklejonym do szyby nosem
uśmiecha się niewinnie do życia

W Palmirach

spłoszony wiatrem gołąb
przysiadł na białym krzyżu

tu ziemia bolesna modlitwą
ostrzega demony

zbrodni nie wolno zapomnieć
można tylko śmierci wybaczyć

za łzy

fot. Tomasz Bienek



Imperialne pogwarki

ks. HENRYK PYKA

W sali marmurowej opactwa w Sankt Florian pod Linzem słuchając koncertu, zadzieriałem głowę, wnikając w detale zawieszzonego nade mną malowidła. Barokowe opactwa w dawnej monarchii Habsburgów pełniły niegdyś funkcję imperialnych hoteli. Rozległe, luksusowo wyposażone pasáže cesarskich apartamentów z pewnością nie były miejscem, w którym uprawiano klasztorną ascezę. Teraz w tych okazałych przestrzeniach fundacja dla tych celów powołana organizuje koncerty. Wieloraka to uczta dla zmysłów, bo muzykę, najczęściej barokową, tu wykonywaną, wzbogaca swym wyrazem wizualny przekaz. Muzyka, rzeźba, architektura i malarstwo wzajemnie się dopełniają. Dla mnie tym razem muzyka będzie tylko tłem, bo na sklepieniu ponad słuchaczami i koncertującą kapelą spełnia się sen, kolejne marzenie wielopokoleniowej rodziny Habsburgów, wypisane na chorągwi cesarskiej podtrzymywanej przez geniusza panującej dynastii. Proklamacja wiecznego trwania imperialnej struktury spływająca z łopocącego proporca nakłania mnie do analizy treści tego monumentalnego fresku. Jego autorem jest Bartolomeo Altomonte, syn Marcina nadwornego malarza Jana III Sobieskiego, który po wiktorii wiedeńskiej pracował dla króla, między innymi w Żółkwi. Jego syn Bartłomiej, widocznie wyczuł korzystniejszą koniunkturę w Austrii, bo zdobył już nie królewskie, a cesarskie rezydencje. Jako artysta pracował dla cesarza Karola VI, ojca Marii Teresy, która – jak wielu pamięta – „płakała” nad utratą Śląska. Habsburgowie nie tylko umieli wykorzystać zwycięstwo pod Wiedniem, ale konsekwentnie doprowadzili do ostatecznego odsunięcia zagrożenia ze strony Osmanów. Bezpieczne granice i wynikający z poczucia bezpieczeństwa dobrobyt spowodowały niezwykle bujny rozkwit budownictwa sakralnego i pałaców. W Wiedniu Belweder i kościół świętego Karola Boromeusza, liczne pałace i dalej położone opactwa w Melku i Sankt Florian są tego przykładem. Budowali je najwybitniejsi architekci swego czasu: Prandtauer, Carlo Carlone, Johann Lucas von Hildebrandt. Jednym z wymiarów sztuki religijnej tamtego czasu było przyozdabianie obrazów i rzeźb Matki Bożej, jako Pani Zwycięskiej cesarską koroną. W kilku austriackich parafiach widziałem nawet cyboria taką koroną zwieńczone. Zatem aksjomat łopocący w roku 1724 w imperialnej przestrzeni Sali Marmurowej augustiańskiego opactwa pod Linzem jest reliktem czasu, w którym zakłócony wojnami sen Habsburgów zaczął się spełniać. Jest to niemal akt wiary. Wyraża on przekonanie wiecznego trwania Impe-

rium, które po tureckiej inwazji odzyskało zagrożoną równowagę: IMPERIUM SINE FINE DEDI. Tak czytamy na cesarskim porporcu. Pewność nieskończonego panowania mnie zdumiewa.

Czas opisać tę malarską wizję z ukrytą w niej polityczną przesłanką. Jak wiele tematów podejmowanych przez sztukę baroku i to malowidło odwołuje się do mitologii. Mitologia była wygodnym sposobem personifikacji politycznych pretensji i rozszczeń. Nie tak jak tematyka sakralna, skodyfikowana regułami Soboru Trydenckiego – uwalniała ona intencje fundatorów od wyrzutów sumienia. Jowisz był, czy nie był, choć funkcjonował poza historią – w tym propagandowym widowisku wyznaczał jednak imperatywy, które historię kształtowały. Oto widzimy go na wyniosłym tronie udrapowanym heraldycznymi barwami owej „Austria Felix”, która zawsze szczęśliwie umiała obronić swoje interesy. Dwaj geniusze przed tym tronem szybują unosząc herby Austrii i Węgier. Postacie, które kłęczą przed tronem Jupitera przybrane w królewskie gronostaje i korony nie wyobrażają władców tych krajów, bo władca jest jeden – cesarz. Dlatego ów Jupiter to z pewnością on sam. Choć ma wysokie mniemanie o sobie, nie wypada mu w chrześcijańskiej Europie przypisywać sobie boskiej godności. Kto patrzy niech się jednak domysła, kiedy spogląda na niego Gromowładny. Rozdaje krajom podległym monarsze palmy zwycięstwa, ale i dźwierz w swej dłoni na wszelki wypadek gromy. Ich skuteczność widzimy u stóp Jupitera. To martwy Turczyn oślepiony wpięciem, a potem uśmiercony monarszym gniewem. Tych gromów lękajcie się narody. A oto wraz z odniesionym zwycięstwem nadciągają zwiastuni miru i dobrobytu. Kiedy dobyło się kija trzeba pokazać i marchewkę, bo na tym polega władza. Phosphorus z płonącą żagwią w dłoni i Aurora rozsypująca kwiaty zapowiadają nowy świt europejskiej kultury, który wtacza się w środek zdarzeń jako Apollo na promiennym rydwanie. To właśnie pod berłem monarchy dobrze prosperują, plastycznie tu spersonifikowane Kultura, Nauka, Rolnictwo i Handel. Trwałość tych dóbr gwarantowana jest pewnością władzy, dogmatem wypisanym na cesarskim porporcu.

Fresk powstał w nieodległym czasie usilnych starań o utrzymanie przez Habsburgów imperialnej potęgi. Boje o sukcesję hiszpańskiego tronu zrujnowały skarb państwa. Koszty tej wojny wyniosły 350 milionów guldenów. Wspierający kredytem żydowscy bankierzy, Oppenheimer, Wertheimer i inni zbankrutowali. Krótki miraż panowania nad rozległymi ziemiami cesarstwa, nad którym nie zachodzi słońce, po-

zostawił w rękach naddunajskiego monarchy Belgii i większość Italii. Jeszcze w XIX wieku Marsz Radetzkyego grały orkiestry wojskowe na placu świętego Marka w Wenecji. Ogółem pod berłem domu habsburskiego żyło w czasach cesarza Karola 20 milionów ludzi. Był to jednak zlepek wielu nacji. Wiedeń stał się kosmopolityczną stolicą późnego baroku. W czasach rozkwitu włosko-hiszpańsko-flamandzko-czesko-austriackiej sztuki dworskiej, pałacowej i kościelnej dwór Karola uważany był za najbardziej pompatyczny i ceremonialny w całej Europie. Karol otoczony dworem zdominowanym przez jezuitów był podporą Kościoła. Był to sojusz – tron i ołtarz – którego atrybutem był kij i marchewka.



W 1731 r. wojska cesarskie wyгнаły dwadzieścia tysięcy protestantów z księstwo-biskupiego Salzburga. W niecałe sto lat później wojska Napoleona okupujące Salzburg rozwały panującą tu strukturę. Rozwiano iluzję powierzchownego optymizmu podpartego kijem i marchewką.

Ów powierzchowny optymizm widać także na fresku Bartolomeo Altomonte'a w Sankt Florian. Jego przejawem jest propagandowa prezentacja dwu zhołdowanych, uległych narodów, klęczących przed tronem zwycięskiego monarchy. W istocie nie tak prezentują się Węgrzy po pogromie Turków jak Austriacy. Zwycięskie batalie Eugeniusza Sabaudzkiego, podejmowane już po wiktorii wiedeńskiej 1683 roku, uwoływały, co prawda, Węgrów od jarzma tureckiego. Nie odzyskali oni jednak pełnej suwerenności, jako dawne królestwo korony Świętego Stefana. Antyhabsburska insurekcja na Węgrzech w latach 1703–1711, której inicjatorem i głównym przywódcą był magnat Franciszek II Rakoczy została rozbita.

Przymusowa aneksja Węgier do ziem cesarskiego imperium sprawiła, że punkt ciężkości monarchii habsburskiej przesunął się na wschód, rekompensując utratę wpływów w Hiszpanii. Austro-Węgry, jako osobliwy twór polityczny, tu na fresku opactwa w Sankt Florian, sygnują swój początek. Rekompensatą z tytułu utraty przez Habsburgów Hiszpanii były Węgry. Także Maria Teresa traktowała jako zadośćuczynienie po utracie przez nią Śląska w wojnach śląskich po roku 1741 zagarnięcie ziem polskich i miast spiskich przez Austrię w ramach pierwszego rozbioru. Nadzieje na wieczne trwanie imperium wiążą się z zaborczą agresją w stosunku do narodów ościennych. Widać to w przebiegu zdarzeń historycznych, także współczesnych, co dokumentuje inwazja Rosji na Ukrainę. Sprzyja temu brak znajomości historii i jej negacja. Pozostają także pretensje, mity i uprzedzenia wyrosłe z imperialnej mentalności.

Rok 1741 dla Józefa II, cesarza Austrii, był ważny z dwu powodów. Był to rok jego

urodzenia. W tym roku także Austria utraciła Śląsk. Zdarzyło się że spotkali się ze sobą: Józef II i starszy od niego prawie o trzydzieści lat Fryderyk II. Poza pretensjami nie mieli sobie wiele do powiedzenia. Stary Fryc usłyszał to, co nosił i w sobie, bo przecież bez powodu Śląska nie zagarnął. Kraina to była także wtedy bogata i urodzajna. Józef wyznał z żalem przyrównując Ziemię Śląską do ogrodu: jeszcze nie tak dawno mieliśmy ogród, dziś z tego ogrodu pozostał nam tylko płot. Tym płotem była granica, na której się spotkali – w Białej Wodzie, gdzie i dzisiaj granica, polsko-czeska przebiega przez miejscowy kościół nadal, czyniąc zadość „imperialnym” pretensjom. I tu, w Austrii gdzie bywam, kiedy mówię, że jestem Ślązakiem słyszę: przecież to jakby ziemie dawnej Monarchii. Czuje się ksiądz Austriakiem? Odpowiadam wtedy: tak, papież Wojtyła, choć nosił polskie nazwisko, także był Austriakiem, bo urodził się w Galicji. Nie powoduje to zdziwienia. ■

Bartolomeo Altomonte, fresk w Sali Marmurowej opactwa Sankt Floria. Fot. Dguendel



Pamiętnik (6)

Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*

Środa, 19 sierpnia [1936].

Elizy Orzeszkowej *Magon Wielki* to klejnocik^[1]. To epopeja bólu, smutku i ofiary z siebie.

Płyną kartagińskie okręty po morzu cichym, chybocącym lekko jak sen. Maszty ustrojono w róże. Róże na pół już powędły. Okręty wiosłami prują morze jak pługi.

W tryremie^[2] Magona jest komnata. Lampki egipskie niespokojnie drgają. Ogniki drgają jak iskry. Komnata wysłana jest kobiercami, czyniącymi wielką ciszę.

Magon przeżywa burzę. Patrzy się ponuro przed siebie. Oto on, Wielki, Niezwyciężony, służy swej drodze Kartaginie. Podbił Syrakuzy, bo Kartagina w tym upatruje interes. Kartagina jest spekulantem. Ale oto Syrakuzom idą na pomoc Grecy, idzie Timoleon. Magon ma ich zwalczyć.

W komnacie jest cisza. Magonowe oczy drgają jak iskry egipskich lampek. U stóp siedzi mu Archileos, zaufany sługa i opowiada dziwne dzieje Timoleona. Archileos nasunął na głowę kaptur, wtulił się cały w szatę i skurczony u stóp łoża Magonowego, mówi:

Kończy:

– Wystąpisz z nim do walki, ty, panie, najstraszliwszy wróg Grecji, wróg Timoleona.

– Wróg Grecji?

W pytaniu tym zabrzmiały nuty bólu i buntu. Wróg Timoleona, którego uwielbia? Magon obrócił się ku ścianie i jakby jej składając spowiedź mówił cicho, szczerze o wielkim przebudzeniu, jakie w nim teraz właśnie nastąpiło. Nie jest wrogiem Grecji. Brzydzi się Kartaginą, która chce zadawać krzywdę niewinnej krainie. – A głos na podłodze, wsunięty w zwoje kotary, przyświadczał cicho a zgodnie.

I wydał Magon rozkaz wstrzymania się z uderzeniem na Greków przez jeden dzień. A nazajutrz okręty kartagińskie cicho, jakby się wstydząc swego postępków, odpłynęły na morze.

– Uciekli.

Krzyczano i cieszą się w mieście.

– Magon-tchórz!

Wrzeszczano.

Syrakuza cieszyła się, szalała, tryskało tysiące hymnów radosnych ku górze. A nad afrykańskim morzem, na szczycie skały, o którą z hukiem rozbijają się wściekle wody, wznosił się ku niebu drzewo hańby, z rozpiętymi ramionami nagiętego Wielkiego Magona.

Piękną jest pieśnią tango „dla mojej matki”^[3]. Słuchałem je w radiu. Piękna i rozrzewniająca pieśń. Wraz z jej dźwiękami napłynęły wspomnienia. Słuchałem tej pieśni często z Riją. Patrzała mi się wtedy w oczy z szalonym zadumaniem, przechylała główkę w takt tego melancholijnego tanga. Pieściła tony wyrazem swych oczu, które były zwrócone na mnie – – –

Wysłałem jej list – – –

Nie napisałem jeszcze dotychczas ani jednego wiersza. To, co napisałem, to nie były wiersze. To nie mogła być poezja. Ona dopiero przyjdzie i omota mnie swymi dźwiękami. Poezja miłości i miłość poezji w człowieku prawdziwym to jedno i to samo. Poezja miłości – ja i Riją. A miłość poezji – ja. I z tych dwóch identycznych prostych zdań zrodzi się Poezja – – –

Czwartek, 20 sierpnia.

Sprzyszyła mi się poezja, chciałem już skończyć z wierszami. (– ktoś dziś poezji da rację, gdy granat silniejszy ma ton? –) Chciałem się w życiu rozplątać, nie współczuć rankiem z drzewami, opuścić ten najcudniejszy, a mocno oplwany mój tron.

Lecz co dzień w nocie pogodne i parne łódka księżycy kotwicę zrzuca tęsknoty na serca mojego dno – –
I co dzień srebrem konturów kasztan mi do snu przyświeca i mgła się na łąkach kładzie jak cicho przedśmiertne gzło.

Więc muszę okno uchylić, by myślom dać cicho odpłynąć –
– Zwołuję wtedy przyjaciół na ważny, wieczorny wiec.
Zjawiasz się droga Marysiu, za wielką, najświętszą przyczyną i czuję, że Ci trza słowa najpierwsze, stęsknione rzec.

W lot wszystkie twarze odpycham – –

– Na list Twój opada mi głowa
(– za oknem cicho szepleni malutki, drobniutki deszcz –)
Chcę Ci powiedzieć zwykłe, chcę rzec Ci najprostsze słowa
– myśli bezwolnie podają zamiast codziennych słów – wiersz.

Po całym dniu siedzę w domu. Wieczorem zawezwano mnie do ks. Komrausa^[4]. Było coś w sprawie kursów „Wiedza”. Zresztą, nic ważnego. Ojciec przyjechał z Tarn. [owskich] Gór jakiś zły. Nie wiadomo dlaczego, bo nic nie mówił. Złość ta udzieliła się matce i atmosfera w domu stała się nieznośna.

Piątek, 21 sierpnia.

Jestem okropnie leniwy. Dosłownie mi się niczego nie chce. Trochę mnie nawet zęby bolą i dlatego jestem wściekły.

Władek założył z Fojcikiem gruntowną przyjaźń. Może to nawet lepiej. W ten sposób ja się przynajmniej odciążę. Bo jeżeli się jest przyjacielem, to trzeba mieć również różne obowiązki. A one niejednokrotnie są trudne. Na przykład mówi mi już od kilku dni:

– Pokaż mi swój pamiętnik.

– Nie mogę.

– Czy nie masz do mnie zaufania?

– Ależ mam, ale widzisz – zaczynam kłamać – jeszcze za wiele dni nic nie napisałem. Może później.

Oczywiście, nie chcę mu powiedzieć wprost, że nie pokazę, bo by od razu powiedział, że nie jestem dobrym przyjacielem. A pokazać mu przecież nie mogę. Tym bardziej

obecnie, kiedy w nim zamknąłem tak silne wrażenia, jakich doznałem w obcowaniu z Riją. To są rzeczy, do których nawet najbardziej zaufany przyjaciel nie ma prawa. Zbyt święte są dla mnie te wrażenia, aby ktoś mógł sobie o nich wyrybiać osobny sąd.

Chodzimy znowu wieczorami po ulicach, prowadząc nie-
zbyt mądre dyskusje. Zmierza do nich zawsze Władek. My-
ślałem, że nie ma już takich brudnych myśli, jak jakiś prze-
ciętny chachar, a tymczasem okazało się, że nie może się
zdobyć ani na trochę silnej woli, by skończyć z jakąkolwiek
nieodpowiednią myślą.

Ciągle mi doradzają obaj, w jaki sposób mam skończyć ze
Stefą. Twierdzą, że jedynie stosunek cielesny może zakoń-
czyć tę znajomość, bez uszczerbku dla mojego honoru. Po-
mijając to śmiesznie głupie twierdzenie, o czym uporczy-
wie nie dają się przekonać, tłumaczę im inaczej to, co mnie
zmusza do zakończenia ze Stefą.

Pomijając już to, że popełniłbym wielką zbrodnię wo-
bec niewinnej i z dziecinną ufnością wierzącej we mnie
Riji, każde zetknięcie się moje ze Stefą jest niezdrowe. Za-
warłem z nią przecież znajomość w dniu pogrzebu Erwina
i dlatego jej osoba zrosła się nierozzerwalnie z[em] wspomnie-
niem Erwina. Ilekroć z nią rozmawiam, tyle razy widzę mię-
dzy nami nabrzmiałe, sine ręce Erwina, grożące nam nie-
jako. Przyznam się, że odczuwam nawet pewnego rodzaju
strach przed Stefą. No i oczywiście stosunek cielesny jest tu
i z tego względu niemożliwy. Popełniłbym tu znowu zbro-
dnię względem Erwina, wykorzystując chwilę jego pogrze-
bu do zapoznania się z siostrą, która bezwzględnie zmierza do
grzechu. Mówię bezwzględnie, gdyż ona na pewno nie może
za to!^[5] To, że jest histeryczką w miłości, ściąga z niej wie-
le win, które przynosi jej to swobodne jej zachowanie się.
Ona mogłaby być dobrą dziewczyną, gdyby nie ta histeria,
którą przyniosły jej warunki życiowe. Zresztą, jest jeszcze
wiele, wiele innych powodów, które każą mi jak najprędzej
zakończyć tę anormalną znajomość.

Przyjechał Pyzik. Prawie dwa miesiące nie widzieliśmy
[się], toteż mieliśmy dużo do gadania. On był na obozie
„Straży przedniej”^[6] w Nowogródku. Porobił tam wiele zna-
jomości z adeptami sztuki poetyckiej. Poczynił dużo cieka-
wych obserwacji. I dużo nauczył się.

Korespondencja z Riją zaczyna być częsta. Dziś dostałem
od niej list i od razu wysłałem odpowiedź. Zresztą prosi mnie
o szybką odpowiedź. Oczywiście, że ja się spieszę. Tyle do-
brze, że przynajmniej obecnie mam pieniądze na znaczki.

Sobota, 22 sierpnia.

Zęby mnie rwą, oczy mnie bołą, w głowie od tego wszyst-
kiego robi się harmider. Dziadzieje się powoli. Ani czytać
nie można, ani jeść, ani spać. Psiakrew!...

Oj, Boże, Boże!...

Niedziela, 23 sierpnia.

Przewiązałem głowę grubym szalikiem i wyglądam jak
jakiś Eskimos. W każdym razie groteskowo. A wszystkie-
mu winne zęby. Och, te zęby!...

Zresztą za oknem wygląda już tak, jakby panowała je-
sień. Słońce kładzie ostre plamy. Między cieniem a słoń-
cem jest bardzo duża różnica ciepła. Wielkie tarcze sło-
necznych nadaremno obracają swe wysmukłe szyje za ga-
snącym słońcem. W ogrodzie dużo astrów. A astry zawsze
przypominają jesień.

W pokoju pod piecem huczy ogień. Niby z powodu zim-
na. Zegary śpieszą się dość głośno. Wydaje mi się, że zega-
ry w jesieni i zimie są w domu ważnymi figurami. Bo w roz-
gwarze lata w ogóle się ich nie słyszy, a w dni słotne i zimo-

we można się wsłuchiwać w ich ciekawe tik tak. Przecież
dookoła jest cisza. Jedyne wiatr za oknami i ogień pod pie-
cem huczą przeciągle. I na tym tle tykanie zegarów wycho-
dzi szczególnie ciekawie.

A więc idziemy ku jesieni. Henryk Zbierzchowski^[7], ten
morowy lwowiak, który sam jeden może uparcie, ale nie bez
słuszności trzyma się starych form poetyckich, w wierszu
pod podobnym tytułem pisze:

Jeden kres ludziom, jak i kwiatom,
Co kwitnie to przekwita.
Szybko minęło moje lato
I już się jesień wita.

Jesień jest miłą porą roku. Szczególnie mojemu charakte-
rowi, mojej wrażliwości uczuciowej odpowiada ta pora roku.

Duszo! co jesień ci przyniesie?
Czy spokój jej posiędziesz?
Głos jakiś woła w przeczuciu lesie:
Dla drugich żyć już będziesz!

Nie jestem wprawdzie stary, wprost przeciwnie – jestem
wybitnie młody, jednak ciągle mi się wydaje, że jestem „skoń-
czonym człowiekiem”. Że brak mi młodzieńczej energii. A
przecież ona mi będzie w dwojnasób potrzebna czy to na
studiach, czy w pracy literacko-naukowej. Czasami to na-
wet jestem za to na siebie zły, iż wyglądam taki stary i ta-
kim się też mianuję być.

Z Helcią już za niedługo zakończę. Napisała mi list już nie
tak serdeczny, jak dawniejsze. Widocznie obraził ją oschły
ton mojego ostatniego listu. Zresztą, nawet lepiej.

W ten sposób będę już całkiem czysty. Bo ze Stefcią skoń-
czyć – to jest kwestia przyszłego tygodnia. Mając czyste su-
mienie, śmieję już będę mógł marzyć o Rijii.

Poniedziałek. 24 sierpnia.

Czasami wydaje mi się, że nie mam o czym pisać. Że nie
odnoszę w ogóle żadnych wrażeń. A ja wiem, że to jest non-
sens. Przecież mógłbym tak dużo powiedzieć, tak wiele mo-
ich wewnętrznych smutków i radości mógłbym wyprowa-
dzić na światło dzienne, ale uważam mowę ludzką jeszcze za
mało dojrzałą do wyłożenia tych stanów uczuciowych. Są one
dla mnie zbyt święte i w obawie przed ich spowszednieniem
czy zbanalizowaniem w zetknięciu z mową, wolę milczeć.

Takie szare i beznadziejne jest niebo, jakby to już rzeczy-
wiście panowała jesień. Jesień – pora roku, która na mnie
bardzo silnie działa. Zresztą, ma czym. Ten czar, jaki zawie-
ra w sobie wiatr, szarpiący oknem, płowe przestrzenie pól,
tu i ówdzie przecięte nitką dymów pastuszych i w ogóle cała
przyroda, która tak dziwnie się przeinacza w melancholię.

Istnieje pewien szlagier, zaczynający się od słów: „Zwy-
kle jesienią tak bywa, że miłość więdnie jak kwiat...”^[8]. Jest
to bardzo mądra, aktualna i istotna piosenka. Ubiegłej je-
sieni skończyła się „miłość” z Lodzią, a teraz zanoszą się na
skończenie z Helcią oraz ze Stefą.

Tak – ze Stefą to już jest najwyższy czas skończyć. Przysła-
ła mi przez Fojcika list, w którym prosi mnie do Jaśkowic^[9]
w czwartek po południu. Tam mamy się spotkać.

Przynajmniej raz pogadam z nią porządnie. Nie dam, nie
pozwolę unieść się moim żądzom. Będzie to dobra próba
mojej męskiej cnotliwości i mojego męskiego honoru.

Zęby rwą nadal, ale słabiej. Siedzę przy oknie i patrzę się
na ulicę. Wiatr przegania drogą resztki letnich okrucichów.

Drzewa burzą się, w drzewach wrze jakiś stop, który za chwilę parę zwarzy liście czerwono-żółtym trądem. Domy stoją cicho, jak prosto ociosane szopy na węgiel.

Poezja obecnie staje się moim najlepszym przyjacielem. Czytam różne stare wiersze, różnych starych i młodych poetów, deklamuję i sam trochę piszę. Trzeba przyznać, że w obecnych moich wierszach jest już pewien wyraz, pewien styl, które każe nazwać je moimi, oryginalnymi. Jest jeszcze zupełnie możliwe, że mogę napisać coś naprawdę pięknego. Bo talent mam. Na pewno! Od Boga go mam.

Wtorek, 25 sierpnia.

A więc był list od Riji, była nuda, była tęsknota o „skrzydłach szalonych”^[10], by[ł] dzień szary, jakby ulepiony z gliny, byłem ja – przerastający smutkiem cały świat.

Zresztą, z czegoż się cieszyć, kiedy niebo jest takie szare, kiedy astry w białych i różowych strzępach słuchają ostatnich zwierzeń wiatru. Latorośl^[11] wspięła się wysoko ponad altanę ogrodową i tam w górze usycha z pragnienia słońca. Dalie czerwone, żółte i białe tulą się do swoich palczastych liści. Liście dalij są owiśnięte^[12] na dół jak czyjeś ręce. A potem – na suchych patykach wiszą ciężkie i nagie pomidory. Biedny baldachim z liści za lada podmuchem chłodnego wiatru rozpada się na boki żółkniejącymi liliami liści. I jeszcze, naprzeda^[13] przez grządki, snują się, wiją się liany ogórków. Podpełzają aż pod płot i tam na brudnych sztachetach owisają jak mokre sznury od suszącej się bielizny. Taki jest mój ogródek w zmierzchu lata. Taka jest moja radość ujęta w ramy maleńkiego łąnu astrów.

Pod murem domu, szarego i brudnego sześcianu stoją skulone kury. Dzioby^[14] powtykały w pierzaste podgarle i leniwie stoją w jednym miejscu, obojętne na wszystko, co się nazywa życiem. W maleńkim rynsztoku gęś szuka odbicia swej niegdyś białej mordy. Śmiesznie próbuje podrapać się błotnistą łapą w czoło. Nie udaje jej się to i jeszcze śmieszniej przewraca się do kałuży. Chwile szuka pod sobą oparcia dla krótkich, łokciowych nóg, aż wreszcie powoli wstaje. Potem łopocze skrzydłami jak chorągwią, strącając z siebie płaty błota.

Między oknem a ogródkiem jest ulica. Ulica przysiadła z jednej strony pod murem. Tu jest prawie zawsze ciemno i chłodno. Za to od strony ogródka stoją kasztany. Szczytu sięgają wyżej dachów. Szczyty są miękkie, prawie wiosenne. Spływają półokrągło w dół. Bokami kasztanów, lekkim opływem liści znaczy się powaga. Kasztany są wiecznie poważne, a mimo to bardzo naiwne. Wystarczy przytulić twarz do okurzone, chropowatej kory, aby przekonać się, że szum ponad głową jest do ciebie zwrócony, że w nim skarży się drzewo i objawia ci swą podziękę kasztan, drzewo świętego majestatu.

Od okna poprzez ulicę źle wybrukowaną, między tralierką kasztanów, do ogródka do oazy letnich wspomnień posyłać myśli szarego człowieka, którego duszę zwarzyła nadchodząca jesień w czerwony, ropiejący trąd smutku. Dusza jest poza tym taka prosta i taka dziecinna, że najczystszy kwiat może jej z ufnością podać pocałunek swojej kwitnącej radości. Moja dusza tym oddycha, z tego właśnie żyje.

Środa, 26 sierpnia.

Zęby skapitulowały przed moją tężyzną. Czuję się od razu weselszy. Toteż i list do Riji wyszedł jak jakiś manifest słonecznej radości. Wprawdzie przyćmionej cośkolwiek jesienią, ale zawsze pięknej. Również i codzienna przechadzka z Władkiem, mimo suchego, jakby podzwrotnikowego wiatru, była zdrowa, żywa i radosna. Przecież to już koniec lata. Chłonać więc trzeba ostatki słońca i letnich, lekkich przewiewów.

Czwartek, 27 sierpnia.

A więc pojechałem na oznaczone przez Stefę spotkanie. [W domu powiedziałem, że jadę do Bełku na zbiórkę harcerską. Umyslnie dlatego ubrałem pod płaszcz bluzkę od mundurku. Musiałem okłamać, gdyż rodzice nie chcą ani słyszeć o jakiegokolwiek dziewczynie, z którą bym utrzymywał stosunki, choćby tylko przyjacielskie, towarzyskie.

Był deszcz. Łało porządnie. Pojechałem rowerem i zmokłem całkowicie. Chciałem się nawet z drogi zawrócić z powrotem, ale miałem silne pragnienie rozmówienia się ze Stefą poważnie.]^[15]

Czekała na mnie.

Nie umiałem jej powiedzieć prawdy. Kłamałem nadal w tonie poprzednich rozmów. Powiedziałem jej, z chęcią pozbycia się wreszcie tej zbytecznej osoby z kręgu moich konieczności:

– Wyjeżdżam do Lwowa na studia. Nie będziemy się mogli widywać.

– Przyjedziesz na wakacje. Spotkamy się.

I tu powinienem był powiedzieć prawdę, że nie mogę, że nie chcę, że szkoda gadać! A nie przeszło mi te parę słów przez gardło. Prawda, o którą tak gorąco zawsze walczę, wyparła się mnie. A więc zostało kłamstwo (jako przeciwstawienie prawdzie).

– Dobrze – odpowiedziałem zrezygnowany.

– Ty mi pierwszy całkowicie odpowiadasz.

– No...

– Na Tobie opieram wszystkie nadzieje.

– I...

– Podobasz mi się w ogóle.

Taką rozmowę powinno się zamknąć co najmniej pocałunkiem. Ale to było dopiero później. Bo na chwilę przestało lać i poszliśmy do lasu. Zresztą, przyjechał pociągami Fojcik i towarzyszył Marysi, siostrze Stefy. Oczywiście, że w jej domu nie byłem. Siedzieliśmy podczas deszczu u pewnego jej znajomego, [nieczyt.].

Stefa lubi dzikość. I dlatego w lesie przedzieraliśmy się przez najdziksze miejsca, umyślnie pomijając wydeptane ścieżki. Stefa jest trochę romantyczna. I dlatego zadyszani wpadliśmy na wąziutką aleję, prowadzącą wodospadem sosen i świerków w dół. W dół – nad morskie oko zieleni. Nad zamkniętą polanę. Mżyło. Przystanęliśmy pod baldachimem okiści drzewnych. Ona skłoniła głowę na moje ramię. Przytuliła się do mnie. Mżyło. Ale było wspaniale. Trawa lekko szuwarzyła^[16]. A może to nawet deszczyk sprawiał. Możliwe. Sosny przelewały się gdzieś w górze jak morze podczas przypływu. Taki był szum. I słyszeliśmy naszych serc bicie. Mżyło.

A potem banalne słowa pożegnania –

Wrażenie?

Nie wiem, jak je zdefiniować. Było dużo wrażeń. I nie wiadomo, które silniejsze. A każde inne.

Wnioski?

Jestem jeszcze za mało odważny. Brak mi jasnego zdecydowania się. Zaczyna mi się podobać bałamucenie dziewcząt. Zaczynam się psuć.

Środki zaradcze?

Odgrodzić się od świata. Stać się samotnikiem absolutnym. Książki wystarczą za cały świat.

W ogóle popełniłem względem dobrej Riji wielki grzech. Mea culpa – –

Piątek, 28 sierpnia.

Zamówiłem sobie encyklopedię. Chodził pewien agent – nosił wydawnictwa różnych firm na raty. Chciałem kupić polską, ale ta jest stanowczo za droga, obstałowałem sobie niemiecką. No – wiedza jest zawsze wiedzą, obojętnie w jakim języku się ją wykłada. Powoli zapłacę całą należność (52,50). Nie powiedziałem o tym ojcu, bo na pewno bym miał burę. Zresztą sam uskładałem sobie miesięcznie pięć zło-

tych, tyle bowiem mają wynosić raty. Władek zamówił sobie dzieło J.[ana] Dąbrowskiego *Wielka Wojna* za 80. zł.^[17].

Ja strasznie lubię książki. Ja uwielbiam książki. Moja księżniczka ma obecnie około 180 książek i to tylko wyborowych. Innych w ogóle nie kataloguję. Teraz przybędzie na półki encyklopedia w 4. tomach. Tytuł jej jest: *Kleines Mayers-Lexikon*. Wydanie – 1934 r.^[18]

Sobota, 29 sierpnia.

Zmieniłem zamówienie. Niemiecki leksykon na encyklopedię 2-tomową Trzaski, Everta i Michalskiego^[19]. Wprawdzie droższe to, bo – 70 zł., ale lepsze, bo polskie.

Poza tym?

– Smutek. Tęsknota wzmogła się. Myślę o Niej często. O Riji. O mojej kochanej paniencie. O mojej świętej – –

Niedziela, 30 sierpnia.

Poniedziałek, 31 sierpnia.

Wczoraj odbyła się w Knurowie odprawa drużynowych i przybocznych. Pojechałem. I wróciłem po całodniowej odprawie całkowicie zadowolony.

A więc przystępuję z drużyną do Trzyletniego Wyścigu Pracy. Wprawdzie zdaję sobie sprawę z trudności, jakie mnie czekają w pracy na przestrzeni trzech lat, ale mimo to chcę być Twórcą. To jest szlachetna nazwa. Twórcą tych młodych harcerzy, których oddano pod moją opiekę. Tak, jak ich urobię w młodości, takimi będą w przyszłości.

Żyje w smutku. Toteż taki wypad jak wczoraj, tym bardziej mi się przyda. Harcerze mają swój specyficzny humor. Oni umi[ej]ą się śmiać. Ileż to dowcipów pada przy obiedzie żołnierskim... Zaprawdę, błogosławiony to związek.

A dziś?

Wiatr pozwolił warkoczom wiotkich brzoź skołtuniec i na liściach kasztanów osiadł brzydki trąd. Niebo takie brzemienne, czekać, aż deszcz lunie i aż przyjdzie tęsknota nie wiadomo skąd.

Wczoraj lato, a dziś już jesień.

Wtorek, 1 września.

Środa, 2 września.

Cudny wieczór. Mimo wszystko pięknie spędzony. Romantyczny wieczór.

Fojcik był w niedzielę u Stefy. Ona poprosiła go wtedy, aby mi doniósł, że chce się ze mną w środę widzieć. Dobrze! Chciałem koniecznie pojechać. I pojechałem.

Przedtem jeszcze byłem w Rybniku. Tam, spożywając kolację w jakiejś restauracyjce, spotkałem niespodziewanie kolegę szkolnego, Kuczerę Engelberta^[20]. Oczywiście, *a conto* tego miłego spotkania wypiliśmy kilka kolejek. I stąd stałem się „różowo” nastrojony.

Potem pojechałem do Jaśkowic. Stefa była na dworcu. Gałęm bardzo dużo. Zresztą, nawet lepiej, bo o humor nie zawsze łatwo. Byłem u niej w domu. Jej matka przyjechała bardzo ciepło. Ojca nie było. W ogóle oni życzyliby sobie, aby zamiast tamtego kawalera, Stefa trzymała się mnie. Przy najmniej o to w rozmowie gorąco szermują^[21]. Kawalerowi swemu Stefa dała już półoficjalnego kosza. A we mnie jest najmocniej zakochana. Na to wskazuje jej zachowanie się.

Potem, wieczorem, poszliśmy do lasu. Księżyc świecił szeroko, niebo było całe lekko rozjaśnione. Pod nogami szeleściły nam opadłe już liście.

– Wiosną tu jest ładniej – cicho westchnęła Stefa.

– Ale za to teraz, jesienią, sentymentalnie.

Górą las lekko, całkiem cichutko szemrał. Szumiał i szwarzył. Nie było mgły. Był las, ja i Stefa. Ona i ja – jakiś jeden automat, pełen silnych, dzikich i burzliwych uczuć. I las...

Usiedliśmy na trochę wilgotnej trawie.

– Ślicznie – mówiła z zachwytem.

– Owszem – odpowiadałem melancholijnie.

Przywarła do mnie wargami. Ręka, palcami zagrzebała się w moich włosach. Czułem jej silny, szybki oddech. Jej przyjemne falowanie piersi.

– Zimno mi.

Przytuliła się do mnie, przytuliła...

Kochana Stefa, ona też umie uczynić człowieka szczęśliwym. Ona też potrafi stworzyć atmosferę zadowolenia.

A potem było jeszcze parę silnych wzruszeń i jakieś zakłęcia z jej strony. Nie zapomnij... Zresztą, potem cały wieczór stracił dla mnie swój urok i miałem jedyną obawę, aby się nie spóźnić do pociągu.

Czwartek, 3 września.

Rozpoczął się nowy rok szkolny. Tysiące uczni[ów] na nowo wkracza w święte progi szkół. Chwyta mnie jakiś żal za szkołą. Zazdroszczę kolegom i wszystkim innym, że mogą uczęszczać do szkoły, że mogą uczyć się i korzystać z praw szkolnych. Ja sam – sam muszę się uczyć i dociekać prawd i różnych teorii naukowych.

Och, Boże! Gdyby już jak najprędzej zdać tę maturę.

Piątek, 4 września.

Tydzień temu można było widzieć na targu pełno sztubaków. Dziś już nie. Poszli do szkoły. Jeszcze tylko jakieś niedobitki s[z]wędały się pomiędzy ludźmi.

Buczek na przykład mówił:

– Taki ładny dzień i dlatego nie chciało mi się pójść już do szkoły.

Naprawdę, ładny dzień. Czyli że jednak ta ładna, polska jesień zaprezentuje się nam w całej krasie, z[e] swej najlepszej strony.

Jak to W.[incenty] Pol mówi:

*Coraz ciszej – wrzesień! wrzesień!
Słońce rzuca blask z ukosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa –
Ha, i jesień – polska jesień!^[22]*

Opracuję sobie szczegółowy plan ostatniej nauki do matury. Co dzień chcę pracować przeciętnie sześć godzin. W tygodniu 5 (dni) x 6 czyni 30 godzin. Szósty dzień będzie zawsze rezerwowym – przeznaczony na różne nieprzewidziane „próżności”. Niedziela swoją drogą – odpoczynek.

Rija pisze mi [*nieczyt.*]: „zazdroszczę Ci, że nie musisz iść do szkoły”. Jaka ona naiwna. To ja jej zazdroszczę, że ma to szczęście chodzenia do szkoły. W ogóle jeżeli sobie dziś przypominam lata szkolne, kolegów, wagary i tyle, tyle różnych lekcyjnych dowcipów, to szkoła jest nie tylko powagą, ale i miłym urozmaicheniem życia.

Sobota, 5 września.

Całkiem niepotrzebnie nasza „hultajska” trójka pojechała do Stefy. Bo jutro mamy z nią pojechać do Wyr. Ma z kawalerem z powodu mnie dużo kłopotów. Ale mimo to czuje, iż musi mnie dostać.

– Trafiłam na swój typ – mówi.

Owszem, całuje mile i wytwarza swym przytulaniem się oraz rzadkim uśmiechem a bardzo wymownym milczeniem – atmosferę szczęścia. Dobra Stefa. Podoba mi się nawet. Powierzchnowość ma nader przystojną. Jest w tym samym wzroście, co ja. Jest stanowcza. I dzika. Stepową ma naturę, prymitywnie namiętne serce i w tym właśnie tkwi jej urok, tkwi to, co mnie przyciąga.

Głośno marzymy o Ukrainie, o stepach, na których obiecujemy sobie na pewno być. Ona wtedy patrzy się gdzieś przed siebie z ustami lekko rozchyłonymi, z niespokojnie drgającymi nozdrzami.

Cóż zrobić? Ona mnie kocha na pewno. Zresztą ojciec jej to wyraźnie powiedział:

– Nie kochasz swego kawalera, porzucasz go, chcesz być z Szewczykiem. Dobrze. Ale jeśli Szewczyk cię porzuci – bezapelacyjnie cię wydziedziczam.

A ona ma nawet wielkie wiano.

Niedziela, 6 września.

Mieliśmy pojechać do Wyr. I nie pojechaliśmy. Przede wszystkim z powodu Władka. Uparł się, że nie pojedzie. Ostatecznie ja też z wściekłością się na to zgodziłem. Tak też i Fojcik postąpił.

I był deszcz. Władek wyciągnął mnie do karczmy. Jedno, drugie piwko – i był humor – –

Poniedziałek, 7 września.

A jednak Fojcik pojechał. Zaraził mnie drań. Bo solennie obiecałem, że pojedę, jeżeli tylko ktoś z kolegów również pojedzie.

Musiałem się więc wytłumaczyć z tego. Dlatego o czwartej pojechałem do Jaśkowic. Stefa pracowała właśnie w polu przy kopaniu kartofli.

Poszedłem do jej ojca. Popełniłem głupstwo, bo powiedziałem, że zamierzam nawiązać bliższą znajomość ze Stefą. On zgodził się na to pod warunkiem, że Stefa zerwie oficjalnie ze swoim kawalerem Ryszardem.

– Ciesz się z tego. I jestem szczęśliwa – powiedziała mi potem.

Poszliśmy tą samą leśną ścieżką, którą odwiedziliśmy w pamiętną środę.

Ona szuka w mężczyźnie przede wszystkim siłę i zdecydowanie, nieugiętość i rozkaz. Chociaż właściwie mówi, że nie znosi rozkazów, to jednak imponuje jej zawsze kategoryczność. Ale poza tym jest nawet bardzo dziwna. A więc przysięga, że mimo może burzliwych przeżyć, jest jeszcze panienką, za wyjątkiem faktu „zabawy” 12-letniego chłopca z nią 6-letnią dziewczynką. Szaleje za naturą. Kocha step. Uwielbia niecodziennosc (moje włosy). Całuje namiętnie (– jeszcze) i miłuje inaczej od innych.

I dokąd ty właściwie jedziesz, Wilhelmie? Do jakiej przystani chcesz zażaglować^[23] na okręcie zwanym „Miłość”? Chyba nie masz ochoty przejść znowu jakiegś awantury? Jestem taki, jakim być nie powinno się. Przecież teraz jeszcze jest czas na zakończenie znajomości ze Stefą. Bo potem będzie za późno. Wyrządziłbym jej wielką krzywdę. I sam siebie poniżyłbym mocno. Mój honor wiele by na tym ucierpiał.

Ale ona jest taka miła...

Idziemy leśną ścieżką. Wybuchła na pół śmiechem, na pół ulewą słów: „A więc będziemy na Ukrainie...”. Marzy głośno. Wiesza mi się na ramieniu jak dziecko. Przykłada twarz do moich rozpalonych lic.

Ona jest taka miła...

Wszystko na świecie się dziwnie kręci,
głupio, wariacko jak bez pamięci,
jak ten pies, co chce swój ogon złapać,
by się móc po nim trochę podrapać.

Przypisy

[1] Szewczyk mógł czytać tę nowelę w edycji: E. Orzeszkowa, *Nowele ostatnie*, Gebethner i Wolf, Warszawa [i in.] 1922, s. 15–33. Nowela nosi tytuł *Magon*, a tylko w treści pojawia się w odniesieniu do tytułowego bohatera przydomek „wielki”.

[2] *Trirema* – starorzemieński okręt wiosłowo-żaglowy wziorowany na starogreckiej trierze.

[3] *To tango jest dla mojej matki* – utwór z 1935 r. Szymo-

na Kataszka (muzyka) i Zenona Friedwalda (słowa). Tango z repertuaru m.in. Stefana Witasa, Adama Astona, Tadeusza Faliszewskiego i Mieczysława Fogga.

[4] Ks. Jan Komraus (1883–1950), pierwszy proboszcz parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Czerwoncu.

[5] *nie może za to* – regionalizm składniowy („co ja za to mogę”), tu w znaczeniu: ‘nie jest temu winna’, ‘nic na to nie poradzi!’.

[6] Organizacja Pracy Obywatelskiej Młodzieży „Straż Przednia” została założona przez Adama Skwarczyńskiego (1886–1934), jako młodzieżowa organizacja patriotyczna realizująca idee sanacji. Działała w latach 1932–1939; pierwszym prezesem był Skwarczyński, a po jego śmierci Janusz Jędrzejewicz (1885–1951). Zob. Joanna Król, *Organizacja Pracy Obywatelskiej Młodzieży „Straż Przednia” (1932–1939) jako szkoła formacji propaństwowej*, „Forum Pedagogiczne” 2019, nr 1, s. 139–154.

[7] Henryk Zbierzchowski (1881–1942), poeta, prozaik i dramaturg, bard Lwowa. Autor licznych wierszy, piosenek i satyr, napisał także *Kolędę śląską*. Zob. Andrzej Albinia, Elżbieta Monika Albinia CSDP, *Okołoplebiscytowa „Kolęda śląska” Henryka Zbierzchowskiego jak przykład propagandowego wykorzystania semantyki kolęd do walki propolskiej w okresie konstytuowania się granic II Rzeczypospolitej*, „Studia Teologiczno-Historyczne Śląska Opolskiego” 2021, nr 2, s. 169–189.

[8] *Tango sentymentalne*, znane także pod tytułem *Przytul, uściśnij, pocałuj* – utwór z 1935 roku Wiktora Krupińskiego (muzyka) i Andrzeja Własta (słowa). Tango z repertuaru m.in. Stefana Witasa, Adama Astona, Tadeusza Faliszewskiego i Mieczysława Fogga.

[9] Przekreślone: *Jaśkowic*, napisane: *niej*.

[10] Aluzja do utworu Stanisława Władysława Reymonta, zob. idem, *Pisma*, wyd. zbiorowe zupełne ze wstępem Zdzisława Dębickiego, t. 20: *Marzyciel. Szkic powieściowy*, Wydawnictwo Tygodnika Ilustrowanego, Warszawa 1932, s. 83: „– Czekałem na ciebie! Czekałem! Czekałem! – Wzdychał, pierś mu się podnosiła coraz szybciej, w oczach płonęły gwiazdy, tęsknota rozwijała szalone skrzydła nadziei, marzenie unosiło go na kwietnym rydwanie w niebiosach”.

[11] *Latorośl* – młody pęd roślinny lub młoda roślina.

[12] *są owiśnięte* – zwisają.

[13] *naprzedać* – tu w znaczeniu: ‘na wprost’, ‘naprzeciwko’, zob. ‘naprzód’ (naprzeciw) w gwarze orawskiej.

[14] *dzioby* (gwar.) dzioby.

[15] To, co w nawiasie kwadratowym, zostało później skreślone przez autora.

[16] *szuwarzyła*, tu: szeleściła niczym szuwały, tatarak.

[17] Jan Konstanty Dąbrowski (1890–1965), historyk, profesor Uniwersytetów Stefana Batorego w Wilnie i Warszawskiego. Jego *Wielka Wojna 1914–1918* ukazała się w 1937 r. w ramach serii *Wielka historia powszechna*; zamówienie było zatem subskrypcją książki.

[18] Katalogi odnotowują, że wydanie z roku 1934 było trzytomowe; zob. *Meyers kleines Lexikon in drei Bänden*, Bibliographisches Institut AG, Leipzig 1934.

[19] Zapewne chodzi o *Encyklopedię powszechną w dwu tomach* Trzaski, Everta i Michalskiego, Księgarnia Wydawnicza Trzaska Evert Michalski, Warszawa 1932 (wyd. 2: 1933).

[20] Prawdopodobnie chodzi o Engelberta Kuczerę, syna Franza, ur. 15 sierpnia 1916 r.

[21] *gorąco szermują*, tu: naciskają.

[22] Wincenty Pol (1807–1872), krajowy poeta romantyczny i geograf, autor popularnego cyklu poetyckiego *Pieśni Janusza* (1835), poematu *Mohort* (1855). Przytoczony cytat otwiera *Pieśń o ziemi naszej* (1843), poemat sławiący ziemię polską. Zob. idem, *Pieśń o ziemi naszej*, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa [i in.] 1919, s. 3.

[23] *zażaglować*, tu: ‘dożeglować’, ‘przybić do celu’.

Szejkowie z Lechistanu

RYSZARD TWARDON

W 1989 r. Polska jako pierwsze państwo w bloku sowieckim dokonała bezkrwawego przeobrażenia status quo własnego państwa. Przeprowadziła paradygmatyczną zmianę dwóch podstawowych państwowotwórczych struktur: ustawodawczej i wykonawczej – z pomocą pokojowego i narodowego, konsensualnego i demokratycznego ducha porozumienia i kompromisu. Wyłanianiu się nowego porządku, nowej transformacyjnej rzeczywistości sekundowała radość ze zmiany i z szansy na lepsze życie, ale też niepewność, niepokój i rosnące obawy o narodową „gospodarczą” przyszłość. Z powodu braku doświadczeń ekonomicznych i podstawowej wiedzy o mechanizmach rynkowych, o zachowaniu się cen „nikt nie był w stanie dokładnie prognozować” – powiedział w udzielonym w 2014 „Pulsowi Biznesu” wywiadzie podsumowującym 25 lat gospodarki Leszek Balcerowicz – żadnych konkretnych poziomów jakichkolwiek wskaźników. Mogliśmy tylko tworzyć (jak to wyraził ekonomista) „pewne prognozy daleko ważniejsze – kierunkowe”. Nie wchodząc w szczegóły, można rzec, że nieustępliwość i konsekwencja polskich reformatorów, niespotykana wcześniej polityczna i społeczna wola zmiany, bez której nie potrafilibyśmy skutecznie i dogłębnie przekształcić i sprywatyzować planowej oraz centralnie sterowanej gospodarki – była tym kamieniem węgielnym, na którym powstał sukces gospodarczy Polski. W procesie gruntownego przeobrażenia się systemowego kraju liczyło się, patrząc po latach, to ogromne zaufanie kontraktowego sejmu do rządowych reformatorów. A także zawierzenie wdrażanym, w poświęceniu i zaangażowaniu, nowym regułom ekonomicznej gry i rodzącym się na wolnym rynku nieznanym rozwiązaniom, wpływającym na życie każdego z Polaka.

Fundament i aktualna siła naszej gospodarki mają swe korzenie, pomimo realnych zagrożeń, w odwadze pierwszych reformatorów i rozpoczętej przez nich ustrojowej transformacji. Co więcej, bez ich determinacji i odwagi, nie byłibyśmy w stanie odejść „od instytucji oligarchicznych”, które przez wieki – powie Marcin Piątkowski, ekonomista

Banku Światowego – hamowały rozwój kraju i zwrócić się w stronę „instytucji inkluzywnych”, które okazały się główną siłą napędową polskiego „sukcesu”. Innymi słowy, wszystko to, co dziś wiemy i co umożliwiło zrzućcie wielowiekowego gospodarczego zacofania i wolnościowego zniewolenia, oraz czego jeszcze nie wiemy, bo ujęte zostało pieczęcią tajemnicy korespondencji i tkwi w polskich czy zagranicznych archiwach – sprawiło, że zdarzył się jedyński w swoim rodzaju „cud nad Wisłą”, by użyć tej nienaukowej frazy. Właśnie ten zaraźliwy optymizm reformatorów przy przeprowadzeniu reform, jak i autentyczna, przenikająca wszystkie komórki społecznego ciała chęć powrotu do Zachodniej Europy, przy jednoczesnej gotowości Europy do przyjęcia naszego kraju – ta wyjątkowa kombinacja społeczno-politycznych sił i historycznych uwarunkowań, pozwoliły oddłużyć kraj i przekonać do siebie ówczesnych dysydentów oraz sceptycznie nastawione do Polski zachodnie rządy, a także międzynarodowe instytucje finansowe i renomowanych doradców, ukonstytuować nowe reguły politycznej i ekonomicznej będące podstawą dzisiejszej parlamentarnej demokracji.

Przytoczmy dwa głosy w tej „transformacyjnej” polskiej sprawie: „Zdaję sobie sprawę ze wszystkich niedoskonałości tamtego programu, ale myślę – powie Michael Camdessus, ówczesny szef MFW – że jeśli polska gospodarka była w stanie oprzeć się światowemu kryzysowi lat 2008–09, to właśnie dlatego, że została dobrze ukształtowana w pierwszych latach transformacji”. „Polska po dziś dzień stanowi – podkreśla Mathias Corman, sekretarz generalny OECD – inspirujący przykład dla innych byłych państw komunistycznych tego, jak dokonać udanej transformacji w kierunku gospodarki rynkowej i z sukcesem konkurować na rynku globalnym” („Forsal”: wydanie wirtualne 22.11.2021).

Było jasne, że Polacy nie chcieli zostać li tylko mistrzami świata w produkcji zboża, porzeczek, jabłek i malin czy pieczarek. Ambicje gospodarcze jego mieszkańców u początku transformacji były dużo większe, co udowodnili do tej pory dobitnie, co każ-

dy z odrobiną dobrej woli mógł już dostrzec i nie raz docenić. W pierwszej fazie pobudzenia ekonomicznego rozwój gospodarki opierał się w głównej mierze na transferze zewnętrznych środków wytwarzania. Będąc na niskim poziomie zaawansowania technologicznego, gospodarka nie była w stanie sama z siebie stworzyć – co oczywiste – nowoczesnych i innowacyjnych produktów. Trzeba było sprowadzić i zapraszać do współpracy zachodnie koncerny i spółki, które były – co potwierdza historia gospodarcza – obecne w niemal wszystkich branżach, począwszy od farmacji, poprzez przemysł kolejowy, samochodowy, spożywczy, mechaniczny, aż po dobra inwestycyjne dla konsumentów, na przykład słodycze czy sprzęty kuchenne. Przeważającą część polskiego eksportu stanowiły nieprzetworzone surowce i produkty spożywcze. Ale i na obszarze „tradycyjnych” artykułów rolno-spożywczych zaliczeni zostaliśmy do ścisłej producenckiej elity: żyta i truskawek, jagód czy gęsi. To polskie maliny, pieczarki i jabłka dominują w rolniczym eksporcie i rankingu światowych statystyk sprzedażnych. Przykładem takiego sukcesu były lata 2012 i 2013, kiedy nasze jabłka stały się prawdziwym hitem eksportowym na świecie, wyprzedzając w klasyfikacji jabłka z Chin. Staliśmy się potentatami w produkcji węgla drzewnego i świec, z których – jak mówi statystyka – co druga eksportowana do Niemiec pochodzi z Polski.

Od początku transformacji nasz kraj zmierzał konsekwentnie w stronę odpowiedzialnej urbanizacji i nowoczesnej infrastruktury, wiedzy i zrównoważonego wzrostu, podążał w kierunku doskonalenia polityki edukacyjnej i zatrudnienia. To dzięki intensywnemu i konsekwentnemu rozwojowi szkolnictwa wyższego i popieraniu nauki, tworzeniu inkubatorów innowacyjności, prorozwojowych funduszy i programów – daje się zauważyć stopniowe przeobrażanie gospodarki „imitacyjnej”, opartej na taniej sile roboczej i surowcach, w gospodarkę proinnowacyjną oraz zdywersyfikowaną, odporną na rynkowe zawirowania i nieoczekiwane zapaści. Innowacyjność technologiczną i biznesową można

osiągnąć tylko wtedy, gdy buduje się we własnym kraju i własnymi intelektualnymi mocami gospodarczą kreatywność. To właśnie pozytywny klimat inwestycyjny i warunki do prowadzenia biznesu oraz inwestycyjne fundusze najbardziej pomagają odbić się Polsce od gospodarczego dna i stać się kamieniem węgielnym dla ekonomicznego postępu – są nieocenionym czynnikiem rozwoju własnych sił produkcyjnych. Gospodarka podąża konsekwentnie w kierunku gospodarki cyfrowej, opartej na zaawansowanych wysokich technologiach oraz produktach, w stronę działań wspierających komercjalizację wyników prac badawczo-rozwojowych. Następują zmiany w polskim asortymencie eksportowym: jabłka są zastępowane przez ubrania i buty, węgiel kamienny i drzewny ustępują miejsca elektronicznym urządzeniom, maszyny i mechanika precyzyjna, oprogramowanie dla różnych branż oraz usługi reprezentujące sektor wysokich technologii wypychają z rynku eksportowego dotychczasowe masowe wytwory i rolnicze półprodukty. Od czasu akcesji do Unii Europejskiej gospodarka polska wzrosła w tempie średnio cztery procent rocznie, co umieściło nasz kraj wśród gospodarczych liderów wzrostu na Starym Kontynencie. Począwszy od lat 90., gwałtownie wzrósł w społeczeństwie przychód per capita, który osiągnął w 2018 roku wartość 32 tys. dolarów. Po prawie 32 latach gospodarczego rozwoju poziom dochodów w Polsce jest niemal taki sam jak na Zachodzie – nawet jeśli tylko weźmiemy pod uwagę – powie Piątkowski – jego najbiedniejsze kraje: Grecję i Portugalię.

Polska nie zabiega o każdego inwestora, ale o inwestora technologicznie innowacyjnego. O przedsiębiorcę, który tworzy miejsca pracy nie w oparciu o prosty montaż, lecz generuje postęp i stanowiska za badań, jak i nowoczesnych procesów produkcji oraz produktów, które można rozwijać i wytwarzać, a później eksportować je z sukcesem w świat. Bardzo dobra koniunktura w eksporcie, przemyśle, w usługach i rynku wewnętrznym, wzrost przetargów IT w administracji publicznej i samorządowej, a także wzrost inwestycji i modernizacji infrastruktury teleinformatycznej w przedsiębiorstwach prowadzi w kraju do wzrostu wydatków na technologię. Sięgają one w 2018 roku poziomu 12,48 mld USD – jak wynika z dostępnych analiz przeprowadzonych przez firmę doradczą IDC. Informacja ta pochodzi z dorocznego CAPEX-raportu GE Capital, firmy zajmującej się

od 50 lat analizą usług finansowych. Ze wspomnianego raportu wynika, iż polskie średniej wielkości przedsiębiorstwa planują w 2013 roku wydać na inwestycje średnio 119,00 tys. euro. To jest tyle, ile nie wydają żadne inne przedsiębiorstwa w Europie. Wyrzuciliśmy po raz pierwszy w historii Niemcy. „Polska prześcignęła Niemcy, mistrza Europy, w produkcji elektronicznej” – zauważył ze zdumieniem jedna z niemieckich gazet gospodarczych analizujących sytuację w Polsce w branży elektroniki użytkowej. Polską myśl technologiczną stopniowo zaczyna się doceniać i pozytywnie oceniać.

Jednym z najważniejszych czynników wzrostu technologicznej nowoczesności gospodarki stały się zakładane na rynku polskim fundusze inwestycyjne i rozwojowe, które wspierają komercjalizację wyników prac badawczo-rozwojowych i dopomagają – nie tylko u nas, ale i na całym gospodarczym świecie – w kreowaniu nowych, innowacyjnych produktów i przedsięwzięć. Takim najpoważniejszym przykładem kapitałowego wsparcia polskiej przedsiębiorczości i ducha innowacyjności jest sojusz publiczno-prywatny, powstały w 2014 roku z połączenia Narodowego Centrum Badań i Rozwoju z izraelskim największym funduszem inwestycyjnym Pitango Venture Capital i Investing. To zjednoczenie sił doprowadziło do powstania największego w środkowo-wschodniej Europie funduszu zaawansowanych wysokich technologii, poszukującego rentownych rozwiązań wśród firm i polskich przedsiębiorców. Fundusz tam zgromadzony został przeznaczony na rozwój nowatorskich pomysłów, które mogą trafić na rynki światowe. Za sprawą tych i innych działań kapitałowych funduszy zostaje przezwyciężona luka inwestycyjna, na jaką często napotykają polskie prekursorki wynalazki i projekty. Właśnie te wspierające gospodarkę – o wysokim stopniu ryzyka – działania okazują się źródłem rozwoju i postępu technologicznego w Polsce. Budowane centra rozwojowo-badawcze i pojawienie się własnych wyspecjalizowanych kadr inżynierskich i zarządczych pokazują ową uświadamianą w krajowych firmach i korporacjach konieczność inwestowania w nowe, o najwyższych standardach rozwiązania konstrukcyjne i elektroniczne oraz produktowe.

Nowoczesną bankowość Polska zaczęła budować od zera. I o dziwo pod względem rozwiązań i możliwości technicznych stworzyliśmy nowoczesny, konkurencyjny system finansowy wyznaczający od lat europejskie, by nie rzec: światowe standardy. Gdyby nasza cała gospodar-

ka była tak nowoczesna jak nasze instytucje finansowe – jak się często powiada – to z pewnością byłibyśmy pierwszym światowym mocarstwem. Jako dowód zaawansowania technologicznego polskich banków niech świadczy wprowadzenie ultra nowoczesnych biometrycznych urządzeń wykorzystujących technologię o nazwie „Finger Vein”, która rozpoznaje układ naczyń krwionośnych palca. Technologia ta – wprowadzona po raz pierwszy na naszym rynku przez Getin Noble Bank, który wraz ze Mastercard stworzył pierwszą na świecie kartę z wbudowanym czytnikiem linii papilarnych – umożliwia wypłacanie gotówki i dokonywanie płatniczych usług przy użyciu właśnie palca – bez konieczności posiadania karty ani kodu PIN. Na obszarze internetowych serwisów transakcyjnych i aplikacji mobilnych to właśnie mBank i bank Millennium przodują w europejskiej branży bankowej. Polska w sektorze usług finansowych stała się światowym pionierem w bankowości internetowej i mobilnej opartej na chmurze obliczeniowej – a także liderem pod względem nasycenia rynku kartami i terminalami zbliżeniowymi, przystosowanymi do płatniczych transakcji bezstykowych przy wykorzystaniu aplikacji zainstalowanych w smartfonie.

Liczne nagrody i wyróżnienia międzynarodowych organizacji finansowych za technologiczną innowacyjność naszych banków potwierdzają tę wyjątkową pozycję „Polskiego Standardu Płatności”. Przykładem wyjątkowej innowacyjności na obszarze technologii fintechowej niech będzie mBank, który w 2014 otrzymał 3 główne nagrody w globalnym konkursie organizacji EFMA, który to organ zrzesza około 3,3 tys. instytucji finansowych z ponad 130 krajów. Polski bank nagrodzono za stworzenie mobilnego kredytu oraz programu „mOkazje”.

Nowoczesne usługi dla biznesu to jedna z najlepiej i najszybciej rozwijających się dziedzin polskiej gospodarki. Sektor usług biznesowych stał się ekonomicznym czarnym koniem w naszym kraju: ilość centrów z polskim i zagranicznym kapitałem pracujących dla zewnętrznych klientów oraz w ramach własnych grup rośnie w dwucyfrowym tempie od kilkunastu lat. Wiele zagranicznych koncernów rozsiadanych po całym świecie prowadzi księgowość swoich oddziałów w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu i Trójmieście, a także w innych, mniejszych miastach. Mamy już 400 centrów obsługi, w których w 2014 r. pracowało około 110 tysięcy osób. Obecnie, jak się oblicza,

w centrach outsourcingowych pracuje około 300 000 pracowników, realizujących wymagające zadania od HR (Human Resources Management) po marketing. Nie wolno nie wspomnieć o rosnącej liczbie zakładanych centrów badań i rozwoju tzw. R&D z zakresu informatyki, telekomunikacji czy elektroniki przez największe koncerny technologiczne, takie jak Siemens, General Electric, Intel, Google, IBM, Microsoft, Whirlpool. Obecnie w sektorze badawczo-rozwojowym pracuje około 120 tys. osób, tworząc podwaliny pod działalność outsourcingu wyższej generacji, tzw. KPO (Knowledge Process Outsourcing).

Z niezamownego i niezasobnego w gospodarcze doświadczenia, ekonomiczne osobowości i organizacyjnie funkcjonalne struktury oraz kapitał kraju – Polska przekształciła się w ciągu jednej generacji w państwo rozwinięte, w kraj z dobrze działającymi mechanizmami rynkowymi – w państwo prawa strzegące swobody gospodarowania i własnościowe zasady. Na renomowanych wystawach i technologicznych targach nie zaskakuje już wiadomość, że główną nagrodę i wyróżnienia za innowacyjność wręcza się polskim firmom. Przykładem zaawansowania młodej polskiej gospodarki, rosnącego dynamizmu i zwiększającej się konkurencyjności są nagrody i wyróżnienia Polaków na różnych specjalistycznych wystawach, branżowych targach oraz w technologicznych konkursach. Jeśli ktoś się interesuje losami polskiej innowacyjności i stanem myśli technologicznej, najprawdopodobniej wie, że w klasyfikacji Deloitte Technology Fast 50, obejmującej firmy w Europie Środkowej, najszybciej rozwijające się technologicznie firmy, znajdujące się od lat na czołowych miejscach tej listy, pochodzą właśnie z Polski. Jednym z „polskich” przykładów inwestorskiej przedsiębiorczości i technologicznej innowacyjności, dowodem, że „polski programista i menedżer rzeczywiście potrafią” – niech będzie wrocławska firma Livechat Software, producent komunikatorów dla biznesu, umożliwiających właścicielom internetowych stron w czasie rzeczywistym bezpośredni kontakt z odwiedzającymi je klientami. Firma polska za kreatywność i inwencję na obszarze wysokich technologii oraz niespotykanie wysoki wzrost przychodów – wyróżniona została wielokrotnie w kolejnych edycjach europejskiego rankingu Deloitte. Wśród klientów wrocławskiej spółki, która, co ciekawe, 80% sprzedaży generuje na wymagającym rynku amerykańskim,

znajdują się znane, światowe marki, takie jak niemiecki Bosch, francuski Orange, amerykańskie Adobe, rosyjski Kaspersky Lab, koreański Samsung czy malezyjskie Air Asia.

Drugim przykładem jest łódzki IT startup, twórca porównywarki ubezpieczeń samochodowych „Gabi”, która została wspólnie skonstruowana przez polskich założycieli w USA, w Dolinie Krzemowej; tam, poza Polską, firma działała i prowadziła sprzedaż, a następnie została przejęta za 320 mln USD przez Eksperian, irlandzkiego globalnego gracza, spółkę zajmującą się ryzykiem kredytowym. Trudno nie wspomnieć przy tej okazji przyszłościowej technologii firmy XTPL z Wrocławia, która ma dużą szansę zyskać światową rangę i stać się globalnym dostawcą przełomowych rozwiązań dla nowoczesnej elektroniki. XTPL rozwija i komercjalizuje na światowym rynku addytywną technologię umożliwiającą ultraprecyzyjne drukowanie nanostruktur mających zastosowanie w liniach produkcyjnych nowoczesnej mikroelektroniki.

„RobotChallenge Autonomie Roboter aus Polen räumen wieder ab” – brzmiał tytuł w austriackim specjalistycznym czasopiśmie z 2014 r. Autonomiczne pojazdy z Polski zdominowały po raz kolejny zawody robotyczne w Wiedniu. Wśród 574 wystawców z 46 krajów polscy uczestnicy wywalczyli w 15 kategoriach 4 zwycięstwa, zdobywając w sumie na wiedeńskich rozgrywkach osiem medali. Żaden inny kraj – zauważa organizator wystawy – nie odniósł takiego sukcesu. Nasi producenci pojazdów wyposażonych w systemy sprawujące kontrolę nad ruchem i umożliwiające nadzorowanie pojazdu bez ingerencji kierującego znaleźli się na pierwszym miejscu, przed Niemcami, którzy zdobyli wśród uczestników robotycznych zmagania srebrny medal.

*

Trwający od ponad ćwierć wieku okres nieustającego gospodarczego wzrostu i postępującej zagranicznej ekspansji polskich firm nie zaistniałby bez nowych osobowości, które przed trzydziestoma laty rozpoczęły swój biznes potrzebą finansowego niezależnienia i sukcesu. Byli pierwszymi w kraju – jak pokazała transformacyjna historia – którzy uzyskali tożsamość, własną mentalną siłę i godność poza dotychczasową domeną trawienia czasu na narodowym samouwielebienu czy samobiczowaniu, na podtrzymywaniu cierpiętniczych gestów i pomnażaniu opatrnościowych znaków. Polscy pionierzy gospodarczych sukcesów, dążąc

do ekonomicznej i finansowej niezależności ujrzeni szansę spełnienia, odmiany losu i życia w działalności praktycznej i użytkowej, technologicznej i producenckiej – w zarządzaniu funduszami kapitałowymi i inwestycyjnymi typu venture capital – słowem: we własnej działalności: importowej i eksportowej, produkcyjnej czy inwestycyjnej. Ta skala gospodarczego zaangażowania dowodzi także, jak szybko nowi przedsiębiorcy polscy pojęli mechanizmy rynkowe i – jak późniejsza przemyślana indywidualna strategia rozwojowa i polityka zarządzania firmą i kapitałem pozwoliła wielu z nim rozwinąć działalność ponadnarodową, prowadzącą do globalnego sukcesu.

Za Józefem Tischnerem powiemy, że nowa polska przedsiębiorcza podmiotowość pojawiła się za sprawą przekształcenia pojęcia pracy. Praca w myśleniu nowych biznesmenów staje się pracą rzeczywistą i wartościową dopiero wtedy, gdy jest faktycznie produktywna i konstruktowna. Gdy wnosi realną wartość w proces wytwarzania towarów i usług. Innymi słowy, prawdziwa siła nowoczesnie rozumianej pracy związana jest z przedsiębiorczą odpowiedzialnością i troską o dobrze pojętą organizację i kapitał ludzki, postęp i zysk. Przejście gospodarczego rozwoju otwiera praca rozumiana na sposób Norwidowski: „jako czynne myślenie, a nie bezmyślny wysiłek mięśni nóg i rąk” (Tischner). Jako myślenie, które szuka nowych wyzwań i dróg, dostarcza poczucia własnego znaczenia i godności, otwiera realne możliwości wpływu na rzeczywistość gospodarczą, społeczną czy polityczną. Odrzucając „słomiany zapał”, przepełnione personalistycznym i racjonalistycznym myśleniem nowe polskie gospodarce Ja ustanawia filozofię przedsiębiorczej działalności i inicjatywy, zgodnie z formułą mówiącą, że trzeba formować rzeczywistość podług własnych przemysleń i zamiarów oraz pragnień, a nie być formowanym przez nią, dowodząc tym samym, że nie kto inny jak my sami, angażując się w dzieło przebudowy otaczającego świata, możemy coś osiągnąć, polepszyć i zmienić. Obecność osiągniętych sukcesów polskich przedsiębiorców jest dowodem, że pojmowana podmiotowo i odpowiedzialnie przedsiębiorcza praca nie szuka usprawiedliwień w przypadku, w przeciwnościach losu i czynnikach zewnętrznych, odrzuca poczucie poszkodowania i żalu – świadoma siebie, własnej kreatywnej siły i możliwości wie, że „bycie „skrzywdzonym czy cierpiącym” nie daje – w prawdziwym słowa tego znaczeniu – już poczucia godności, a często wręcz ją

odbiera. Owo permanentne poczucie niskiej wartości i niemożności zmiany, ta irytująca roszczeniowość, były i są tą główną przeszkodą – peerełowską pozostałością, tą kulą u „polskiej gospodarczej nogi”, która marzącym o innym, lepszym i dostatniejszym życiu nie pozwala z ekonomicznej i mentalnej biedy się wyrwać.

Truizmem będzie zdanie, że firma to nie tylko produkty, z jakich jest znana. Firmy to ludzie, którzy ją tworzą i rozwijają. Rozpowszechniane o bogatych Polakach historie mają to do siebie, że nie wspominają z reguły ani słowem o drażliwych, przykrych i mało zachęcających szczegółach: o aktywności i nadzwyczajnym poświęceniu, o ciężkiej, ponadnormatywnej pracy, a przede wszystkim o cierpliwości i konsekwencji, bez których osiągnięcie sukcesu byłoby niemożliwe. Rozkwit i sukcesy polskich przedsiębiorców pokazały, że podstawą wyjścia z technologicznego zastojem nie jest brak kapitału. A przynajmniej nie jest tą główną przeszkodą. „Jeśli ktoś ma ambicje, ale brakuje mu odwagi, zwyczajnie się boi” – zauważy Rafał Brzoska, założyciel Grupy Kapitałowej Integer, menedżer i producent, potentat na światowym rynku paczkomatów – „to nawet pieniądze mu nie pomogą. Natomiast jeśli nie brakuje mu odwagi, tylko pieniędzy do rozwoju, to jest już coś, co predestynuje daną firmę do myślenia o dalszej ekspansji”.

Nowe polskie gospodarce Ja, zaczynając najczęściej od zera, stawiając sobie ambitne produkcyjne, inwestycyjne i eksportowe cele, pokazało, że rzeczywistość gospodarza nie jest „dana” raz na zawsze – nie jest tym opartym na przypadku, protekcji i pochodzeniu monadycznym bytem – zamkniętym przed marzeniami światem. „Dwaj koledzy, którzy zbudowali potęgę firmy LPP, znanej między innymi pod marką Reserverd i wartej 15 miliardów złotych, która jako jedyna firma z regionu podjęła skuteczną walkę w Europie środkowo-wschodniej z takimi gigantami odzieżowymi jak Zara czy H&M, wyjechali na początku transformacji popracować do Niemiec. Zaoszczędzili 10 tysięcy dolarów, które przywieźli w walizce do Polski. Taki był początek LPP. Krzysztof Domarecki handlował komputerami i zupełnie przypadkowo w rozliczeniach za dostawy komputerów do krajów byłego Związku Radzieckiego zaczął otrzymywać materiały budowlane. I tak narodziła się Selena. Rafał Brzoska, który przed czterdziestką w ciągu kilku lat zbudował firmę wartą ponad miliard złotych, zaczynał jako student roznozszący w strugach deszczu ulotki su-

permarketów po domach. Jednocześnie jednak analizował rynek i w ciągu trzech lat przejął 40% rynku druków bezadresowych w Polsce, zatrudniając na początku cały akademik, a potem ponad 7000 osób. Krzysztof Pawiński, razem z kolegami ze studiów na AGH, rozpoczął od importu małych ilości zabielaaczy do kawy. Teraz ich firma – Maspex – jest gigantem spożywczym w Europie środkowo-wschodniej, o sprzedaży osiągającej ponad 2,5 miliarda złotych rocznie, z rynkową pozycją numer jeden w wielu krajach, a „Polak może czuć się dumny, kiedy widzi markę Tymbark lub Kubuś na półkach w prawie każdym sklepie w wielu krajach”.

Wyznaczających eksportowe kierunki, technologiczne trendy i kierunki rozwojowe firm z Polski nie było do tej pory na światowych rynkach. Ich pojawienie się w historii gospodarczej jest dla niewtajemniczonych ogromnym zaskoczeniem – dla wtajemniczonych oznaką pojawienia się w gospodarczej przestrzeni nowego przedsiębiorczego Ja, z jego poczuciem siły, własnego znaczenia i możliwościami wpływu na zastaną gospodarczą rzeczywistość.

Nie jest łatwo prowadzić interes na obcym rynku i w nieznanym jeszcze kraju. Handel ze Wschodem, z Rosją i Ukrainą przynosił polskim firmom na początku przemian transformacyjnych duże marże, ale pozostał do dzisiaj rynkiem ryzykownym – niestabilnym prawnie i politycznie, jak i gospodarczo obszarem. Dywersyfikacja kierunków inwestycyjnych i eksportowych na inne kontynenty, do Afryki, na Daleki Wschód, w stronę obu Ameryk, była – dla pragnących intensywniej się rozwijać polskich właścicieli spółek i firm – zwykłą koniecznością: silnym czynnikiem przyspieszającym organiczny rozwój prowadzący do międzynarodowego sukcesu. Wielu z nich – jak np. właściciele Nowego Stylu, Solarisa, chemicznego Synthosa, budowlanej Seleny czy producent odzieży LPP – już od lat dużą część swoich przychodów generują z operacji zagranicznych, szczególnie w Europie środkowo-wschodniej.

W latach 2000–2017 polski biznes przyciągany był jak magnes przez dwa kontynenty: Afrykę i Azję, części świata, które zamieszkuje około 5,8 mld ludzi. Przedsiębiorczy Polacy skierowali kroki w stronę Dalekiego Wschodu, Japonii, Chin, a także do Ameryki Południowej i Północnej. Szejkowie z Lechistanu – tak określa się tych wstępujących na pozaeuropejską scenę ekonomiczną polskich kapitalistów. Jednym z pierwszych naszych „szejków-biznesmenów”,

który uwierzył w inwestycyjny potencjał Afryki, był, jak wiadomo, Jan Kulczyk. W 2006 roku Kulczyk kupił udziały w Ophir Energy, który miał koncesję na poszukiwania i wydobywanie ropy i gazu w dziesięciu krajach afrykańskich, m.in. w Syrii, Brunei, Nigerii i na Ukrainie. W tym ostatnim państwie firma Kulczyka znalazła duże złoża gazu, łącznie wydając na poszukiwania i wydobywanie surowca około 200 mln dol. W tym samym czasie należąca do kapitałowej grupy Romana Karkosika spółka Krezus starała się o koncesje w kilku krajach afrykańskich, a jej geolodzy szukają złota, niklu czy boksytów w Republice Gwinei. Ryszard Krauze, polski miliarder z pierwszej piątki najbogatszych Polaków, zdecydował się wiercić na roponośnych polach w Kazachstanie. Ale inwestują za granicą nie tylko najbogatsi Polacy, również średniej wielkości przedsiębiorstwa postanowiły sprzedawać za granicą leki, żywność, kawę, ubrania, akumulatory czy górnicze maszyny.

Towary na innych kontynentach sprzedaje Polmos Białystok (alkohole), firma Pamapol (gotowe dania mięsne i warzywne) oraz największy w kraju producent kawy rozpuszczalnej, pochodzący z śląskiego Ustronia Mokate. W Afryce Północnej, by wymienić niektóre z inwestycji, fabryki w Maroku i Egipcie buduje krakowski producent opakowań Can-Pack. Firma z Krakowa Smart Systems instaluje z kolei innowacyjne oświetlenie ulic wykorzystujące baterie słoneczne w Sudanie Południowym. Wspomnijmy o Grupie Azoty, która planuje budowę fabryki nawozów w Kenii i o katowickiej Grupie Kopex uruchamiającej montownię pojazdów górniczych w RPA. Na podbój Afryki ruszył także w 2007 roku Krzysztof Paulus, wiceprezes spółki produkującej w podwarszawskim Piastowie akumulatory ZAP Sznajder. Afryka była sposobem na przyspieszenie rozwoju organicznego i alternatywnym rynkiem dla zagrożonej się w kryzysie Europy. „Ponad dwa lata pracowaliśmy nad przetarciem szlaków, znalezieniem odbiorców, zbudowaniem zaufania, ale udało się – mówi Paulus w specjalistycznym blogu branżowym polskiego rynku akumulatorów rozruchowych i zasilających. Dziś firma z Piastowa produkuje ok. 800 tys. sztuk akumulatorów, z czego 20% trafia m.in. do Tunezji, Egiptu, Gambii i Algierii. „Najwięcej sprzedajemy latem, gdy u nas kończy się zimowy sezon na akumulatory – twierdzi wiceprezes. – Konkurencja nam zazdrości, bo dzięki temu mamy non stop wysokie obroty”.

Wśród cech myślenia i działania naszej nowej gospodarczej elity na

czoło wysuwa się przede wszystkim osobista pasja oraz własna wizja i jej konsekwentne, umiejętne realizowanie, a także niwelowanie ryzyka przy podejmowaniu decyzji. Bez wizji i „pasji nie da się osiągnąć takich efektów, którymi można się pochwalić na świecie” – powie Mirosław Grudzień, współtwórca Vigo, światowego potentata na rynku detektorów podcierwienu, które dwukrotnie poleciały na Marsa. – „Bez pasji po prostu można zarobić na chleb, ale żeby polecieć na Marsa, to chyba się nie da”. Nowe Ja-gospodarcze, kierując uwagę i energię w stronę „determinacji, wytrwałości oraz systematyczności” – by sięgnąć po określenia Leszka Czarnieckiego, twórcy ponadnarodowego imperium finansowego Geting Holding – przyjęło jako pewnik, że zamieszkiwany i doświadczany świat może z gruntu wyglądać inaczej, że „człowieka ograniczają tylko te bariery, które sam sobie stworzy. Nic poza tym” – jak powie Tomasz Czechowicz, założyciel venture capital MCI, działającego w kilkunastu krajach świata funduszu inwestycyjnego. Ten wybijający się na pierwszy plan sposób patrzenia na działalność gospodarczą i rozumienia siebie w świecie, jak również własnego sukcesu najtrafniej ujął, jak się wydaje, Rafał Brzoska. Pokora, zdaniem Brzoski, jest tym kluczem do własnego sukcesu: „oznacza, że zawsze mam przed sobą scenariusz negatywny. Zawsze. Nawet jeśli jest dzień, że wszystko wychodzi i wpływają same dobre wiadomości, to wiem, że w poniedziałek dostanę obuchem w łeb. Tu się wali, to nie wyszło, tam się przegrywa na jakimś polu. Negatywny scenariusz generuje rozwiązania, które pozwalają ominąć, przeskoczyć przeszkody, przyspieszyć dane sprawy. To jest moja strategia radzenia się z problemami”. Podobną strategię rozwoju i prowadzenia firmy ma Wojciech Wyszogrodzki – współtwórca HTL Sfera, firmy posiadającej na światowym rynku, w szczytowym okresie, 55% produkcji jednorazowych nakłuwaczy. Zamiast ideologii niecierpliwości i niemożliwości wobec przeciwności losu oraz fatalizmu Wyszogrodzki postuluje i praktykuje wprowadzenie ideologii możliwości, opartej na zaangażowanym poszukiwaniu odpowiedzi i rozwiązań: „Słuchajcie, nigdy nie walczyliście z problemami, tylko szukajcie możliwości. Bo problem jest jeden, a możliwości – podkreśla – są dwie: »tak albo nie«. Jest dwa razy więcej do wyboru. A problem jest jeden i nie do zrobienia. Na tej zasadzie szukajcie rozwiązań”.

Polskim przedsiębiorcom nie udało się osiągnąć krajowego czy międzynarodowego sukcesu i stworzyć zaawansowanej technologicznie oferty usługowej czy produktowej, gdyby nie zaistnienie, w istotowym sensie, sześciu charakterologicznych cech, którymi są: umiejętne działanie w zespole, silne pragnienie zmiany, autentyczna pasja i zaangażowanie, zmysł długoterminowego planowania oraz umiejętność słuchania rynku. Dołożymy do tego skromność i oszczędność – co zauważy Krzysztof Piątkowski, a otrzymamy pełny obraz biznesowego modelu i firmowego sukcesu, który do niedawna miał postać życzenia – kształt odkładanego ciągle przez historyczne okoliczności marzenia, że w nim uda się spełnić i urządzić lepszą oraz sprawiedliwszą, bogatszą i o nieograniczonych możliwościach rzeczywistość. Innymi słowy, w nowym uniwersum polskich cech gospodarczych wolicjonalna konsekwencja zastępuje słomiany zapal i donkiszoterię, indywidualizm i improwizacja ustępują miejsca osobowej, pracowniczej konsekwencji i systematyczności – idealizowanie schodzi z pola na rzecz właściwej oceny możliwości i realnych osiągnięć – gotowości do współpracy i współdziałania. Jest tych cech z pewnością więcej, ale podkreślam te, jak się wydaje, najistotniejsze właściwości – które sekundują działaniom naszych krajowych, eksportowych i inwestycyjnych czempionów.

Podsumujemy: to dzięki pionierskiej grupie przedsiębiorczych ludzi i kadrze dobrze wykształconych menedżerów, rozbudzony został w Polsce duch przedsiębiorczej samorealizacji, który napełnił przestrzeń społeczną silną wiarą w indywidualną siłę, pomysłowość oraz osobisty tryumf. Obecnych polskich właścicieli firm nie dręczy kompleks niższości wobec zachodnich spółek i ich zarządców; nie pograża ich własnego myślenia retoryka gorszości czy niechęci. Znający języki obce i mający nowoczesne wykształcenie ekonomiczne, mobilni, posiadający własną wizję rozwoju i hierarchię ekonomicznych wartości stali się obywatelami globu, na którym – zgodnie z ich wizją życia i myślenia – każdy przedsiębiorczy obywatel traktowany jest jak potencjalny biznesowy partner. Co ważne: naszych przedsiębiorców kryzys czy porażka, jeśli się przydarzą, nie rozkładają na łopatki. Nie odbierają chęci do dalszej aktywności, lecz pomagają zrozumieć zaistniałą sytuację – ucząc, dają szansę na wyciągnięcie wniosków co do przyczyn na przyszłość. Sebastian Pazurek, założyciel firmy Watta, tworzą-

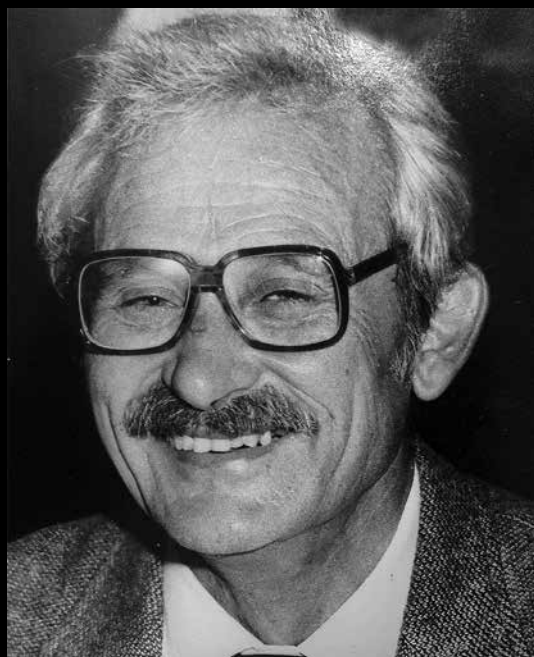
cej, produkującej i eksportującej kolektory słoneczne, majsterkował od najmłodszych lat w garażu. A co wy-majsterkował, to przeszło oczekiwania samych Niemców, którzy oceniali jego kolektor. Właśnie urządzenie z Polski okazało się w 2009 najbardziej efektywnym kolektorem słonecznym na świecie. Oprócz Watta tylko cztery firmy na świecie były w stanie zaoferować klientom urządzenia o podobnych parametrach, zamieniającego w ciepło 85% energii słonecznej.

Polscy przedsiębiorcy, przełamując narodową filozofię trwania w bierności i beznadziei, odważni i skłonni do działań na własną rękę i na własną odpowiedzialność udowodnili ponad wszystko, że poprzez „dobry pomysł, profesjonalną wiedzę techniczną, konsekwentną pracę i systematyczne realizowanie założonych celów” – można stać się kimś innym i o wiele lepszym oraz bogatszym – jak zauważa Witold Lewandowski, producent wag i właściciel Radwagu, który zdobył 10% udziału na światowym rynku.

Przeprowadzona transformacja gospodarcza przeistoczyła rolniczy, zależny od kaprysów świata i pogody oraz zadłużony „po uszy” kraj w państwo materialnie zasobne, innowacyjne, o wysokich dochodach, którego gospodarczy, technologiczny i finansowy wzrost przyniósł proporcjonalny dobrobyt wszystkim obywatelom, swobodę gospodarowania i własnościowe zasady. Jak wykazała międzynarodowa Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) z siedzibą w Paryżu, skupiająca 37 rozwiniętych i demokratycznych krajów, udział Polski w globalnym łańcuchu wartości (Global Value Chains) i znaczenie wartości dodanej w polskim eksporcie zwiększyło się o 22 pkt. i osiągnęło w 2018 roku 53,7%. Znaczy to po prostu, że już około połowa polskiego eksportu towarów i usług była przedmiotem transakcji w ramach międzynarodowych sieci produkcji. Znaczy to także, na co wskazuje renomowana instytucja z Paryża, że ponad 40% zatrudnionych na rynku wewnętrznym połączonych jest z rynkiem globalnym. Staliśmy się w Europie jednym z ważniejszych wytwórców RTV i AGD i jednym z czołowych producentów opakowań i mebli, liderem stolarki okiennej i branży kosmetycznej. Co z tego wynika? Ano to, że jeśli kupujemy zagraniczny towar np. perfumy, pralkę czy lodówkę, jeśli nabywamy „japońskie” czy „niemieckie” maszyny, samochody, urządzenia i sprzęt transportowy, kuchnię czy tapczan, musimy wiedzieć, że coraz większy udział w końcowych produktach mają polscy biznesmeni i polscy specjaliści.

Wspominając profesora Władysława Wojciecha Nasiłowskiego

GRZEGORZ OPALA



8 sierpnia 2022 roku zmarł prof. dr hab. n. med., *doctor honoris causa* Śląskiego Uniwersytetu Medycznego – Władysław Wojciech Nasiłowski.

Profesor Nasiłowski urodził się 8 kwietnia 1925 roku w Sosnowcu w rodzinie Antoniego – lekarza pediatrii oraz działacza społecznego i Marii z domu Grzeszak, nauczycielki. Ustabilizowaną, solidną i patriotyczną rodzinę lekarską i nauczycielską Nasiłowskich mocno doświadczył czas wojny. Po kampanii wrześniowej i tułaczce starsi bracia Wiesław i Mieczysław szczęśliwie docierają do domu. Natomiast 14-letniemu Władysławowi wybuch wojny przerwał naukę w Gimnazjum im. S. Staszica. Na początku wojny, w 1940 roku umarła matka, a w 1943 roku pracujący jako sanitariusz w oddziale zakaźnym, po zarażeniu się dudem plamistym, brat Mieczysław. Drugi brat, aby uniknąć zesłania na roboty

do Rzeszy uciekł przez Szwajcarię do Francji i tam podjął studia medyczne. Dla najmłodszego Władysława przychodzi czas szybkiego dojrzenia i ważnych życiowych decyzji. W 1943 r. związał się z grupą dywersyjną organizacji Wolność, Równość, Niepodległość (WRN), która została włączona do AK Obwodu Sosnowieckiego. Brał udział w zbrojnych akcjach dywersyjnych. Jednocześnie uzupełniał naukę zarówno w ramach samokształcenia, jak i na tajnych kompletach. Kilkakrotnie zatrzymany i aresztowany zdołał uniknąć obozu, najczęściej dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego. W uznaniu zasług został odznaczony Krzyżem Walecznych i Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Krzyż Armii Krajowej i Medal Wojska z datą rok 1948 otrzymał z Londynu dopiero w 89 roku.

Zaraz po wojnie zdał maturę w Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Sosnowcu

i w 1945 roku rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Poznaniu. Po studiach rozpoczął pracę w Katedrze Anatomii Patologicznej ŚIAM, gdzie obronił dyseratację doktorską. Następnie podjął pracę w Zakładzie Medycyny Sądowej u docenta Tadeusza Pragłowskiego, świadka zbrodni Katyńskiej. W 1965 roku uzyskał stopień doktora habilitowanego. W roku 1975 został kierownikiem Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej, jednego z najlepszych ośrodków w Polsce. Jest zapraszany na wykłady zagranicę. Prowadzi seminaria w Instytucie Medycyny Sądowej w Tybindze. Medycynę sądową wykłada nie tylko w ŚIAM, ale także na Wydziale Prawa Uniwersytetu Śląskiego, a w ŚIAM prowadzi także wykłady z etyki i deontologii lekarskiej oraz prawa medycznego. W 1974 roku Rada Wydziału Lekarskiego w Katowicach wnioskuje o nadanie Mu tytułu profesora nadzwyczajnego. Na realizację wniosku czekał kilka lat. W roku 1991 uzyskał wreszcie tytuł profesora zwyczajnego.

Dzięki osiągnięciom naukowo-badawczym prof. Nasiłowski cieszył się w Polsce zasłużoną sławą wybitnego medyka sądowego, w szczególności znawcy zagadnień z zakresu toksykologii sądowej. Publikowane wyniki badań uczyniły Profesora uznanym autorytetem. Odrębna grupa publikacji to ważne opracowania o istotnych problemach etyki lekarskiej i kwestii związanych z prawami pacjenta, część w formie felietonów pod pseudonimem „Adalbertus” (*Pismo Śląskiej Izby Lekarskiej Pro Medico*). Wiele razy reprezentował naukę polską na zjazdach międzynarodowych. Był promotorem licznych prac doktorskich oraz opiekunem habilitacji. Recenzował ponadto wnioski do tytułu profesora, a także wnioski o nadanie tytułu doktora *honoris causa*.



Drugi ważny okres aktywności Profesora to lata osiemdziesiąte, czas „Solidarności”. Był obecny z nami od pierwszych dni przemian posierpniowych rozpoczętych w naszej uczelni od odsunięcia ówczesnego rektora od władzy. Jest wszędzie tam gdzie powstawały nowe struktury związkowe i uczelniane wymagające prawnego opisanie nowej rzeczywistości. Zawsze można było liczyć na pomoc Profesora Władysława Nasiłowskiego. Tworzone ustawy, szczególnie ustawa o szkolnictwie wyższym, statut ŚIAM i liczne regulaminy powstawały z Jego udziałem. Ta działalność to nie tylko ciężka praca, ale konieczność fachowego i odważnego przeciwstawienia się różnym naciskom i działaniom manipulacyjnym. Jednocześnie potrafił, do rewolucyjnych często nastrojów, wprowadzić poczucie normy tak etycznej, jak i prawnej. Docenili to pracownicy Uczelni. W 1981 roku, w pierwszych demokratycznych wyborach władz Uczelni zostaje wybrany Dziekanem Wydziału Lekarskiego. Po ogłoszeniu stanu wojennego, zdając sobie sprawę, czym jest tzw. „prawo stanu wojennego”, złożył rezygnację z funkcji. W 1989 roku aktywnie włączył się w odbudowę demokratycznego życia. Był istotnym współtwórcą Kodeksu Etyki Lekarskiej oraz objął przewodnictwo Okręgowego a następnie Naczelnego Sądu Lekarskiego.

Trzeci obszar jego działań, może najważniejszy dla naukowca, jednego z najwybitniejszych w tym czasie specjalistów medycyny sądowej, to czas stanu wojennego i orzekanie w sprawach, które ze względu na swój wymiar polityczny były poddawane różnego typu presjom. Ta działalność wymagała nieustępliwego charakteru, odwagi i gotowości poniesienia konsekwencji w imię obrony prawdy. Prof. Władysław Nasiłowski był autorem bądź współautorem wielu opinii, które miały znaczenie polityczne a opracowanie ich zgodnie z zasadami, wymagało hartu ducha. Wystarczy przywołać wydawane opinie w sprawie badań związanych z morderczymi działaniami milicji i ZOMO w KWK „Wujek”, w sprawie Stanisława Pyjasa, czy badania w sprawie zamordowanych bł. księdza Jerzego Popiełuszki, księdza Sylwestra Zycha oraz maltretowania ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego. W każdej z tych spraw pozostał wierny przysiędze biegłego – wydawał opinie broniące prawdy, zgodne z wiedzą i sumieniem.

Dowodem wielkiego autorytetu Profesora, szacunku dla jego wiedzy ale też wielkiej prawości było powierzenie profesorowi szeregu ekspertyz dla celów beatyfikacyjnych i kościelnych związanych z ekshumacją zwłok ks. biskupa Adamskiego, ks. Jana Alojzego Ficka, ks. Franciszka Blachnickiego i siostr zakonnych Janiny Kierocińskiej, Laury Meozzi i Heleny Hoffman – siostry Dulcissimy.

Znajomość prawa, szczególnie w zakresie orzecznictwa, w osobie profesora jest połączona z nieprzeciętną erudycją oraz cechami osobowymi skłaniającymi Go do



stawania w duchu prawdy po stronie słabszych i pokrzywdzonych, bez zważania na skutki dla jego kariery. Pokazywał to swoim życiem zwłaszcza w momentach przełomowych naszej historii. Miało to znaczenie szczególnie wtedy, kiedy taka postawa niewątpliwie łączyła się z ryzykiem poniesienia często trudnych do przewidzenia osobistych konsekwencji. Obrona prawdy naukowej i zawodowej w obszarze medycyny sądowej i w orzecznictwie w trudnych okresach naszej historii wymagała odwagi szczególnej. Jako nauczyciel akademicki i medyk sądowy przekazywał nam to, co sobą reprezentował, a mianowicie odwagę w poszukiwaniu prawdy i jej głoszenie. Niezwykła osobowość prof. Władysława Nasiłowskiego, jego optymizm, wyznawane wartości, wrażliwość społeczna i poczucie sprawiedliwości to wartości, jakie wniósł zawsze do naszego środowiska akademickiego i całego środowiska medyczno-prawniczego.

W uznaniu zasług jako niekwestionowanemu autorytetowi w środowisku medycznym został wyróżniony „Wawrzynem Lekarskim”, najwyższym odznaczeniem Śląskiej

Izby Lekarskiej. Również środowisko prawników doceniło zasługi profesora przyznając odznaczenie „Adwokatura zasłużonym” za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kształtowania i stosowania prawa i działalność publiczną, zwłaszcza w obszarze praw i wolności obywatelskich. W 2011 roku macierzysta uczelnia przyznała mu zaszczytny tytuł doktora *honoris causa*. W 2019 roku w Katedrze Chrystusa Króla została uroczystie wręczona Profesorowi, ufundowana przez metropolię górnośląskiego abp Damiana Zimonia, prestiżowa nagroda *Lux ex Silesia*.

Patrząc na drogę życiową Profesora warto przypomnieć fragment wspomnień z okresu młodości i czasu wojny (*Kartki z kalendarza*, Wrocław 2013). Píše w nich: „Szarpiał mnie niepokoję i chęć znalezienia swojego miejsca w otoczeniu i świecie. Nie wiem, czy wojnę przeżyję i kim będę w przyszłości. Ale wiem na pewno co to jest patriotyzm i co to jest przyjaźń”. Bogu dzięki, przeżył wojnę i dożył sędziwego wieku, przekazując również nam ważne priorytety patriotyzmu i przyjaźni. Zapamiętamy na zawsze to najważniejsze przesłanie, jakie nam zostawił.

Na słonecznym tarasie widokowym nad jeziorem Necko w Augustowie (krajobrazowa perła Pojezierza Augustowskiego) znajduje się od niedawna szczególna rzeźba. Na początku lipca odsłonięto tam ławeczkę Marii Koterbskiej (1924–2021), niekwestionowanej damy polskiej piosenki, która zastąpiła m.in. nastrojowym i melodyjnym utworem „Augustowskie noce” (1959).

Zatańczyć...

Rzeźba różni się jednak wyraźnie od wielu innych ławeczek upamiętniających sławnych artystów (patrz: „Pomnikowe ławeczki na Śląsku” – artykuł w kwietniowym numerze 4/319 naszego miesięcznika). Wywodząca się z Bielska-Białej piosenkarka została w Augustowie uwieczniona w nietypowej postaci. Pomnik ma charakter obrotowy, a każdy z przechadzających się nad brzegiem jeziora turystów czy wczasowiczów może z łatwością zatańczyć z Koterbską.



fot. Z. Lubowski

Turysta zatańczył z Marią Koterbską

Jej popularna piosenka „Augustowskie noce” rozbrzmiewa z urządzenia wbudowanego w ławeczkę, stojącą obok uśmiechniętej artystki. Sporo spacerowiczów korzysta z niepowtarzalnej możliwości zatańczenia z nią. Trudno się temu dziwić – wszak utwór Koterbskiej sprzed ponad 60 lat przyczynił się w dużym stopniu do rozślawienia Augustowa w całym kraju.

Reporterska wizyta w 30-tysięcznym miasteczku na Podlasiu umożliwia ponadto dostrzeżenie zaskakującej osobliwości kulturowej. Niektórzy ze spacerowiczów (z młodszej generacji) nucą kultową piosenkę augustowską ze zmienionym nieco tekstem. Zamiast „muszelki znalezionej nad Wigrami” pojawiają się słowa o „butelce”. To wersja spopularyzowana przed laty przez grupę rockową Lady Pank. Wokalista zespołu, Janusz Panasewicz, wyjaśnił w jednym z wywiadów, że słowo „butelka” bardziej odpowiada duchowi naszych czasów. Sławny utwór Koterbskiej znalazł się w repertuarze Lady Pank w unowocześniejszej postaci...

Muzyczne ławeczki robią furorę

ZBIGNIEW LUBOWSKI

...lub mocno przytulić

Ławeczka legendarnej artystki z Bielska-Białej nie jest, co warto odnotować, jedyną muzyczną rzeźbą w podlaskim kurorcie wypoczynkowym. Od pięciu lat istnieje tam również niekonwencjonalny pomnik tzw. „Beaty z Albatrosa”. Któż z nas nie słyszał choć raz w życiu popularnej piosenki Janusza Laskowskiego pod takim właśnie tytułem?

W czasach PRL była ona żelaznym elementem repertuaru każdej chyba orkiestry dancingowej, przygrywającej do tańca bywalcom modnych restauracji w całym kraju. Rozbrzmiewały w nich dźwięki nastrojowej ballady o 17-letniej Beacie, spotkanej przez twórcę piosenki w Augustowie nad jeziorem Necko.

– Siedem dziewcząt z Albatrosa, tyś jedyna – śpiewał Laskowski w latach sześćdziesiątych XX wieku. Skomponował on kilka niezapomnianych przebojów, w tym m.in. „Kolorowe jarmarki”, spopularyzowane później przez Marylę Rodowicz. Ale to właśnie „Beata” przyniosła mu największą sławę. Do dziś jest kojarzony głównie z tym utworem.

Władze samorządowe Augustowa dostrzegły magiczną moc muzycznego hitu z roku 1965. Ponad pół wieku później odsłonięto tam rzeźbę niewiasty. Atrakcyjna siedemnastolatka siedzi na ławeczce przed budynkiem augustowskiej restauracji ALBATROS. Dzieło rzeźbiarza Michała Selerowskiego cieszy się niebywałą wręcz popularnością wśród turystów i wczasowiczów.

Wielu przechodzących tamtędy przybyszów z różnych stron kraju robi sobie pamiątkowe fotki na ławeczce z Beatą, chociaż była to tylko bohaterka tekstu piosenki, obdarzona romantycznym uczuciem przez jej autora i wykonawcę. To prawdziwy fenomen socjologiczny i kulturowy. Augustowskie szaleństwo przybrało jednak w tym roku szczególny charakter.

Restauracja Albatros (wywodząca swoją nazwę od morskiego ptaka o dużej rozpiętości skrzydeł) świętuje teraz 60-lecie istnienia. Oddano ją do użytku 22 lipca 1962 roku (data lipcowego święta komunistycznego miała duże znaczenie propagandowe dla decydentów sprawujących wówczas władzę w PRL). Lokal od samego począt-

ku działalności należał do PSS „Społem”, co nadawało całej sprawie specyficznego kolorytu (społem i nic nie widziołem – zwierzał się znany żartowniś i satyryk Zenon Laskowik w pamiętnym monologu kabaretowym).

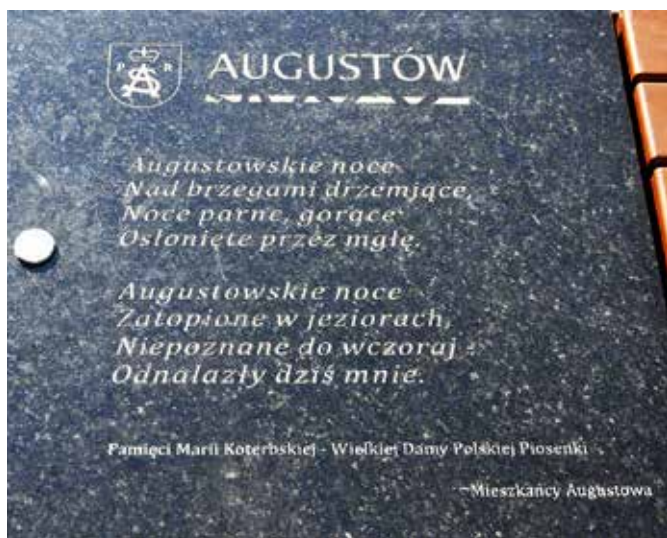
Jubileusz augustowskiej restauracji, usytuowanej przy reprezentacyjnej ul. Mostowej, łączącej rzezczy port wycieczkowych katamaranów z miejskim rynkiem, obchodzono w wyjątkowo uroczysty sposób. W prawie każdą środę wakacyjną na tarasie Albatrosa koncertował lokalny piosenkarz Marek Halicki, który przypominał spacerującym w pobliżu przechodniom letnie szlagiery sprzed lat. Nie mogło wśród nich zabraknąć – rzecz jasna – słynnej „Beaty z Albatrosa”.

Siedemnastolatka, którą widział i zapamiętał tylko Janusz Laskowski, stała się po latach wizerunkowym symbolem miasteczka położonego wśród malowniczych akwenów Pojezierza Augustowskiego. Beata z Albatrosa ma nawet – jak się okazało – przysięgłych fanów w całej Polsce. By nie naruszyć wakacyjnej konwencji, obowiązującej w tym popularnym kurorcie, przytuliłem mocno rzeźbę z ławeczki, co wzbudziło ogromny aplauz obserwatorów. Miłosne uczucie do Beaty okazały się po prostu zaraźliwe! ■



fot. Z. Lubowski

Beata z Albatrosa



MARIA KOTERBSKA miała w swoim repertuarze prawie 1500 utworów. „Augustowskie noce” były jednym z jej największych szlagierów o wakacyjnym charakterze. Melodyjna piosenka (muzyka – Franciszka Leszczyńska, słowa – Andrzej Tylczyński i Zbigniew Zapert) do dziś urzeka słuchaczy. Poniżej: przy okazji dowiedzieliśmy się, z jakiego to „Albatrosa” do piosenki Janusza Laskowskiego zesłała... Beata. Zdjęcia – Zbigniew Lubowski





Ana Jesvilienė, od blisko 20 lat dyrektor Domu Polskiego w Ejszyszkach na Litwie



Dom Polski w Ejszyszkach na Litwie

Rozmowa z Aną Jesvilienė, dyrektorem Domu Polskiego w Ejszyszkach na Litwie (najbardziej polskim mieście świata współcześnie poza Polską), zastępcą mera w Solecznikach

Czym są Domy Polskie?

Takie ośrodki sprawdziły się na Litwie, bo Polacy naprawdę mają tu swoje miejsce. Spotkania, które się w nich odbywają mają otwarty charakter. Np. w Ejszyszkach organizowane są wystawy okolicznościowe polskich i litewskich artystów i wernisaże. Odbywają się koncerty, festyny, warsztaty plastyczne, teatralne, wokalne-taneczne oraz szkolenia metodyczne dla nauczycieli. Działa też Uniwersytet Trzeciego Wieku. W gmachu mieści się także polska biblioteka oraz czytelnia. Znajduje tutaj swoje miejsce wszystko, co może się odbywać w języku polskim i jest ciekawe dla odbiorców. W Domu Polskim obchodzone są najważniejsze polskie święta narodowe, jak Święto Narodowe 3-go Maja i Narodowe Święto Niepodległości. W Ejszyszkach 11 listopada, od kilku lat, organizowany jest Festyn Piosenki Patriotycznej.

Dom Polski w Ejszyszkach jest najstarszym na Litwie. Nic dziwnego, bo współcześnie to właśnie Ejszyszki, które leżą przy granicy z Białorusią, na południe od Wilna, w rejonie solecznickim, są najbardziej polskim miastem świata poza Polską. Jeszcze w 1990 r. ponad 90 proc. mieszkańców uważało się za Polaków. (W 2011 r. spośród 3,5 tys. mieszkańców miasta Polakami czuło się 83,26 proc. osób).

Dom Polski w Ejszyszkach powstał w 1999 r. Kolejne uruchomiono w Wilnie w 2001 r. i w następnych latach w Druskienukach i Święcianach. Gmach Domu Polskiego w Ejszyszkach mieści się w rynku naszej miejscowości. To zabytkowy budynek byłej szkoły żydowskiej, później działała tu pierwsza polska szkoła. Tuż po wejściu do środka, można zobaczyć na ścianie tablicę wdzięczności za ufundowany w 1922 r. przez ejszyszczańsztanar dla 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich. W samych Ejszyszkach mamy polskie szkoły (podstawową, gimnazjum), polskie przedszkole. W całym rejonie miejscowe władze utrzymują polskie szkoły (na szczęście za wszelką cenę). To moim zdaniem jest najważniejsze, jeżeli dziecko rozmawia w domu w języku polskim i chodzi do szkoły, gdzie może go rozwijać polska tradycja nie zaniknie. Liczba polskich szkół nie maleje, w całym regionie działa ich sporo. Mało tego. Więcej osób uczęszcza do polskich, niż do litewskich szkół, chociaż od dzieci i młodzieży wymaga to większego nakładu pracy. Aby jednak zachować tożsamość, to jest niezbędne.

Zmieńmy temat rozmowy. Wojna na Ukrainie, bestialstwo Rosji, dotknęło całą Europę i świat. Co dla państwa bliskich sąsiadów mieszkańców Litwy i te-



10-lecie Domu Polskiego w Ejszyszkach

fot. Dom Polski w Ejszyszkach/Facebook

Gościnne progi Domów Polskich na Litwie

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

renów przygranicznych z Białorusią oznacza ten konflikt?

Ta sytuacja budzi wielki smutek... Jesteśmy solidarni z Ukrainą, to jednoznaczna opinia wszystkich. Co do Białorusi, mamy tam wielu krewnych, mieszkamy przecież na pograniczu. Każdy z nas rozumie, że nikt nie ma prawa napadać na inne państwo i zaanektować go dla siebie. Mamy u siebie uchodźców w całym regionie solecznickim, nie tylko w Ejszyszkach. Opiekujemy się nimi, zapewniamy wszelką pomoc. To bardzo dramatyczna sytuacja, sami mamy wiele obaw, nie wiemy co może nas czekać.

Czy Ukrainę uda się zachować w całości? Jak i kiedy zakończy się bestialska wojna Rosji i Ukrainy?

Uważam, że Ukraina ma pozostać w całości niepodległym krajem! Na początku nie przypuszczałam, że ten konflikt będzie trwał tak długo, a teraz jestem nim coraz bardziej przerażona.

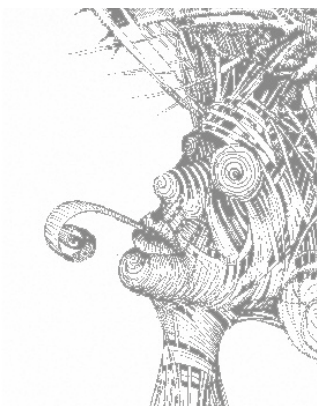
Czy pani zdaniem rzeczywiście to wojna przywódców państw: Putina, Łukaszenki? Czy ludność rosyjska, białoruska też jest przeciwko demokracji?

Białoruś pojawiła się w tym konflikcie z pewnego powodu. Rosja wsparła Aleksandra Łukaszenkę po wyborach, by mógł utrzymać się przy władzy i teraz prezydent Białorusi i jego ludzie spłacają ten dług. Ale to tylko moja opinia... Na co dzień mieszkańcy Białorusi

są ludźmi pokojowymi. Znamy się, mieszkamy tak blisko nich. Po tamtej stronie granicy na cmentarzach spoczywa wielu naszych bliskich i odwrotnie na Litwie mamy groby wielu Białorusinów. Jest wiele rodzin mieszanych. Podejrzewam, że zwykli mieszkańcy Białorusi nie opowiadają się za wojną.

Na zakończenie naszej rozmowy wróćmy jeszcze do tematu Ejszyszek i historii II wojny światowej, i powojennej. Ejszyszki były miastem, które stawały na tolerancję, tymczasem amerykańska profesor żydowskiego pochodzenia Yaffa Eliach twierdziła, że AK dokonało tam w 1944 r. pogromu Żydów. Czy to prawda?

Ejszyszki były zawsze miastem wielokulturowym, gdzie w zgodzie żyli Polacy, Litwini, Żydzi, Rosjanie, Białorusini, Tatarzy, Cyganie. (I tak jest do dzisiaj). W latach 40. ub. stulecia były wypadki rozstrzelania przez Armię Krajową NKWD-zistów, nazistów, ale żołnierze podziemia zawsze cieszyli się szacunkiem mieszkańców i nie spotkałam się z podobnymi opiniami. To władze radzieckie przede wszystkim w okresie powojennym zmuszały Polaków i mieszkańców innych narodowości do emigracji i nakładały represje. Niedawno w Ejszyszkach powstał pomnik upamiętniający mieszkańców, którzy w latach 1939–1959 zginęli, zostali wywiezieni lub zmuszeni do opuszczenia miasta i okolic.



ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Ze Świdnicy do dzieciek w Reptach

Już wiele razy wyznałem, że moja telewizyjna „Ojczyzna polszczyzna”, do której – oczywiście – nawiązuje tytuł niniejszej rubryki, narodziła się w styczniu 1987 roku na Święcie Słowa w Świdnicy. To tam mnie wypatrzył reżyser Władysław Tomasz Stecewicz i zaproponował autorską spółkę. Ale największą gwiazdą był w Świdnicy Wiesław Myśliwski, którego powieść „Kamień na kamieniu” była wtedy wielkim przebojem czytelnictwem. Wróciłem do niej teraz, a 90. urodziny pisarza – poza urodą języka książki – na pewno były impulsem do ponownej lektury.

Wśród wielu ciekawych form znalazłem w „Kamieniu...” słowo *reptuch*: „Szkoda, że reptucha kobyle nie wziąłem”, „Musowo pistolet pod siedzeniem albo w reptuchu z obrokiem”. Czy ma ono coś wspólnego z nazwą starej wsi *Repty*, należącej dziś administracyjnie do Tarnowskich Gór?

Brzmienia obu tych form mogą sugerować powinowactwo etymologiczne, ale jednak nie mają one z sobą pod tym względem nic wspólnego. *Reptuch* z książki Myśliwskiego to obecny w gwarach wariant pierwotnej postaci *kreptuch* znaczącej tyle, co „worek z owsem dla koni”, a wywiedzionej z niemieckiego rzeczownika *Krippstuch* „sukno żłobowe” (*Krippe* „żłób”, *Tuch* „sukno”). *Repty* natomiast to pierwotne określenie „ludzi głośno mówiących, hałasujących”, pochodzące od archaicznego czasownika *reptać*, o którym czytamy w „Słowniku etymologicznym języka polskiego” Aleksandra Bruecknera z roku 1927: „*reptać* obok *rzepać* „szemrać” z Biblii Leopolda z r. 1561, rus. *ropot*, *ropat*’, cerk. *ruput* „o hałasie”, czes. *u-řp-utny* „krnąbrny”, nazwy osobowe: *Rpień*, *Rpisz*; są jed-

nak postaci z miękką spółgłoską lub z *e, o*: *reptanije* w Psalterzu synajskim z XI wieku, łuz. *ropotać*”. „Podręczny słownik dawnej polszczyzny” Stefana Reczka z roku 1968 rejestruje z kolei hasło *rzepać* „szemrać, sarkać”, opatrując je w cytacie z Biblii królowej Zofii z roku 1455: „Rzepał jest lud”.

Przed laty jeden z odcinków „Śląskiej ojczyzny polszczyzny” zatytułowałem „Dziecka, niy reptejcie!”. Zacytowałem w tym nagłówku babcię mojej tarnogórskiej koleżanki, która w rozmowie na temat *Rept* przypomniała sobie taką właśnie wypowiedź z czasów swojego dzieciństwa.

W wykrzyknieniu tym mamy także typową dla śląskiej mowy pluralną postać (*te*) *dziecka* – ściśle morfologicznie przylegającą do singularnego mianownika (*to*) *dziecko*. Czytamy w „Małym słowniku gwary Górnego Śląska” z roku 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec: „A wasze dziecka wcale niy sóm take świynte”.

Tak się składa, że owe *dziecka* można też znaleźć w „Kamieniu na kamieniu” Wiesława Myśliwskiego urodzonego w Dwikozach koło Sandomierza: „I co u niej za piersi, phi. Jakby dziecka z niej wysłały”, „Chryste Jezu, sama baba z czworgiem dziecetek!”, „Została żona z trojgiem dziecetek”, „Pije, bije i by dziecka tylko robił”, „Troje pozostałych dziecetek siedziało już w łóżku pod pierzyną”.

Używane dziś w języku ogólnym pluralne *dzieci* to z historycznojęzykowego punktu widzenia, o czym informuje chociażby „Słownik etymologiczny języka polskiego” Wiesława Borysia z roku 2005, wtórna forma liczby mnogiej od prasłowiańskiego rzeczownika zbiorowego *det*’ z daw-

niejszego *doiti*, utworzonego za pomocą przyrostka *-t*’ od prasłowiańskiego czasownika *dojiti* „ssać” (por. dzisiejsze *doić*), pierwotnie oznaczającego „to, co ssie (piers)”. *Dziecko* natomiast, utworzone od prasłowiańskiego *det*’, to pierwotnie forma pejoratywna, utworzona przyrostkiem *-sko* (tak jak np. *babsko* od *baby*).

W powieści Myśliwskiego zatrzymałem się przy jeszcze jednym słowie, a mianowicie przy formie *żarty*: „Żarte takie, będą dobrze się chowały”. W śląskiej mowie słyszy się jej warianty *żyrti*, *żyrny* – „lubiący zjeść, mający apetyt (o zwierzętach)”: „Ale tyn wasz cielik jest żyrny” oraz rzeczownik *żyrok*, *zyrok* – „żarłok, obżarciuch”: „Eli tyn wasz babuć jest wielki żyrok?” („Mały słownik gwary Górnego Śląska”, str. 312). Dopuszczymy, że *babuć* z ostatniego cytatu to na Śląsku południowym „wieprzek, tuczna świnia” („Chowałach se babucia”) oraz „ktoś gruby” („Niy żer tela, bo bydziesz babuć”). Wyznam, że określenia *żyrti* lubię żartobliwie używać również w odniesieniu do ludzi, w tym – do siebie samego!

A jaka jest etymologia *Świdnicy*, od której rozpocząłem dzisiejszy odcinek? – Nazwa tego starego Bystrzyca, położonego nad Bystrzycą, dopływem Odry, pojawia się w dokumentach od XIII wieku: *Swidenicz* 1239, *Zuidniza* 1245, *Swidniz* 1250. Jest ona utworzona od przymiotnika *świdwny* (po uproszczeniu grupy spółgłoskowej *-dwn-* : *świdny*), a ten od staropolskiej nazwy rośliny *świdwa* „dereń”, za pomocą przyrostka *-ica*. Jest to nazwa typu topograficznego, związana z rodzajem roślinności (Maria Malec: „Słownik nazw geograficznych Polski” z roku 2003, str. 239). ■

Nie śniła się zima

Śniła się zima
Mickiewicz

Nie śniłem już. Nie śniła się zima,
choć zima była, lecz ja już nie śniłem.
W domu, przy stole, mama poszła gdzieś,
ja, pięcioletni, jem śniadanie, sam.

Każdy kąt mówi swą straszną opowieść,
drzwi skrzypią, w okna zaglądały cienie,
ktoś wszedł, trzaski z drugiego pokoju,
i słyhać dziwny odgłos ciężkich kroków.

Uciekać! Prędkiej, nim nadejdą oni,
o strasznych oczach, upiornym uśmiechu.
Do mamy, bosy, przez parzący śnieg,
bo już nie śniłem, zima się nie śniła.

Czytam umarłych

Mój nieocalony
Ficowski

Czytam umarłych, których nie czytałem
za młodu, nigdy, nawet w późnym wieku,
ich mowa niczym smak piołunu, który
rosł kiedyś w kępach, pod płotem, w ogrodzie.

I smak ten dzisiaj odnajduję w wierszach,
tak samo gorzki, tak samo niechciany,
łączy nas upływ, czas, którego nie ma,
jak nie ma wierszy, piołunu, ich, mnie.

Odchodzą

Kto jest poetą
Różewicz

odchodzą
dzisiaj kolejna wiadomość o odejściu

już słabo pamiętam
twarze słowa zdarzenia

czas zamknął się w czasie
który odszedł

już słabo pamiętam
i słabo rozumiem

piszę ten wiersz
o kim

o tym co odszedł
i odejść nie może

Tak, wyłącznie sen

Czas na mnie
Różewicz

ostatnie słowo?
ostatnie, być może

i już nic więcej?
pewnie nic, niestety

tylko milczenie?
tak, milczenie tylko

i sen?
tak, wyłącznie sen

a przebudzenie?
nie, nic



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Pamiętnik starego nauczyciela

Dziś, po upływie wielu lat, mogę powtórzyć za znanym, zaolziańskim folklorystą, iż były to „piękne dni”. Wspominał lato 1992 roku. Wtedy to gościłem przez tydzień u Jana Szymika, nauczyciela, a nade wszystko znakomitego badacza oraz znawcy kultury i historii swojej małej ojczyzny, autora ciekawych prac etnograficznych. To w owe dni odwiedziliśmy wiele miejscowości; byliśmy u jego znajomych i przyjaciół, działaczy Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, ale też chórzystów, tancerzy z zespołów ludowych, a także ludowych malarzy i rzeźbiarzy. I był też dzień pobytu u profesora Daniela Kadłubca, niekwestionowanego autorytetu naukowego, który zawsze pomagał mi w zrozumieniu zaolziańskiego fenomenu kulturowego. Poszliśmy wspólnie do tragicznego miejsca pod Cierlickiem, w którym 11 września 1932 roku w katastrofie lotniczej zginęli sławni polscy piloci: Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura. A wreszcie – ale już tylko z Janem Szymikiem – pojechaliśmy do Gnojnika; miejscowości urokliwej i symbolicznej dla całego Zaolzia. Gospodarz pięknego domu pod numerem 6 już na nas czekał. Pan Andrzej Kubisz spojrzął na mnie i powiedział, jak sobie przypominam: „To szczęście, że pan, panie Marianie, przyjechał. Już wierzę, że wszystko się nam uda. To, co ustaliliśmy 16 maja, dnia tak ważnego dla mnie”. Nawiązał do wyrażonej przez siebie zgody – jako spadkobiercy – do wydania dzieła jego ojca, Jana. Zgody dla kierowanej przeze mnie placówki, to jest Społecznego Centrum Badań Naukowych i Dokumentacji w Katowicach. Zaczęliśmy rozmawiać o reprintowym wydaniu znakomitej książki zatytułowanej „Pamiętnik starego nauczyciela”, o jakże zmiennym podtytule: „Garść wspomnień z życia śląskiego w okresie budzącego się ruchu narodowego w b. Księstwie Cieszyńskim”. Książka pierwotnie ukazała się w Ciesz-

nie w 1928 roku, nakładem lokalnego wydawnictwa Towarzystwa Ewangelickiego. I dodajmy, że równie zasłużony ks. Andrzej Buzek w przedmowie do owego szczególnego pamiętnika pisał o autorze, iż „należy on do ludzi, którzy żyli życiem publicznym, do pokolenia tych, którzy na gorąco odczuwali wszelkie drgania polskiego życia narodowego w byłym Księstwie Cieszyńskim – w kościelnych zaś sprawach jest jednym z tych, co serce złożyli na ołtarzu idei polsko-ewangelickiej śladem wskrzesiciela nowo-polskiego ewangelicyzmu, znanemu mu osobiście z lat młodszych”. A były to lata szczególne, bo Kubisz urodził się w 1848 roku, roku znaczącym przecież w dziejach Europy, zwłaszcza tej jej części. A sam Kubisz pisał, że „Był to rok fermentów politycznych, rok wolności ludów...”. Ale to wszystko zrozumiał dopiero po wielu latach. Nawet nie w latach gimnazjalnych.

A kim był Kubisz, gdy rozpoczął naukę w cieszyńskim gimnazjum? Z całą pewnością dzieckiem podobnym do wszystkich innych swoich rówieśników, nie tylko tych z chłopskim rodowodem. Chodził do szkoły, niosąc tę szczególną formę polskości nieświadomionej narodowo, nierefleksyjnej i nieartykułowanej, ale jednak szczerzej. Była ona swoiście monolityczna i usankcjonowana domową i wiejską tradycją; emocjonalną, ale zarazem oczywiście niewymagająca definiowania. Czy więc ta polskość mogła konkurować z kulturą austriacką, kulturą niemiecką, dominującą? Niewątpliwie jej wpływy były wszechogarniające, w tym również w cieszyńskim gimnazjum. Biografowie podkreślają nawet, że kilkunastoletni Kubisz poddał się prądowi germanizacyjnemu panującemu w szkolnej edukacji. Jakże mogło być inaczej. Chłopskie dziecko wychowane w tradycji „małej ojczyzny” zetknęło się z presją obcej „ojczyzny ideologicznej”. Los jednak

wyzaczył Kubiszowi inną rolę. Rolę konkretną, rolę obrońcy i krzewiciela polskości. Kiedy zaś po czterech latach gimnazjum rozpoczął pracę nauczyciela wiejskiego, stopniowo stawał się innym człowiekiem. Do tego wszystkiego przyczyniło się spotkanie z Andrzejem Pinkasem oraz Jerzym Buzkiem. To oni właśnie odkryli przed młodym nauczycielem nowe obszary poznania. Otwarł się wówczas na nowe doznania. A dnia 4 stycznia 1869 roku Kubisz, jako 21-letni młodzieniec, przybył do Gnojnika i objął posadę nauczyciela, a z czasem kierownika lokalnej ewangelickiej szkoły ludowej. Tam pozostał do końca swych dni. Poza pracą zawodową prowadził też działalność publicystyczną, a nawet poetycką. W latach 80. aktywnie już uczestniczył w życiu społecznym. Coraz bardziej miało ono charakter narodowy. Świadczą o tym między innymi jego wiersze. W jednym z nich, powstałym z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja, pisał:

„Idzie maj piękny, idzie nowa wiosna,
Przemoc w ostatnich podrygach się wije;
A ziemia nasza – niby jednej krosna,
Na nich strój piękny – aż blask odeń bije;
Ten strój – ach! wierzę, o mój Boże wierzę,
Zmartwychwstająca Polska się ubierze”.

Powróćmy jednak do „Pamiętnika”. W czasie spotkania z jego synem Andrzejem 18 maja 1992 roku powiedział: „Celem ojca było wychowanie dzieci. Było to skromne życie wśród swoich. Ojciec chciał uczyć, bo czuł się zawsze nauczycielem, w tym widział swój podstawowy obowiązek. Tę pracę traktował jako zadanie dla Polski”. I w efekcie jego książki to niezwykle zapis czasu minionego. W kategoriach scentywnych można powiedzieć, że opisuje czas szczególnego etapu procesu narodotwórczego. Choć mówi o przeszłości, o fenomenie kulturowym tej ziemi, to uczy szacunku do przeszłości i teraźniejszości. ■

4. Festiwal im. Bogusława Kaczyńskiego

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI



W 2019 roku byłem kuratorem wystawy „Smaki sławy Bogusława Kaczyńskiego” w Oddziale Teatralno-Filmowym Muzeum Historii Katowic przy ulicy Kopernika 11. Nie spodziewałem się wtedy, że współpraca z dyrektorem muzeum dr Jackiem Sieblem i Katarzyną Gliwą otworzy kolejny ważny etap w mojej drodze zawodowej. Na wernisaż przyjechał przewodniczący rady warszawskiej Fundacji ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego Zbigniew Napierała i zaproponował mi objęcie stanowiska dyrektora artystycznego fundacji. Przyjąłem tę propozycję z radością. Z kolei prezydent Białej Podlaskiej Michał Litwiniuk zaprosił mnie do pełnienia funkcji dyrektora artystycznego Festiwalu im. Bogusława Kaczyńskiego, który w tym roku organizujemy już po raz czwarty wspólnie z Białskim Centrum Kultury pod dyrekcją Zbigniewa Kapeli. W maju przygotowaliśmy 2 wydarzenia specjalne. Zaprezentowana w białskim amfiteatrze „Gala Kiepurowska” była widowiskiem telewizyjnym. Prof. Ryszard Karczykowski odebrał ode mnie i Anny Habrewicz Nagrodę Fundacji ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego „Złota Muszka” za wybitne osiągnięcia w dziedzinie sztuki operowej. Jest to już czwarty artysta uhonorowany w ten sposób, po Piotrze Beczale, Aleksandrze Kurzak i Małgorzacie Walewskiej. W gali wystąpili młodzi śpiewacy Lwowskiej Opery Narodowej: Daria Lytowchenko i Oleh Lanovyi. Duże wrażenie zrobił także występ wybitnego tenora Łukasza Gaja i sopranistki Eweliny Szybilskiej – solistki Opery Śląskiej, laureatki Teatralnej Nagrody Muzycznej im. Jana Kiepury dla najlepszej śpiewaczki operowej w Polsce, którzy wcielili się w Jana Kiepurę i Martę Eggerth. Wystąpił profesor Tadeusz Pszonka, z którym konsultowałem program koncertu i zaprosiłem laureatów Konkursu im. Jana Kiepury w Kryniczy-Zdroju Wioletę Sędzik oraz Karola Skwarę. Wystąpił zespół Strauss Ensemble pod dyrekcją Artura Jaronia, a podczas opowieści o życiu i karierze Jana Kiepury wspierała mnie Gabriela Kuc-Stefaniuk.

W warszawskim Kościele Środowisk Twórczych, na Placu Teatralnym w pobliżu Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, zaprezentowaliśmy koncert operowy z udziałem Małgorzaty Długosz, Joanny-Szynkowskiej

vel Sęk, Adama Zdunikowskiego i pianisty Mirosława Feldgebela. Znakomicie układa się współpraca z księdzem rektorem Grzegorzem Michalczykiem, krajowym duszpasterzem środowisk twórczych.

Doświadczenie zdobyte w Muzeum Historii Katowic jest dla mnie bardzo ważne. Niedawno dyrektor Muzeum Południowego Podlasia Rafał Izbiński przyjął moją koncepcję artystyczną wystawy „Bogusław Kaczyński – z Białej Podlaskiej w świat”, której jestem współkuratorem razem z Grzegorzem Kurpetą. Postanowiłem zaprezentować na ekspozycji tematy wiodące: korzenie rodzinne, dzieciństwo i młodość w Białej Podlaskiej, karierę telewizyjną, festiwalową i teatralną oraz występy zagraniczne i zwiedzanie świata. Ekspozycji w czterech salach muzealnych (czynnej od 5 września 2022 do 8 stycznia 2023) towarzyszy wystawa plenerowa, którą przygotowałem ze scenografką Teatru Wielkiego – Opery Narodowej Izabelą Chełkowską. Wymyśliśmy plansze w formie książki o Bogusławie Kaczyńskim, jego barwnym życiu i ciekawej karierze. Artystka zaprojektowała z Cezarym Żeglińskim oryginalne kolaże złożone ze zdjęć i pamiątek. Ta ekspozycja będzie wędrować po Polsce i z pewnością zawita również na Śląsk.

3 września w Białej Podlaskiej zostanie zaprezentowana „Zemsta nietoperza” Johanna Straussa z Teatru Muzycznego w Lublinie, w reżyserii Artura Barcisia. Kiedy kilka miesięcy temu przyjechałem na premierę, byłem pod wrażeniem ciekawej koncepcji i świetnej gry aktorskiej oraz bardzo dobrej jakości muzycznej całego spektaklu. Poziom teatru za dyrekcji Kamili Lendzion poszybował w górę, więc z przyjemnością współpracuję z tą instytucją artystyczną. Największą gwiazdą spektaklu stał się dla mnie kontratenor Jan Jakub Monowid, wcielający się w księcia Orłowskiego.

Krakowska muzykolożka i sopranistka przygotowuje premierę koncertu inscenizowanego dla dzieci pod tytułem „Opowiadki o Mozarcie”. Edukacja muzyczna młodych odbiorców jest dla mnie ogromnie ważna, ale powinna być realizowana w atrakcyjnej formie. Odbędzie się spotkanie autorskie z redaktorką 2 Programu Polskiego Radia Anną Lisiecką, autorką fascynującej książki o Bogusławie Kaczyńskim „Będę

ślawny, będę bogaty”. Białski Teatr Słowa przygotuje prapremierę sztuki Jacka Daniluka w reżyserii Danuty Szaniawskiej. „Biały sad”, nawiązujący tytułem do „Wiśniowego sadu” Antoniego Czechowa, wykorzystuje baśnie i legendy z okolic Białej Podlaskiej do opowieści o miłości, „córce marnotrawnej” i powrocie do domu. Koncert „Powróćmy jak z dawnych lat” z udziałem Małgorzaty Długosz, Joanny Jakubas, Zbigniewa Maciasa i zespołu profesora łódzkiego AM Adama Manijaka będzie muzyczną podróżą w czasie. Na finał 11 września w amfiteatrze w Białej Podlaskiej realizują z dziekanem Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina, dr hab. Rafałem Janiakem gałę telewizyjną „Muzyczna podróż do Francji”, w której wezmą udział śpiewacy operowi: Małgorzata Walewska, Joanna Szynkowska vel Sęk, Stanisław Napierała i Tadeusz Szlenkier, a także aktor Teatru Muzycznego w Gdyni Mateusz Deskiewicz i wybitni instrumentalści: skrzypaczka Kamila Wąsik-Janiak oraz rektor Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina, prof. dr hab. Klaudiusz Baran, grający na akordeonie.

W uroczych miejscowościach województwa mazowieckiego – Sarnakach i Serpelicach (nad Bugiem) – organizujemy koncerty klasyczne: „Od Mozarta do Moniuszki” oraz „Piękny jest świat” z gwiazdą Polskiej Opery Królewskiej Justyną Reczeniedi. Tak rozwija się współpraca z wójtem Grzegorzem Arasymowiczem i dyrektorką GOK w Sarnakach Magdaleną Rudnik. Organizujemy koncerty w kościołach, a publiczność tłumnie w nich uczestniczy, słuchając pięknej muzyki instrumentalnej i operowej oraz pieśni. Serpelice były ulubionym miejscem Bogusława Kaczyńskiego. Spędzał tam wakacje z rodzicami i siostrą, wypoczywając na plażach nad Bugiem.

1 i 2 października zaprezentujemy w Teatrze Miejskim w Gliwicach gałę „Zaczarowany świat operetki”, nawiązując do 70. rocznicy założenia Operetki Śląskiej, a 22 października w Akademii Muzycznej w Katowicach odbędzie się Koncert operowy pamięci Bogusława Kaczyńskiego pod honorowym patronatem rektora prof. dr hab. Władysława Szymańskiego. Szczegółowy program festiwalu znajduje się na stronie internetowej www.orfeo.com.pl.

Akcja „Madonna”

JACEK OKOŃ

Jest to zadanie o wysokim stopniu trudności. Nie byłoby takim, gdyby mieli się tym zająć towarzysze z wyższych poziomów Sicherheitsdienst lub choćby nawet z właściwego miejscowo Gestapo w Hindenburgu, każdego dnia igrający z ogniem, jawnie lub z użyciem fortelu czy maskarady. Tym razem będzie to zadanie partyjne dla Grupy Miejscowej „Herder”, działającej w Zaborzu. Zadanie ma być kolejnym sukcesem miejscowej komórki Bund Deutscher Osten (BDO, *Związek Niemieckiego Wschodu*), z którą NSDAP połączona jest na poziomie powiatowym i miejskim unią personalną. W teren wyruszą towarzysze różnych zawodów, aby pod uzasadnionymi powodami przekroczyć progi domów i rozeznac się w sytuacji, będącej przedmiotem Akcji „Madonna”. Kierownik miejscowy powiedział, że po udanej akcji zniemczania nazw ulic i przegładzie nazwisk, będzie to pójsiem za ciosem.

Przebąkiwano o „takim czymś” już wcześniej, planując to na wiosnę 1941 roku, i proszę – przyszła wiosna 1941, a tu nie zapominano! Myśleli wyznaczeni towarzysze, że nagła wojna z Jugosławią pokrzyżuje plany, ale nie.

– Już wy tam się o to nie martwcie. Poradzi sobie Wehrmacht bez was. Znacie swoje obowiązki.

Już sam fakt, że działaniom wyznaczonych towarzyszy przydany został kryptonim (Akcja „Madonna”), świadczy o znaczeniu, jakie nadaje się temu na wysokich szczeblach władzy. To właśnie kierownik Grupy „Herder” zapowiedział, że jest to zadanie o wysokim stopniu trudności i że wytypowani doń zostali sprawdzeni towarzysze. Powód wejścia do wnętrza mieszkań zostanie wybrany tak, by nie budził podejrzeń, a więc by był naturalny, najlepiej w jakimś porządku cyklicznym, a jednocześnie, by przyjęcie takiej komisji było obowiązkowe, bez możliwości odmowy.

– Coś tam, towarzysze, wymyślimy. Najpewniej kontrola przewodów kominowych, tak mi się to na razie widzi, chyba że ktoś będzie miał lepszy pomysł.

W drugim rzucie, po wejściu ekipy do wnętrza, do działania właściwego przystąpią terenowe siły partyjne w osobach blockleitery i jego pomocnika technicznego.

*

Towarzysz Rudolf Rölle był mistrzem kominiarskim. Wyleczywszy się sam z wszelkiego zabobonu, potrafił wszakże odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech, z jakim na jego widok ten i ów chwycił się za guzik dla przywołania szczęścia. W partii był od dawna (numer legitymacji nie na tyle wszakże niski, by mogło to komuś imponować), lecz w rozmowie z nim nie dowiedziałbyś się o narodowym socjalizmie nic ponad znane i oklepane frazesy. Któżby tam zresztą spodziewał się po kominiarzu intelektualnych uzasadnień idei?

Do partii wstąpił niejako w biegu, działając w jednym z licznych za republiki weimarskiej związków „ojczyźnianych”. Kiedy ich rozproszone programy okazały się w stu procentach spójne z ideą wstępującej na arenę zmagani demokratycznych młodej, rzutkiej partii NSDAP, z dumą rzucił się w otwarte szeroko ramiona teje, a jednocześnie przyjęcie członkostwa w BDO, który powstał ze zjednoczenia mniejszych organizacji, przydało jego partyjnej pryncypialności dodatkowego, lokalnego kolorytu. Po 1933 roku owa szarpanina ze zdegenerowaną demokracją nabrała uporządkowanego, prawdziwie niemieckiego charakteru.

Po stosunkowo łatwym rozprawieniu się z komunistami, socjaldemokratami i politycznym katolicyzmem można już było przygotować się na ów dzień, kiedy wygaśnie

wymuszona konwencja o ochronie mniejszości narodowych. Jakże pięknie paliła się synagoga w Hindenburgu! Czuł się mistrz kominiarski Rölle częścią tej wielkiej wzbudzonej społeczności, która w Noc Kryształową wymierzyła Żydom pierwszy cios sprawiedliwości. Poza tym jego rozum zbudowany był ze zdań zasłyszanych, a przecież wiernie odzwierciedlających jego najgłębsze wewnętrzne przekonania, których nie potrafił wcześniej sam nazwać trafnym słowem: traktat wersalski ukrzywdził Niemcy, Gdańsk jest miastem niemieckim, mniejszość niemiecka w Polsce jest prześladowana, należy się Niemcom przestrzeń życiowa na Wschodzie, Żydzi precz, naród niemiecki pod każdym względem przewyższa prymitywnych a bezczelnych sąsiadów, konieczne jest eksterytorialne połączenie autostradowe z Prusami Wschodnimi...

Pogodził się z faktem, że w powiecie Hindenburg aktyw BDO to prawie w całości nauczyciele. No, ale skoro przewodniczącym związku jest towarzysz Gottschalk, rektor szkoły nr 13, to nie ma się co dziwić, że otoczył się swoimi, ufając im widać bardziej niż innym. Nie dawano tam wszakże odczuć towarzyszowi Röllemu nauczycielskiej wyższości. Przenikanie się kadr BDO i NSDAP, która jest przecież Narodowo-Socjalistyczną Niemiecką Partią Robotników, umieszczało miernego, lecz wiernego kominiarza w „nurcie robotniczym” obu organizacji.

Dobrze było przebywać z ludźmi, mówiącymi tym samym językiem, a bynajmniej nie chodzi tu o język niemiecki, lecz o „język tej samej idei”, wyrażający wspólną, łączącą, a nie dzielącą, myśl. A jeśli nawet coś tam było nowe, z czym towarzysz Rölle jeszcze nie zetknął się wcześniej, przez co nie mógł przesiąknąć jeszcze retoryką nowości, to przecież jak ziarno do ziarnka, jak dzień do dnia, tak i nowość do nowości dokładała swego bogactwa do wewnętrznej struktury duchowej kominiarza. Człowiek uczy się przez całe życie! Szybko na przykład zrozumiał Rölle, że w życiu istnieją czasem racje wyższe niż te, które rozum i sumienie wskazują jako słuszne czy oczywiste.

Nauczył się milczeć, gdy istniała obawa, że głośne mówienie o niektórych sprawach mogłoby skalać własne gniazdo, przynieść uszczerbek wizerunkowi Partii lub gdy „dla dobra ruchu narodowosocjalistycznego” należałoby wyciszyć sprawę już nagłośnioną. Tak w Hindenburgu, z pożytkiem dla wszystkich, wyciszono wrzawę wokół konfliktu między nadburmistrzem a kreisleiterem NSDAP i tego się trzeba trzymać. Towarzysz Rölle przyjął wtedy za pewnik, że mogą zaistnieć okoliczności nieprzewidziane, precedensowe, i racje o wiele wyższe niż osobisty pogląd opierający się na niewystarczających przesłankach.

Gdy w grę wchodzi interes Partii, powinno się nawet przemilczeć osobistą krzywdę. Musieli towarzysze z BDO przełknąć gorzką pigułkę, gdy wyższe racje mocno nadwerżyły pozycję tej organizacji w państwie. Oto w roku 1934 podpisana została pomiędzy Rzeszą Niemiecką a Rzeczpospolitą Polską umowa o niestosowaniu przemocy w stosunkach wzajemnych. Zanim gazety stały się życzliwsze nowemu politycznemu partnerowi, zanim minister Göring wyruszył na polowanie do Puszczy Białowieskiej, a minister von Ribbentrop złożył w Warszawie roboczo-kurtuazyjną wizytę, poinformowano towarzyszy z BDO, że wobec nowej sytuacji ich zwykła patriotyczna i antypolska działalność musi zejść z areny publicznej. Nie czas teraz i miejsce na głośną antypolską propagandę i takąż retorykę.

Trzeba się dostosować do linii Partii – i ufać. Być może uda się w ten sposób pozyskać sojusznika, tak teraz potrzebnego wobec rozpasanych europejskich demokracji. Dzięki Bogu, że trwało to tylko dwa, czy trzy lata, i że wkrótce po śmierci Piłsudskiego Polacy zaprzepaścili swą dziejową szansę na dołączenie do narodów budujących mur przeciw bolszewizmowi. Zbiegło się to też szczęśliwie z wygaśnięciem konwencji zabezpieczającej dotychczas prawa mniejszości. Nastąpił po tym dobry czas dla działań Związku.

Żywioł walki zagarnął towarzysza Röllego powtórnie. Rodzina nie poznała go. Znowo wydawał się żonie tym jasnowłosym chłopcem, który narażał swe zdrowie w pierwszych potyczkach z komunistami i weimarską policją. Ruszyli szeregowi członkowie BDO i grup miejscowych NSDAP, a były to przeważnie te same osoby, akcentujące jednak bardziej jedno lub drugie członkostwo, do walki z mniejszościowym zachwalstwem i zniechęceniom językiem. Sukcesy były spektakularne. Tam, gdzie Kościół katolicki brał stronę mniejszości, przypomniano Kościołowi o zasadzie lojalności wobec Narodu i konsekwencjach wstawiania się za elementem wrogim. Spuścił Kościół z tonu, gdy zakazano prowadzenia lekcji religii w szkołach przez księży i prowadzenia nabożeństw w języku polskim.

Działacze BDO w Zaborzu, a nie inaczej ci z Hindenburga i Gleiwitz, w ostatnim okresie sfotografowali chyba już wszystkich uczestników zakazanych mniejszościowych nabożeństw i wkleili fotografie do odpowiednich pozycji w kartotekach, gdzie od jakiegoś czasu figurowały już nazwiska i dane podstawowe (nawet dobrze, że niepowołani nie wierzą w istnienie tych kartotek). Tego lata wyjdzie zarządzenie, że koniec w szkole z klepaniem modlitw przed nauką! Któryś z członków Związku, oczywiście nauczyciel, podejmuje krzyże, gdzie jeszcze były. Uczestniczył Rölle wraz z rodziną w wycieczkach krajoznawczych wzdłuż granicy, organizowanych przez Związek w ramach działalności kulturalno-oświatowej. Przewodnik objaśniał co, gdzie i kiedy, aż ciepło robiło się na sercu; tak samo, gdy składali wiązanki kwiatów w miejscach upamiętniających przelaną niemiecką krew w walkach o Śląsk. Jakże dumni byli, gdy autobus zatrzymywał się w Zaborzu przed pomnikiem bohaterów. Na pobliskim probostwie św. Franciszka poruszały się firanki: klechy podglądały zdradziecko.

Związek Niemieckiego Wschodu nie miał daleko idących mocy wykonawczych. Cieszył się jednak nieograniczonym zaufaniem jako inspirator poczynań władz. To z BDO wychodziły pomysły, potem realizowane z dobrym skutkiem. Wydaje się, że szczytowym osiągnięciem inspiracyjnym Związku był pomysł zamiany panoszących się gdzieś nazw słowiańskich, co dotyczyło głównie niefortunnych nazw ulic, na nazwy rdzennie niemieckie, oraz usuwania drażniących oko sztyldów polskich i skuwania zbędnych już przecież polskich napisów na nagrobkach. Nazwano tę akcję „chrztem nazistowskim”, bo faktycznie – na nowo chrzczono ulice, place, co tylko było trzeba. Oczywiście nie leżało w kompetencji Związku dokonać tego własnymi siłami. Zajął się tym władza wykonawcza w Hindenburgu, podejmując stosowne uchwały o zmianie nazw, zlecając wykonanie nowych tabliczek emaliowanych i przysyłając pracownikom technicznych do ich przytwierdzenia do muru na rogach ulic. A że przy okazji popełniono nieco błędów – głupstwo! (...)

Zaraz po tamtej akcji poddany został towarzyszący z NSDAP pomysł, by polskie nazwiska zmienić na niemieckie. Zacząć by należało wszakże od członków Partii. Oczywiście nosiciele polskich nazwisk powinni by to uczynić dobrowolnie, bez nacisków administracyjnych, z miłości do Ojczyzny, a także dla efektu estetycznego. Trzeba ich tylko uczulić na istnienie racji wyższych niż egoistyczne. Takie nazwisko tylko wskazuje, że gdzieś tam w głębinach wieków, no bez przesady, ale w każdym razie w epoce oddalonej od naszej, ktoś z rodziny mógł być Polakiem. Jaki tu powód do dumy, a tym bardziej po co się jeszcze z tym afiszować! Zadanie o wysokim stopniu trudności mogłoby okazać się znacznie trudniejsze, gdy-

by pozbawione było zaplecza, a ściślej, gdyby nie przygotowano należycie gruntu pod skuteczne działanie. Jeśli o materię zadania chodzi, to owszem, miało ono stanowić realizację pomysłu całkiem nowego – co tam pomysłu – prawdziwej wirtuozerii pomysłodawczej BDO, innowacyjności twórczej. Nowy pomysł zakwalifikowano jednak jako oczywistą konsekwencję i dalszy ciąg realizowanej wciąż (bo nie odrąbiono tu jeszcze zwycięstwa) akcji zniemczania dawnego pasa pogranicznego, obecnie wcielonego do nowo utworzonej Rejencji Górnośląskiej. Czyni poprzedzone zostały puszczaniem w ruch maszyny propagandowej, wyjaśniającej przyczyny planowanych działań, cele i bezwzględność konieczności.

Zaczęło się to w 1937 roku, gdy opozycja polityczna już nie istniała, i nabrało dalszego sensu po wygaśnięciu konwencji mniejszościowej. Niemcy dotrzymały wymagań tej konwencji; nikt też na zgnitym Zachodzie nie zarzucił III Rzeszy, że nie wywiązuje się z traktatów. To raczej III Rzesza ma prawo pytać – wyjaśniano szerokiej publiczności – dlaczego Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę w 1939 roku, skoro ich traktaty z Polską wymagałyby tego jedynie w przypadku, gdyby to Polska została zaatakowana. A przecież to Polska była agresorem. Aż nadto dobrze pamiętał towarzysz kominiarz Rölle ową dramatyczną noc, kiedy armia polska rzuciła się z furją na radiostację w Gleiwitz, na leśniczówkę w Pitschen i na Hochlinden. Nie docenili Polacy siły i żwawości Niemców, gotowych bronić swej ziemi do krwi ostatniej.

Wojna przydała akcji zniemczania nowych argumentów moralnych, zyskując też na dynamice. Dotychczasowi krytykanci zamilkli, zlekli się słusznego gniewu. Nazwy polskie drażniły ucho i oko; także polska symbolika kościelna i religijna, która – zdało się – do ostatka korzystała z jakiejś nieuzasadnionej nietykalności, została skutecznie usunięta z widoku. Jednak towarzysze z BDO dowodzili, że samo postawienie tych artefaktów poza wzrokiem, np. na strychach czy w piwnicach, nie gwarantuje, iż pewnego dnia nie zostaną stamtąd wyciągnięte we wrogim „nam wszystkim” celu. Co racja, to racja. Postulowano, by dokonywać komisyjnego niszczenia tych rzeczy, po uprzednim ich wykryciu.

– Bez zmruczenia powiek niszczymy komisyjnie po inwentaryzacjach przedmioty naprawdę użyteczne, ledwie trochę przyniszczzone, lekko zdefektowane, a mielibyśmy ronić łzy nad polskimi, wrogimi nam symbolami? W Generalnym Gubernatorstwie leje się niemiecka krew, bandyci hulają bezkarnie, a my mamy tolerować u siebie ich świętości?

Nie udało się to z przedmiotami kultu składowanymi w pomieszczeniach kościelnych. Osiągnięto tyle, że polskie sztandary bractw i kongregacji nie opuszczały już miejsca zmagazynowania w zakrystii św. Franciszka w Zaborzu. Obraz ołtarzowy – kopia obrazu Matki Boskiej z Czenstochau, który stał od lat niepamiętnych w prawym transepcie, przy ołtarzu bocznym Serca Jezusowego, zniknął stamtąd już w 1937 roku, co wszakże wymagało mocnej argumentacji władz i uśmierzenia przez zdenerwowanego i upokorzonego proboszcza rozpaczliwych protestów polskich dewotek. Ten obraz pewnie uniknie zniszczenia, bowiem rozkaz nie rozciągał się wciąż na teren kościelny.

Ileokroć Rölle przechodził Dorfstrasse, ciągnącą się wzdłuż całego Zaborza-Wsi, zaglądał w głąb wybiegających z niej ku północy spokojnych na pozór uliczek: Paul-Keller Strasse, Schmiedebrücke, Querschlag, Rollnikstrasse, Wiesen Strasse, Dondergasse. Popadał wówczas w zadumę. Szósty zmysł, wykształcony w walce z podstępny wrogiem, mówił mu, że tam, w tych domach z czerwonej cegły przybrudzonej dymami, w na pozór miejskiej zabudowie, gdzie jednak od podwórza słychać było wrzaskliwy inwentarz zwierzęcy – że właśnie tam kryje się rozwiązanie dla tych i innych trudności, z jakimi boryka się Naród. Któż jednak wkroczy głębiej w ową mroczną tajemnicę tych domów. Jakież powód zdoła naruszyć to, co niektórzy uparci w swym egoizmie wciąż nazywają „mirem domowym”. A bez spenetrowania tych wnętrz, nie odnajdzie się tej polskiej Madonny.

Wszystko przez tamte pielgrzymki, które miejscowy kler organizował do ostatniej chwili przed zamknięciem granicy. Gdyby cieszyły się mniejszym wzięciem, nie byłoby dziś problemu. Ale na polską stronę do Czenstochau wyruszało z Zaborza po 400 osób! A każdy chce mieć pamiątkę. Różańce i medaliki pewnie uszłyby w tłoku, teraz też ich nie będzie szukał. Ale obrazki z polską Madonną, nieważne czy duże czy małe, czy za szkłem czy tylko oparte o flakon, to już stanowczo za wiele. Przywlekli stamtąd tej tandety, tej makulatury tyle, że wagonów kopalnianych by nie nastarczyło, żeby to wywieźć do papierni. Rozpanoszyły się te wizerunki po niemieckich domach, spoglądają z każdego kąta, a te oczy – łypią łapczywie, żeby tylko podpatrzeć, a te uszy – żeby podsłuchać, a te ręce – żeby kij w szprychy włożyć, zepsuć, zaszкодzić! Zdenerwował się towarzysze kominiarz...

Kierownik Grupy Miejscowej „Herder”, do której należał Rölle, uprzedził ich, że zapewne większość mieszkańców odda wrogie symbole bez szemrania i z niejakim zawstydzeniem – już przecież dawno należało to zdać, bez przypominania. Jest jeszcze w Narodzie szacunek do porządku prawnego i przedstawicieli władz. Gorzej może być, gdy dom okaże się gniazdem zakamuflowanej opcji polskiej. Wiecie, czego można się po tym słowiańskim plemienu spodziewać. Wrzaskliwe to, lamentujące, łzy będą ci lać, z rąk wam to będą wydzierać, do nóg się rzucą, za kolana obłapią – a płaczu tam tyle, że cała nasza partyjna grupa kobieca tyle łez w rok nie uroni. Nie należy ulegać urokowi tych krokodylich łez. I nie bać się, gdy która rzuci kłótnię na was i na wasze dzieci. Zresztą kierownicy polityczni w randze blockleitera wraz z pomocnikami fizycznymi, gdybyście wy sami już na wstępie natrafili na opór, wiedzą co mają czynić.

Z ramienia dowództwa Grupy Miejscowej za akcję „Madonna” odpowiedzialny jest towarzysze Hellwich. Nie zapomnijcie kryptonimu: Akcja „Madonna”. To nie jest ozdobny tytuł, lecz rzecz użyteczna, gdyby ktoś wezwał policję, bo i tak bywało. Wtedy wystarczy wypowiedzieć te słowa – Akcja „Madonna” – żeby policjanci zmyli się jak niepyszni, albo żeby wam pomogli, gdybyście okazali się nieudolni, do czego – jestem pewien – nie dojdzie. Narzędziem głównym i postulowanym jest perswazja słowna. Mimo sytuacji wojennej, okazuje się na naszym terenie wystarczająca.

– A wy, towarzyszu Rölle, będziecie tym taranem, który otworzy blockleiterowi wszystkie drzwi – powiedział towarzysze Hellwich. – No co tak patrzycie? Oczywiście że nie siłą, nie łomem, nie kopniakiem! Niby dla czego was wybraliśmy? Jesteście przecież uprawnieni do okresowej kontroli przewodów kominowych.

*

Na kilka dni przed akcją rozwiesili blockleiterzy w obrębie swej odpowiedzialności powielone na maszynie komunikaty, że w dniu tym a tym należy udostępnić pomieszczenia mieszkalne, w których znajdują się piece węglowe, wywietrzniki i przewody kominowe. Miał każdy blockleiter pod sobą kilkadziesiąt domów. Jeśli nawet ktoś nie doczyta, to w sąsiedzkiej atmosferze Zaborza-Wsi jeden drugiemu powie, choćby w rozmowie ponad płótnem, jak tu mają w zwyczaj.

Był więc kominiarz oczekiwany. Drzwi otwierały się po dobrej woli, gospodynie uśmiechały się, wpuszczały od razu, gdy tylko padło magiczne zaklęcie „Kontrola”, a choćby i nie padło, to czarny cylinder Röllego robił swoje i nie zaniebawano chwycić się za guzik. Cała trzyosobowa ekipa bez trudności wchodziła do mieszkania. Sprawdzał Rölle piece i wywietrzniki, tu zauważył pęknięcie, tam nie szczelność, gdzie indziej jeszcze coś innego (szkody górnicze wykonały swoją część akcji) – bez bujdy, rzetelnie i w zgodzie ze stanem faktycznym i prawym sumieniem.



Kaplica Cudownego Obrazu, pamiątka z pielgrzymki do Częstochowy, oleodruk, okres międzywojenny. Ze zbiorów Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu

Trochę dziwiły się gospodynie, że kominiarzy nie jest tym razem dwóch (bo pozostali członkowie komisji to przecież nie kominiarze, jeden to blockleiter, drugi to przydupas, wszyscy ich tu znają), że jeden z nich nie wspina się na dach i nie wykrzykuje w dół do komina – aż w piecu słycać – tym charakterystycznym górnośląskim robociarskim basem, że to źle i tamto niedobrze, albo że to czy tamto (dziwne, ale kobiety nigdy nie chwyciły sensu tych basów, zadowolając się samym pozytywnym odczuciem, że „to chłop jak się patrzy, nie żaden paniczyk”). Jeśli dziś było trochę inaczej, to widocznie jest powód, kto by się tam nad tym zastanawiał – jakieś tajemnicze rzemiosło. Mężczyźni, którzy by wiedzieli, o co chodzi, byli teraz albo w pracy, albo na froncie w Jugosławii lub w służbie okupacyjnej poza krajem. Czasem trafił się jakiś opa, tyleż wart co kobiety. Ponieważ wszyscy znali swego blockleitera, odpadł element zaskoczenia, którego i oni sami się obawiali. Kobiety w rozpaczy bywają nieobliczalne, a stary chłop (jak i młody), a już zwłaszcza Polak, mógłby nawet sięgnąć po siekiere. Gdy więc przychodziła kolej na blockleitera, by wyrazić zdziwienie i przykrość, że w tym tu oto niemieckim domu wciąż przechowuje się obrazek Królowej Polski, nie bardzo byli gospodarze zaskoczeni. Polityka znieważania trwała już od jakiegoś czasu i zdżono się osłuchać z tą retoryką. Nasze wojska wykrywają się w boju, w walkach z leśnymi bandami, a tu skrycie oddaje się cześć tej... – tu zawahał się blockleiter jakiego użyć słowa, żeby nie przesadzić w obeldze, i wycofawszy się nieco wstecz zdania, dopowiedział: – ...a tu wystawia się na widok publiczny wrogą symbolikę.

– Od kiedy to w moim domu jest jakiś widok publiczny? – ot, taka co najwyższej szermierka słowna. Gdyby miała jakieś znaczenie, dałoby się łatwo zwyciężyć tępartijniaka. Ale wobec siły urzędowej i karzącej miny blockleitera, miało to teraz tylko efekt takiego kobiecego przekonania się.

– Macie przecież te Madonny z Altötting, Kevelear albo z Maria Eck, a choćby te sojusznice – włoskie czy hisz-

pańskie. Po co czcić tę polską? Czyście już zapomnieli, ile nam wyrządzili krzywd?

Gdy techniczny zdejmował obrazek ze ściany, było trochę protestów. Nie przeciw istocie akcji, ale przeciw samowoli wobec cudzej własności.

– Gdzie się pchasz z łapami? Ja sama.

Nie byli też przygotowani na dysputę teologiczną czy okoteologiczną, więc nie brnęli głębiej w temat, gdy któraś z „trzeciego zakonu” (– Dlaczego więc nie w habicie? – skarcił ją blockleiter), obeznana bardziej z procedurami kościelnymi stanowczo zabroniła im rekwizycji, powołując się na owe procedury.

– Przedmioty kultu, które nie spełniają już swojej funkcji i nie będą jej spełniały w przyszłości, albo uległy zniszczeniu, albo nie nadają się do zreperowania, mogą być ewentualnie spalone. Ale to się robi na dziedzińcu parafii, w ognisku, z polecenia księdza proboszcza! NSDAP nic do tego nie ma!

– My do symboli zniszczonych albo nienadających się do zreperowania nic nie mamy. Róbcie tam sobie z tym jak wam proboszcz każe, nam chodzi wyłącznie o wrogie symbole.

Ale i ona została pokonana przez zwykłe argumenty, wszędzie te same, o „przelewanej krwi niemieckich żołnierzy”, o defetyzmie (musieli podać zrozumiałą definicję), rozsiewanym przez nieodpowiedzialne jednostki. Tyle uzyskała, że dla spokoju sumienia pozwolono jej odsunąć pogrzebaczem fajerki i rzucić tam święty obrazek (po wyjęciu z ramek, które mogły się jeszcze przydać) – na spalenie, aby choć trochę było to „po Bożemu”.

– Powiem o wszystkim farorzowi. A jeśli się okaże, że... – gderała i po swojemu groziła. Nie była pewna czy dobrze robiła. Dobrze na pewno nie, ale czy bardzo źle? Może stała się przez to Judaszem?

– ...Będziecie mi musieli odkupić taki sam!

Nie zdołał Rölle ukryć swej prawdziwej roli. Z początku nie wtrącał się do spraw pozakominiarskich, ale wkrótce gniew wziął górę. Gadają i gadają, jakby działa im się jakaś krzywda. Dadzą jeden obrazek na odczepne, a pozostałe to niby co? Jakoś tak samo z siebie wyrwało mu się raz, potem znów:

– Jeszcze tu. I tu – aż poczuł się pełnoprawnym członkiem komisji do spraw rekwizycji. Wstyd było towarzyszom, że przeczuli.

Prawdziwa trudność pojawiła się na Bauern Strasse. Pani Fleischer, jakkolwiek wszystkie pomieszczenia udostępniła chętnie i bez podejrzeń, zareagowała gwałtownie, gdy tylko jawnym jej się stał prawdziwy cel wizyty. Przerwała zaraz przemowę blockleitiera, rzekomo zaskoczona widokiem polskiej Czarnej Madonny, i wyrwało jej się, że od razu wiedziała, kto go tu nasłał, tego „szpicla”, i żeby „nie ważył się tego tknąć, bo zabije”.

– Do syna napiszę, do wojska. Wy mi tu o przelewanej niemieckiej krwi nie musicie mówić, bo to my zostajemy wdowami, to nasze dzieci giną, a wy udajecie bohaterów! Raus mi stąd! Ale już!

Zrobiło się głośno i wkrótce też tłoczno. Techniczny zdołał jednak wyrwać kobiecie obrazek, który przyciskała do piersi, i wrzucić do worka, gdzie trzymał całodzienny łup. Bronił tegoż przed rozpaczliwymi próbami odbicia. Za Boga nie chciała ustąpić.

– Napiszę do syna! Będziecie się mieli z pyszna! – krzyczała pani Fleischer. – Żeby Matkę Boską kraść! Niedoczekanie wasze!

– Jezus, Maria! Jezus, Maria! – zawtórowała pani Blachut, sąsiadka, ale nie odważyła się dołączyć do szarpaniny.

Padły też inne słowa, równie nieprzemyślane, których ekipa zgodnie postanowiła nie zapamiętać, rozumiejąc, że mają do czynienia z głupią, ciemną, nieuczoną babą, zupełnie nieświadomą faktu, że jej upór jest wodą na młyn polskim bandytom. Jeszcze by tego brakowało, żeby ta szczechaczka BBC się dowiedziała, to by dopiero było!

Wmieszał się jednak sąsiad, pan Eduard Granel, ojciec dwóch synów poległych w poprzedniej Wielkiej Wojnie i z tegoż powodu cieszący się szacunkiem zarówno w otoczeniu sąsiedzkim jak i u władz. Sam nie miał w domu żadnych trefnych polskich obrazków, więc nawet by nie wiedział o prawdziwym celu wizyty, gdyby nie ta awantura w sąsiedztwie, która go wywołała z mieszkania. Zdziwił się niepomiernie, gdy zrozumiał w czym rzecz.

– Jak to wygląda? Żeby kierownik polityczny tak biegał od mieszkania do mieszkania! Jak jaki goniec albo służący! Posyłają was, a wy latacie jak te głupie!

– Proszę się w to nie mieszać, panie Granel. Do pana nic nie mamy, a co do tych słów, które już pan wypowiedział, to ostrzegam, że nie powinny zostać wypowiedziane powtórnie! Ani żadne inne podobne! – zdenerwował się blockleiter. – Już te wystarczą, by partia zareagowała! I nie tym tonem, jeśli łaska!

– My tylko wykonujemy swoje obowiązki – dopowiedział techniczny.

Akcja „Madonna” zakończyła się pomyślnie, zarówno na obszarze odpowiedzialności grupy miejscowej „Herder”, jak i „Litzmann”, i „Grenze-Ost” z Poremby. Rudolf Rölle powrócił do domu zmęczony, ale z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

– Jak było? – zapytała żona, wprowadzona w sprawę już wcześniej, i trzymająca przez cały dzień kciuki.

– Nie wiedziałem, że tyle u nas durnych bab – zaczął swą klechdę domową...

Incydent z Bauern Strasse nie został pominięty w raporcie do Kierownika Powiatowego. Wspomnił towarzysz Hellwich także o słowach Granela. Jeśli jest o czym pisać, to dlaczego to zatajać? Ojcu dwóch poległych bohaterów i tak nic nie zrobią, a raport zawsze przecież będzie pojemniejszy. No i najważniejsze, że Granel otrzymał ostrzeżenie! Nikt z towarzyszy niczego nie zaniedbał.

Ale to wszystko głupstwa wobec faktu, że Akcja „Madonna” zakończyła się niebywałym sukcesem. Towarzyszom udało się zarekwirować aż 112 obrazków Czarnej Madonny!

*

Po niedługim czasie na adres Kierownika Okręgu NSDAP napłynęło z miejsca stacjonowania jednostki wojskowej pismo starszego szeregowego Ottona Fleischera ze skargą na nadużycie władzy podczas nieuprawnionej rekwizycji przedmiotu kultu religijnego, stanowiącego od lat pamiątkę rodzinną. Żalił się młody Fleischer, że do mieszkania członkowie grupy rekwizycyjnej weszli podstępem, udając komisję kontrolną do badania szczelności przewodów kominowych. Obrazek Matki Boskiej (przemilczał, chytrus, że chodzi o polską Czarą Madonnę!) został jego mamie wydarty z rąk siłą przez jakiegoś „nieopierzonego chłystka” i skradziony. Przy okazji blockleiter obraził sąsiada, pana Granela, który jest ojcem dwóch poległych bohaterów. Ich nazwiska widnieją na pomniku przy Kronprinzen Strasse. Niżej podpisany prosi o przyjrzenie się tej sprawie, która zapewne została zatajona przed panem Kierownikiem Okręgu, i o spowodowanie zwrotu zabranego przedmiotu kultu religijnego.

Kierownik Okręgu odesłał to pismo do kierownictwa powiatowego w Hindenburgu, z prośbą o ustosunkowanie się, a tam trafiło do towarzysza Hellwicha. Tenże wyjaśnił w odpowiedzi, że rzeczony Otto Fleischer jest osobą zupełnie nieznaną w obrębie działania tutejszej grupy miejscowej „Herder” („– I wszyscy się z niego śmieją” – zaproponowała dopisać sekretarka, na co jednak Hellwich nie zgodził się, wyczuwając intuicyjnie niebezpieczeństwo słów jej propozycji z powagą dokumentu wewnątrzpartyjnego). Również sytuacja, którą rzeczony Fleischer opisuje, wyglądała całkiem inaczej, co potwierdza raport właściwego miejscowo zespołu, biorącego udział w Akcji „Madonna”.

Czerwony Żleb – opada z zachodnich stoków Ciemniaka w Tatrach w kierunku Doliny Tomanowej. Zielony szlak z górnej części Doliny Kościeliskiej poniżej schroniska na Hali Ornak prowadzi przez Dolinę Tomanową, a dalej razem ze szlakiem czerwonym na Ciemniak. Żlebkami w lecie schodzą czasami kamienne lawiny. Zimą zagrożenie lawinami śnieżnymi jest tutaj bardzo duże. Nawet przy ładnej pogodzie trzeba uważać, łatwo można się pośliznąć. Czas przejścia ze schroniska na Ciemniak to trzy godziny i czterdzieści minut. To w lecie! Na podwierzchołkowych, silnie zerodowanych zboczach Ciemniaka bardzo charakterystyczne są liczne pojedyncze skały i niewielkie turnie.

Zima końca XX wieku. Tak popularny ostatnio turystyczny boom zimowych wędrówek górskich w Tatrach wówczas jeszcze nawet nie kielkował. Koniec grudnia był tamtego roku mroźny i słoneczny. Wymarzona pogoda w górach. W trójkę postanowiliśmy wspiąć się na Ciemniak 2096 m n.p.m. – najdalej na zachód wysunięty szczyt należący do masywu Czerwonych Wierchów w Tatrach Zachodnich. Wszyscy trzej jesteśmy grotolazami, mamy też uprawnienia taternickie, co ważne, bo część trasy będziemy pokonywać poza malowanymi szlakami. Założyliśmy, że wejście zajmie nam dwukrotnie więcej czasu aniżeli latem, czyli około siedmiu godzin. Potem jeszcze trzeba wrócić do bazy w Kościeliskiej, czyli jeszcze plus trzy godziny. A przecież dzień zimowy jest krótki. Wyruszyliśmy krótko przed świtem, samotnie przespacerowaliśmy Dolinę Kościeliską, odbiliśmy szlakiem w kierunku Przełęczy Tomanowej. Powoli jaśniało. Budził się przedostatni grudniowy dzień. Gdy Słońce weszło na tle błękitnego nieba, byliśmy przy rozdzieleniu szlaków. Dalej można było wówczas pójść za czerwonymi znakami na Tomanową Przełęcz albo zielono znakowanym szlakiem, niejako obchodząc górę wokół, powoli się dostać na sam szczyt Ciemniaka.

Wybraliśmy pośredku. Postanowiliśmy się wspiąć wprost na grań. Przypięliśmy raki, związaliśmy się liną i w radosnych nastrojach ruszyliśmy ku zaplanowanemu celowi. Początkowo szło gładko. Śnieg był z góry zmrożony. Nie zapadaliśmy już jak na wcześniejszym podejściu po kolana. Nie czuliśmy mrozu. Z góry piekło słońce, od środka grał wysiłek na coraz bardziej stromym podejściu. Dawno już minęliśmy barierę lasu, jeszcze gdzieś jawił się przysypany zmrożonym puchem krzak kosodrzewiny. Pochyłe zbocze stawało się coraz bardziej strome. Z pozio-



Ku grani

JANUSZ PLEWNIAK

mu 1000 metrów w dolinie zamierzamy wejść w ciągu niewielu godzin ponad tysiąc metrów wyżej, na 2096 m n.p.m. Czyli musi być stromo. Wygrzana w poprzednich dniach powierzchnia stoku ślśni; jest bardziej srebrna niż biała. Faktycznie, zrazu się o tym przekonujemy. To czysty lód. Raki skrzypią jak widelec po szkłe i nie dają wystarczającego oparcia. Trzeba kuć czekaniem stopieńki w lodzie. Tempo spada. Co około 20 minut robimy zmianę na prowadzeniu. Ten pierwszy kuje dziury w lodzie na czubek swojego buta i następnych wpina czy. Najgorzej, gdy prowadzi Rysiu, jest wysoki – ma aż 195 cm wzrostu. Chyba cały wzrost poszedł mu w nogi, bo wykute przez niego stopnie są dla brata i dla mnie w zbyt dużych odstępach, często wykuwamy jeszcze jeden pomiędzy. Po dwóch godzinach takiego trudu już wiemy, nie damy rady wrócić do bazy w zamierzonym czasie. Każdemu, kto chociaż trochę zaznał wspinaczki, obecna nasza sytuacja jest zrozumiała. Wrócić się po takiej stromiznie gładkiego stoku jest jeszcze bardziej niebezpiecznie niż ciągnąć w górę. Zwłaszcza, że żlebem zaczynają schodzić małe lawiny zmrożonego śniegu. Niżej mogą rosnąć i porywać z sobą wszystko po drodze. Zatem sytuacja wymuszona, by pchać się w górę. Tutaj w górnej partii urwistego żlebu wspinaczka po nachyle-

niu ponad 60 stopni staje się coraz groźniejsza. Opuszczamy żleb i dalej wspinamy się grzędą wystających spod pokrywy śniegu skał i turni. Co jest bezpieczniejsze, ale wymaga jeszcze więcej czasu. Gdy podchodzimy ostatnią ostrą i gładką stromizną stoku do szczytowej grani zapada zmrok. Oczywiście mamy ze sobą czołówki. W kręgu niewielkich pół rozświetlonych latarkami już w ciemności osiągamy po całodziennym mordędze szczyt. Nagle oślepia nas ostry snop światła ogromnego reflektora. Czyżby tu, w nocy pilnowali granicy polscy czy słowaccy pogranicznicy? Na grani, zimową porą? To pierwsze wrażenie – a wszyscy trzej mieliśmy podobne odczucia – a to księżyc w pełni! Widocznie był schowany za którymś z granicznych szczytów albo przysłonięty zabłąkaną chmurką. Teraz rozświetla nocny tatrański krajobraz. Dla takiego widoku warty był nasz trud. Krótko podziwiamy nocną panoramę. Zrywa się wiatr. Spojrzawszy na zegarki, konstatujemy – zbliża się osiemnasta. Godzina alarmowa naszego powrotu do bazy. Zbiegać będziemy szlakiem turystycznym, a potem wygodną ścieżką w dolinie. Niemniej jeszcze dwie do trzech godzin przed nami. Księżyc jest tak jasny, jakby zawieszony tuż nad Tatrami, że zbędne jest światło czołówek. ■

Bajki w kryzysie

PIOTR ZACZKOWSKI

Bosy żołnierz

dla Roberta Piaskowskiego

Po wielkiej wojnie wędrowały do nieba bataliony, pułki i całe armie butów. Bulgotała w nich jeszcze rosa i gasła krew gorąca, były podkute żelazem lub niepodkute wcale, założone z rozmysłem albo w ostatniej chwili, zadbane i rozrzutne, bez dbałości o jutro, wyczyszczone na połysk bądź bliższe koloru ziemi, po równi ludziom nieznośne, dokuczliwe, bolesne. Ale trzymały się równo, prosto, uważnie, choć oderwane nie od parady, ale ostatniej walki.

Na końcu maszerował żołnierz zgarbiony i bosy – bez rangi, imienia, w nieznanym mundurze, nieodznaczony gwiazdą, medalem bądź krzyżem. Pętały się za nim cienie okopów, coraz bardziej tracąc się w chmurach, niknąc, malejąc i same siebie zapominając. Zagubił się wreszcie, a może zwątpił w całe to zmartwychwstanie, nie uwierzył w gościnniec i niewiele z niego rozumiał. Z tej drogi jednak nie było odwrotu, więc krok po kroku za żołnierzem szły jego nogi.

Wszyscy inni już dawno szeptali pacierze. Święty Piotr, za wiedzą władzy zwierzchniej, odpuścił sztandarom, nie pomijając zgubionych, podbitych i hańbą okrytych. Potem obmył, opatrzył i uspokoił rany. Wreszcie wskazał wieczne kwatery, ciche, łagodne. Polegli dostali nocne koszule i miękkie, z najlepszego jedwabiu, kapcie. Buty oddano niebieskim szewcom, a może cudem zniknęły, jakby ich wcześniej nie było i nikogo nie uwierały.

Zrobiono już dawno to, co trzeba, w najlepszym, od wieki wieków, porządku, gdy bosy żołnierz, spóźniony,

zapukał do niebios. Wyszedł dyżurny anioł, zły, znudzony, niechętny.

– Synku, co z tobą, czy szedłeś do tyłu, a może kroki twoje splątane, a ty boisz się nieba? Cóżś zrobił z butami, gdzie je posiałeś?

– Zdjęto mi, jasny panie, gdy zmartwiałem zupełnie, widać były komuś potrzebne. Tak lepiej, tak sprawiedliwie, bo nieboszczykom buty już na nic.

Nie spodobała się harda odpowiedź. Nie przyjmowano w niebie dusz obdartych i bosych. Trzeba im czekać na lepszą wieczność, pobycć czas jakiś w czyszczonej prowincji. Przełknął nasz żołnierz prawdę jak skórkę chleba, zasalutował, odszedł, by szukać domu, gdzie mu pościelą zapachem nieba.

Zamrożony wieloryb

Gdzieś za horyzontami, mile morskie od ludnych plaży, w oceanie, daleko, żył żółty wieloryb, zmęczony tak sobie, niezbyt głośny, należycie wytrzymały, ułożony, pokornie żywotny w dzień oraz w nocy. Nie lubiano go, omijano z daleka i nawet bliscy krewni wybierali inne akwenny. Przyjmował to ze zrozumieniem, raczej spokojnie, nie miał w czarnych myśli, taranował małe ryby, zjadał niektóre, kierując się w swym postępowaniu typową dla wielorybów manią wielkości, ale bez narzucania się komukolwiek.

Dla przyrody na pewno wyjątkowy, odrębny, unikalny, bo drugiego nigdy nie było, czuł się jednak przeciętną, zwyczajną cysterną tranu, niekiedy fontanną i polewaczką. Śmiała mu się w oczy żywa woda, a gdy szarzało, chmurzyło się i falowało, szukał cieplejszych prądów lub pociechy w sobie. Siłą woli odganiał trudniejsze chwile, nie zanurzał się w melancholii, oszczędzał na bólach i miał na tyle oleju w głowie, by za głęboko nie tonąć w zadumie nad losem. Nie nosił żałoby po żadnym życiu, które się nie udało, bo znał tylko swoje – wodne i byle jakie – mimo że niektórzy w niedowidzeniu brali go za okaz złoty, błyszczący, dzieło niespodziewanej sztuki, wystawione na pokaz, niczym bibelot w akwarium u szalonego jubilera.

Najpierw lodem pokryły się małe potoki, strumyki i studnie po wsiach. Po kilku miesiącach grozę, mrozy i zimy poznały stawy, jeziora i rzeki. Ocean opierał się długo, dotkliwie, ale nie był żadnym wyjątkiem, więc skutki lodem mógł już tylko marzyć o lepszych czasach – a razem z nim rekiny, dorsze, kraby, krewetki i mniejsze żyjątko – przynajmniej te, które przeżyły zimne dreszcze, chłody i brak nadziei. Zrazu ciekawie, dobrze, wygodnie, działało się pingwinom, fokom, morsom, a morskie lamparty i białe niedźwiedzie wpadły nawet euforię, ale i one zapadły w gnuśność, powolność, a także brak większego sensu.

Dzisiaj wszystkie ssaki utraciły poczucie równowagi, zatraciły niejeden ze swych instynktów, zapomniały własną drapieżność lub zwyczaj, które w przeszłości mniej dokuczały innym. Zamrożone wypatrują odwilży, cieplejszych wyroków, albo, niech już tak będzie, końca przygody i kresu ewolucji nie do zniesienia. Razem ze wszystkimi czeka żółty wieloryb – niepotrzebny mewom, albatrosom i kormoranom, które pozdrawiały go z lotu ptaka, zbędny łakomym myśliwym i ostrym harpunom, a nawet do

fol. Tomasz Biemek



Grób nieznanego żołnierza z I wojny światowej na tle gór Beskidu Niskiego

niczego już niepotrzebny piratom, których statki ściagały go dla zabawy. Świat mu się skurczył do kostki lodu, ale nie topnie w nim nadzieja, że będzie ciepłej.

Strach na wróble

dla Marty Fox

Przez lata służył ludziom pokornie, pilnował cierpliwie ziarna i plonu, czuwał i nie buntował się, zawsze pozostając w cieniu, nawet jeżeli prażyło słońce. Nie tylko upał, ale deszcze i słotę, i trudne zimy miały z łagodną euforią, bo dużo wiedział o swej przygodzie, a czego nie wiedział, to mógł się domyśleć.

Nieurodzaj spadł nagle, miał kolor czerwonych cegieł, przywiódł mury i groźne bramy, wykute w niedobrym celu. Postawiono w polu więzienie i odmówiono strachowi na wróble pracy, wygnano na poniewierkę, skazano na nieznaną, gorzką i wrogię. Niby nie działa mu się nic wyjątkowego. Nie zwiesił wcale głowy i nie opuścił ramion w geście rozpaczy. Na pewno nagle też nie zamarzył, by szybki wiatr z nim zatańczył i poniósł, bo wiatr nie zaglądał w te okolice. Stał, jak wcześniej, na jednej nodze i na więcej nie oczekiwał. Mógł nadal liczyć tylko na siebie, tyle że coraz bardziej gubił się w tym wszystkim i nie umiał odnaleźć. Był niepotrzebny, więc wykorzeniony ze swego strachu, oszukany, opuszczony i pusty w środku.

Mimo że od dawna pozbawiony złudzeń, zamknięty, skupiony, nie wiedział, gdzie pójść. Zrobiono go z drewna, jednak nie czuły się dobrze w lesie, wśród drzew wysokich i smukłych. Wisały na nim łańchmany, jednak nie przeceniały swej biedy na tyle, aby po wsiach szukać jałmużny, cudzego chleba, możliwej, ale wątpliwej pociechy. Do miasta wielkiego i pełnego gwaru wyruszyć nie mógł, bo za daleko i by nie doszedł.

W górze widział ptaki i chmury wysokie, niczyje. Wszystkie zniewagi i bóle wydały się nagle mizerne, nudne i zbyt wygodne, aby mogły coś znaczyć. Pochylił się do ziemi, ale ziemia, zrezygnowana, milczała głucho i chłodno. Ogarzył stracha na wróble niepokój, już nie rozumiał lęków i nie czekał na ulgę, za nic nie chciał być sobie samemu ciężarem, kosturem, kijem wędrownym i drogowskazem. Nie był przekonany, że żył gdziekolwiek i naprawdę, więc umierał łatwo i bez lamentów. Znikał po trochu i nie czuł najmniejszej drzazgi. Chyba nie tracił czasu, skoro do stał tak mało, na zbędne żale. Nie wiadomo, czy zostało w nim strachu przynajmniej tyle, że coś wspomniał, zobaczył, wypatrywał daremnie, umiał wybaczyć, zdążył pożegnać się z tobą lub ze mną.

Umilowane słowo

Jakoś czułem się w sobie za mało zręcznie i wyjątkowo nie umiałem ani zmyślać, ani za dużo kłamać. Chciałem bajkę napisać szybko, za szybko, na skróty. Ale nawet słownik skrótów nie pomógł, bo w jego porządku zarezerwowano dla „mił.” miejsce bezpośrednio przed „min.”, jakby zecer czegoś nie złożył poprawnie, nie chciał, a może zapomniał.

Na wszelki wypadek upewniłem się, że „min.” to nie mina, grymas zdolny do samoograniczeń, który ludziom nie wybuchnie do końca, nikogo nie okaleczy i nie wymknie się spod kontroli, lecz skrótowiec definiujący wysokiego urzędnika bądź urząd, streszczający ministra lub ministerstwo. Znacznie częściej jednak, obojętnie co i jak ktoś myśli o sobie, co zdolny jest wymyślić ważny minister albo nawet prezes ministrów, niezależnie od planów

i mrzonek wszystkich urzędów, „min.” to wyłącznie minimum czegoś, co można, więc nie za wiele i niezbyt dużo. Miłość na pewno ma większe ambicje, i rozpychałaby się nie tylko w słownikach, ale i w życiu, gdyby, ślepa, kiedykolwiek życie widziała.

Wiedziony gdzieś zasłyszaną intuicją, że miłość to gesty las, a jak wiadomo, często chodzimy po nim na oslep, a zatem bajka o tym słowie powinna mieć charakter nie tylko dydaktyczny, ale również zamglony, gęsty, nieodporny na zwidy i fatamorganę, zajrzałem do wielu zbiorów wierszy, nie rezygnując z opracowań przyrodniczych, a także z kilku innych książek o tematyce moralnej i popularnej. W jednej przeczytałem, że dawno temu, gdy na ziemiach znanych i nieznanach, gorzkich albo magicznych, pojawiali się, jeden po drugim, prorocy i cudotwórcy, siedem panien podążyło w nocy, kierując się sennym marzeniem lub sobie jedynie znaną koniecznością, w lesne ostępy, powoli zanurzając się w gąszczu i otchłani o kolorze ciemnozielonym.

Niektóre zgubiły lampy, te zablądziły od razu, była też taka, co lampę porzuciła, aby było jej lżej, ale później też się zgubiła. Żadna jednak panna nie odnalazła lube-go, mimo że osobniczki wytrwałe, uparte, wyposażone w światło i cały czas mu wierne, niby lepiej sobie wszystkim zorganizowały i nie traciły czasu na sprawdzanie, dokąd naprawdę idą.

Znacznie więcej pociechy miałem ze znalezionej gdzie indziej przypowieści (kameralnego apokryfu) o kajdanach, w które wyposaża się ludzi, gdy wyruszają w daleką drogę. Dowiedziałem się, że czasem mężczyźni i kobiety dostają ciężkie obrączki, krępujące nie tyle ręce i nogi, ile nadmiar ambicji, a także skłonności do nudy, narzekania na wszystko i mieszkania w pustelni. Metal – mimo że tylko na palcu, silny, a wręcz szlachetny – pozwala każdy ruch przemyśleć dokładnie, nie zbaczać w prawo lub lewo, i boli tak jedynie, jak długa praca nad sobą i poprawnym zrozumieniem dostępnej w świecie wolności.

Spętanych łączy się w pary i dobrze, bo żyć z kimś, choćby w lesie gęstym i ciemnym, jest bardziej przyjemne niż bytować samemu. Ponadto da się bez umiaru korzystać z pięknych widoków i ze zdrowego powietrza. Czasem nawet kot się przyplącze i wtedy ludziom staje się jakoś raźniej, weselej. I nie warto od siebie uciekać, bo kot nie nadąży.

Z pamiętnika plenerowej gilotyny

Niedziela / Zgodnie z tradycją odpoczywam. To na pewno dzień pomyślny, świąteczny dla osadzonych w lochach, ale mnie się dłuży, jest pusty, nudny, bezużyteczny. Muszę przyznać, że nie lubię stać w cieniu. Wtedy nie góruję nad tłumem, opadam w samotność, opuszczenie, myślę o niespełnieniu i o tym, że kiedyś będę bezrobotna. W niedzielę nikomu nie mogę błyszczeć, obiecywać spotkania z dreszczem, trwożą lub chociaż służyć pomocą w dokonaniu podsumowań, przychodzących niewątpliwie za późno, chociaż w okolicznościach wyjątkowych.

Poniedziałek / Cenię rzemiosło, upartą, cierpliwą pracę. W moim zajęciu najważniejsza jest sprawność, doświadczenie, rutyna, nie brakuje jednak epizodów ciekawszych. Byłam przekonana, że tak będzie zaraz po stłumieniu rozruchów. To żniwa i od razu dożyńki, bo który z buntowników nie poległ i którego nie pochowano, miał zatańczyć ze mną. Ale wszystko kończyło się na zimnych ukłonach. Ci młodzi chłopcy, prawie dzieci, mieli tak wiele odwagi, że dodawali jej sobie wzajemnie, mimo że nic nie mówili, a zresztą wszystkie ich słowa zagłuszyłyby werble, wycie gapiów, wynajęte za grosze kpiny i złorzeczenia. Nauczyłam się jednak czytać z poruszenia warg i drgnięcia

powiek, z białka oczu – zwłaszcza chwilę przed tym, nim pokryje je ciemność.

Oni szli ku mnie, układając pożegnanie, elegię lub ucząc się na pamięć niedojrzałej dumy: oddzielił się od was barykadą, ale byliście silniejsi, potem ciągnęliście nas za włosy po ulicach miasta, aż tutaj, do miejsca wygnania, lecz to wy boicie się bardziej, będziecie już zawsze sypiać przy zasłoniętych szczelnie oknach, jednak nawet wasze sny nie przestaną wypatrywać łuny pożaru. Kładli się na śmiertelnej desce z tak bezczelną ironią, jakby to była deska w płocie, który jest tylko przeszkodą, aby iść dalej i dalej. Uporałam się z ich emocjami ostro, szybko, dokładnie, ale było mi dziwnie, zbyt patetycznie, jakoś niezręcznie, czułam się jak mebel albo rekwizyt, któremu za ciasno w krwawym teatrze.

Czwartek / Otwarto sklepy i szkoły, obmyto lizolem ulice, życie wraca do normy, a sprawiedliwość odrabia zaległości, na które brakowało czasu podczas zamieszek. Dzisiaj odprawiłam truciciela bogatego stryja, handlarza fałszywą monetą i oberżystę, który oszukiwał w karty i okradał turystów. Rzygali po całym szafocie i zmoczyli spodnie, a może nawet zrobili coś gorszego. Darli się wniebogłosy, wyzywali kata od najgorszych, obrażali żandarmów i znieważyli kapelana, którego posłali do wszystkich diabłów. Bełkotliwie błagali o zmiłowanie, czyniąc pod uwagę ani ceremoniału, ani tej najważniejszej prawdy, że każdy, prędzej czy później, musi umrzeć. Pouczyłam ich o tym w zwyczajnym trybie, wykorzystując posiadane możliwości, dbając o każdy szczegół, czyniąc powinność z surową, bezwzględną powagą i ulgą, że można ścinać sumiennie. Po raz kolejny nabrałam przekonania, że trudne relacje między przedmiotami a ludźmi powinny opierać się na wzajemnej równowadze i mieć charakter z natury ewolucyjny, któremu rewolucja, nawet najgłębsza, tylko urąga.

Jak nieprawda prawdy szukała

Nie dało się tej bajki poprzedzić wizją lokalną, bo na dotarcie do prawdy musiałbym poświęcić całe życie, a nawet nie wiem, gdzie jej szukać i czy na pewno znajdę. Poważną przestrogą, by w ogóle tego nie czynić, są przygody rodzonej siostry prawdy, która zapragnęła ją odwiedzić, nie ukrywajmy, w obrzydliwych intencjach, pełna najgorszych chęci i kierując się – jak w całym swoim postępowaniu – przeraźliwie niedobrą czy wręcz szpetną wolą.

Nieprawda, bo o niej mowa, nie była zbyt mądra, za to zarozumiała, zaprzyjaźniona z pychą i ponad miarę bezczelna. Siostry nie poznała nigdy, dojrzywały bowiem osobno, z dala od siebie, w odmiennych światach, na odległych, obcych, przeczących jeden drugiemu, biegunach. Nieszczęśliwie tęskniła lub wcale, bo wiedziała swoje, mimo że jedynie tak, jak jej było wygodnie, zaś czego nie wiedziała, a było tego bardzo dużo, to skłamała.

Tyle jednak o prawdzie mówili ludzie, szeptem, głośno bądź do siebie, za dnia, w nocy, po przebudzeniu, długo, chwilami, w godzinach pracy i w święta, wprost, jakimś szyfrem albo na skróty, że to się nieprawdzie zwyczajnie przejadło. Pójdzie, odnajdzie, obrazi, wywoła kłótnię, wojnę domową, pokaże, kto ważniejszy i kogo warto słuchać. Będzie dla siostry prawdy obelgą, hańbą, utrapieniem, zagra w to, co grać umie, w czym wciąż wygrywa, a jak trzeba szarpnie raz, potem drugi, w końcu opluje i poczuje się znacznie lepiej.

To wszystko łatwo przyszło do nieprawdziwej głowy, ciasnej od złych myśli, obrazów możliwych nieszczęść i licznych zgryzot, które pragnęła nieść jak dar czy przeznaczenie. Ale na tym się wszystko skończyło, bo nic się nie

dało zrobić z planem podróży. Zabrakło skrawka miejsca, domu, adresu, nic się nie przybliżyło, a tego, co się wyobraziło, było za mało, a więc skończyło się i zapomniało.

Próbowało wielu. W znacznie bardziej zacnych zamiarach, w niewątpliwie ważnym celu. Kiedyś, wcześniej lub wczoraj. Nie udało się nikomu. Niejeden myślał, że się spóźnił, że odwołano wszystkie pociągi, że już za późno i spróbuje jutro. Inni bardzo by chcieli, ale nie mieli pojęcia, na jakiej wysiąść stacji, czy dalej pójść pieszo i jaką drogą. Najbardziej uparci tylko marnowali czas na wypytwanie przyjaciół, znajomych, znachorów.

Zakładano towarzystwa samopomocy, kluby miłośników prawdy i uprawiano sztukę debaty. Wybierano modlitwę, medytację lub wpatrywano się w gwiazdy, a później klejono łupiny talerzy, zapalano lampę, ścielono łóżko. Czasami mówiono sobie – lub tym, których się bardzo kochało – o migdałowym słońcu na szkolnym podwórku i śmiechu mrówek z tornistrami za dużymi na życie i za małymi, wciąż zbyt małymi, by umrzeć. I to nic jednak nie dało. Nie było się bliżej prawdy, a ona nie była bliżej ludzi.

Najbardziej roztropnie, a przynajmniej bez zbędnych napięć, darzyło się tym, którzy zamykali się w bibliotece, bo nabierali dystansu i cierpliwości, a co przeczytali, to im zostało.

Kaleczenie zegara

Najtrudniejsza bajka nie ma nad nikim litości, ponadto pozbawiona jest wyraźnego czasu gramatycznego, zna tylko pierwszą osobę i odmienia się wyłącznie przez samą siebie. Przychodzi z przeszłości, jednak tak, jakby nie przychodziła, a chodziła tam i z powrotem, tłukła się bez opamiętania (i chyba bez celu) w okaleczonym zegarze, w którym zdechła kukułka, a zapewne nie było jej wcale.

Nawet utalentowani i bardzo sprawni pisarze nie umieli o depresji kłamać z morałem i rezygnowali, a ich znużenie było ogromne, bezkresne, większe od wyobraźni, niezdolne i nie do uniesienia, a czasem wstrętne, mimo że nienapisane. Niektóre dostępne słowa, wyrwane z bajki o depresji, wydarte i podarte, porwane chyba za młodu bądź wręcz dziecinnie, przychodziły w nocy, ale tylko wtedy, kiedy miały na to ochotę. Jednak okazały ludziom odrobiny szacunku, nie traktowały ich ani ze zrozumieniem, ani jakoś szczególnie serio, w czym były do ludzi bardzo podobne, tego jednak można się tylko domyślać, bo wlokły za sobą pęknięte lustra.

Byli mądrale, którzy szukali dla depresji bajki założycielskiej. Dużo gadali o ludzkiej naturze, o mięsie bezmyślnym, od razu skazanym, które nosiło w więzieniu wymyślne kostiumy i puste maski, czuło za dużo i brzydko pachniało strachem. Po prawdzie zmyślali wszystko, bo nic nie wiedzieli o tym, jak głośno krzyczy cisza i z jakich powodów czyni to w puszczy, na pustyni lub w celi śmierci.

Większość gawęd o lęku na zawsze dławiła autorów, niektóre zaś stanęły jak kość w gardle i żadna nie miała nic do powiedzenia. Mówiono, że pojawili się śmiałkowie gotowi przejść z depresją całą drogę, nawet gdyby przyszło zwiedzać labirynt. Pakowali walizki z książkami, by im nie zabrakło potrzebnych cytatów, kupowali grube i czyste zeszyty, w linię lub w kratkę, ale jeśli się nie mylę, do naszych czasów nie zachował się żaden dziennik podróży. Podobno zdarzyło się komuś dotrzeć do brzegu, podobno dobrzy ludzie wyciągnęli nieboraka, gdy prawie tonął, ale nie mam złudzeń i jestem przekonany, iż mogli to być jedynie ludożercy, więc nierozważny miłośnik wypraw w nieznanie zaniemówił ze strachu, co zdarzy się także tym, którzy popłyną jutro nie dalej niż do szkoły, biura albo osiedlowego sklepu.

Stoi przed mostem lokomotywa,
ciężka, ogromna, pot z niej nie
spływa,
nie sapie, nie dyszy, nie dmucha,
żar z rozgrzanego brzucha nie bucha.
Stoi.

Przekraczać jej most od dziś zakaza-
no. Powoli, metodycznie, na raty, biu-
rokratycznie.

Co ma wspólnego wieża Eiffla w Pary-
żu z Müngstener Brücke – mostem nad
rzeką Wupper między Solingen a Rem-
scheid w Niemczech? Obie konstruk-
cje są zbudowane tak samo, z żelaznych
elementów mocowanych razem nitami.
Obie zbudowano mniej więcej w tym
samym czasie.

Co różni te dwie wielkie konstrukcje?
Gdyby wieżę Eiffla zamknięto dla ruchu
turystycznego na kilka lat, byłoby o tym
głośno w całym świecie. Gdy zamknięto
most Müngsten, nie wiedzą o tym nawet
okoliczni mieszkańcy, jeżeli na co dzień
nie jeżdżą koleją, lecz używają auta, a nie
czytają gazet.

Wieża Eiffla została zbudowana dla
kaprysu, specjalnie na paryską wystawę
w 1889 r. Po 20 latach wieża miała być
rozebrana. Funkcjonuje do dziś.

Most Müngsten zbudowano z potrze-
by połączenia dwóch miast rozdziel-
onych głębokim wąwozem. Nie zakłada-
no końca jego żywota.

Wieżę w Paryżu budowano trzy lata
od 1886 do 1889 roku.

Most nad rzeką Wupper podobnie
krótko od 1893 do 1897 roku. Ta łuko-
wa konstrukcja, nie wiem, czy podob-
na jeszcze jest w świecie, ma długość
465 metrów i wysokość 107 metrów. Jest
największym tego typu mostem w Euro-
pie. Przez sto dwadzieścia pięć lat, dzień
w dzień użytkowanym. Tędy biegnie tra-
sa kolejowa łącząca Düsseldorf i Wupper-
tal z Solingen i Remscheid. Ponad wiek,
dzień w dzień, świątek, piątek, w odstę-
pach kilkunastominutowych przez most
przejeżdżały pociągi towarowe i osobo-
we. Przed dwunastu laty odpowiedni nie-
miecki urząd od konstrukcji mostowych
zauważył, że jedna z podstaw łuku, może
być nieco nadwątlona. Dla konstrukto-
rów mostów prawa statyki mają funda-
mentalne znaczenie. Pozwalają one prze-
widzieć, jakie siły będą działać na pla-
nowaną konstrukcję, czy to będzie ciężar
pociągu na moście kolejowym, czy
siła wiatru. Aby konstrukcja była stabil-
na, wszystkie siły działające na nią mu-
szą być równoważone. Na wszelki wypa-
dek do zbadania sprawy, urząd ów zaka-
zał początkowo od nastania 2010 roku
przejazdu po moście pociągów towaro-
wych, zaś od kwietnia 2010 nawet skła-
dy osobowe musiały przez wiadukt prze-



Zatrzymany most

JANUSZ PLEWNIAK

jeżdżać powoli, z prędkością zreduko-
waną do 10 km/h. Badania trwały, nie-
pewność rosła, więc po roku, znów od
kwietnia, lecz już w 2011, zakazano na
wszelki wypadek jakiegokolwiek ruchu
kolejowego po moście.

Czy Francuzi są bardziej lekkomyślni?
Czy może potrafiliby lepiej budować? Czy
może Niemcy wolą chuchać na zimne?

Kto nie widział tej także turystycznej
atrakcji, przekraczających wysoko jak
zabawki kolejek, to przez kolejne lata jej
nie zobaczył. Tymczasem nie przewiduj-
jąc takiego obrotu zdarzeń, pod mostem
w dolinie rzeki Wupper, w ostatnich la-
tach zagospodarowano teren z myślą o tu-
rystach chcących z dołu oglądać mkną-
ce po szynach pod niebem pociągi. Po-
wstały restauracje, przeprawy promowe
przez rzekę, ścieżki rekreacyjne, punk-
ty rozrywkowe dla dzieci, tereny plażo-
we i tarasy widokowe. Ba, w sezonie let-
nim urządzano nawet przejazdy po mo-
ście tradycyjnymi wagonami z epoki cią-
gnionymi jak w wierszu Tuwima przez
buchające parą lokomotywy. I nagle prask,
nagle trzask, wszystko stanęło.

Zanosiło się na skandal. Most zbud-
owany pod koniec XIX wieku z 5000 ton
stalowych profili, łączonych 950 000
nitami, skracający znacznie drogę mię-
dzy miastami Solingen i Remscheid za-
mknięto z zamiarem ewentualnego roze-
brania. Ostatecznie błyskawicznie szyb-
ko, w iście nie niemieckim urzędowym
tempie zapadła ważna decyzja. Postano-

wiono most w następnych pięciu latach
gruntownie odrestaurować. Założono
kwotę 30 milionów euro, które wydała
Deutsche Bahn (niemiecka kolej państwo-
wa). To powinno przedłużyć życie mostu
o następne 30 lat. I znów będą płynęły
po szynach koleje? Przynajmniej osobo-
we. Taki uradzono plan. I go wykonano.

Nawet, mimo równolegle prowadzo-
nych prac remontowych, od połowy
2012 składy osobowe kolei międzymia-
stowej znów przekraczały most z prę-
dkością „krokową”, a po generalnym re-
moncie jak dawniej, czyli już od 125 lat
pociągi jeżdżą po moście w obie strony
w dwudziestominutowym rytmie.

I choćby przyszło tysiąc atletów,
i każdy zjadłby tysiąc kotletów,
i każdy nie wiem, jak się natęzał,
nie ruszą mostu, taki to ciężar...

* * *

Wiadukty budowane są podobnie jak mo-
sty, z wykorzystaniem podobnych roz-
wiązań konstrukcyjnych i materiałowych.

Pytanie, na które nie mam odpowie-
dzi. Skoro most jest konstrukcją umoż-
liwiająca pokonanie przeszkody wod-
nej np. rzeki, jeziora a wiadukt-prze-
prawą pozwalająca na pokonanie każdej
przeszkody typu dolina, wąwóz, droga,
tory itp., to czymże jest opisywana kon-
strukcja rozpięta nad głębokim wąwo-
zem, którego dnem płynie rzeka? ■

*PS Julian Tuwim, mam nadzieję, byłby
wybaczył sparafrazowanie jego wiersza. jp*

Śnieżkowe życie

JANUSZ PLEWNIAK

Śnieżka ma wysokość 1603,2 m n.p.m. Jest najwyższym punktem w Karkonoszach. To najwyższa góra Sudetów, Środkowoeuropejskich Wyzyn Środkowych i Czech. Przez szczyt góry przebiega granica Polski i Republiki Czeskiej.

Schronisko czeskie na okres świąteczno-noworoczny zamykali już 20 grudnia. Załoga miała jeszcze dość czasu, by zjechać i zejść na święta w doliny. A jednak zaraz rankiem dnia następnego, opatuleni jak na polarną wyprawę udali się wszyscy do Obrzi Dolu, paręset metrów poniżej. Kolejka linowa od kilku dni w zastoju. Przy dujących do 80 km/h wiatrach nikt by się nie odważył się na krzeselko, nawet gdyby to było możliwe. Zatem omotani w puchowe kurtki, także spodnie, a dzieci podwójnie, jakby żywe mumie pomiędzy rozpartymi nogami ojców, na siedząco zjazdem ze szczytu, po śniegowym, wyslizganym na lód podłożu, poooooozliiii... Pomagali sobie czekaniem dla utrzymania równowagi w karkołomnym zjeździe.

Kto nie był na Śnieżce w zimie, ten tego nie pojmie. Jest jeden jedyny taki szczyt w całym paśmie Karkonoszy, wznoszący się na 1603 m n.p.m, gdzie klimat wariuje. Gdzie warunki zbliżone są do polarnych. Nie dlatego, że tak brzmi ładnie w gazetowym sprawozdaniu. To jest udowodnione i to już od wieków!

Pierwsze regularne, systematyczne pomiary meteorologiczne na Śnieżce odnotowywano od 1880 roku, a Wysockogórskie Obserwatorium na Śnieżce istnieje od przełomu wieków, powstało bowiem już w 1900 roku. Do lat siedemdziesiątych XX wieku mieściło się w drewnianej wieży. Potem zostało przeniesione kilkanaście metrów obok, do nowoczesnych architektonicznie „talerzy”.

Otóż tam na najwyższym wierzchołku Karkonoszy, my, wszyscy siedmioro pracownicy obserwatorium: kierownik, pięciu obserwatorów i kucharka-sprzątaczką-gospodyni w jednej osobie – bez mała jak w bajce o siedmiu krasnalach, skrzętnie czyniliśmy, co nam przypisano. Przede wszystkim obserwowaliśmy naturę, odczytując co godzina wskazania meteorologicznych przyrządów. Czyli: jak wieje, skąd wieje i z jaką prędkością. Do 40 km/h nie było problemu. Taki kręciołek pokazywał. Acz bywało więcej. I co wtedy? Szybko nauczyli mnie obeznani z fachem, od lat dyżurują-

cy na wyspie górskiej ponad mgłami. Ruszają się firanki przy zamkniętych oknach? Czyli jest 50 km/k. Trzeszczy całe obserwatorium? W podmuchach dochodzi do osiemdziesięciu. Temperaturę na szczęście każdą, aktualną, minimalną w ciągu doby i maksymalną też, pokazywały odpowiednie termometry. Podstawę chmur? Powinniśmy mieć odpowiednie reflektory świetlne, takie widziałem na praktyce w stacji meteo przy lotnisku w Lesznie. A tu? Ćwiczyliśmy oko. Opady? O! To już była sztuka. Dopóki lało deszczem, prosta sprawa. Zlać z deszczomierza do menzurki i przeczytać. A śnieg? Stopić i odczytać. A jak zamarzał? Hm... spróbować oskrobać, stopić i aksjomatycznie odgadnąć. Najłatwiej było ze Słońcem. Taka prawie astrologiczna kula, w rzeczy samej soczewka kulista, widywana na filmach z wrózkami, przepuszczała promienie słoneczne, skupiając je na pasku kartonu, szczególnie czułym na przepalanie a odpornym na spalanie. Potem wystarczało pomierzyć. Inne skomplikowane pomiary wymagały praktyki, improwizacji i wiary w człowieka. A odczytawszy wyniki, należało je wysłać do centrali w Jeleniej Górze. Przedtem zasyfrować! Bo wróg czuwał za komuny wszędzie, w każdym zakątku, tym bardziej na szczytach gór. Zdarzyło mi się raz przy szyfrowaniu danych, mylnie podać pokrywę pierwszego przedzimowego śniegu. A gdzieś tam dalej odczytali, jak trzeba i podali do telewizji. Jeszcze zapowiadacz pogody po dzienniku tv nie zakończył, gdy rozwiścieczony kierownik dzwonił do mnie z Karpacza. – Panie Januszu, to ile tam śniegu przy obserwatorium?

– Było 2 cm, jeszcze trochę prószy, więc może ze dwa i pół...

– Taaak? A właśnie w telewizji podali, powołując się na dane ze Śnieżki, że w Karkonoszach spadło 20 cm śniegu! Jak pan to zasyfrował?! Wszystkich tych z nartami, którzy jutro przyjadą, będę wysyłał do pana!

Szef był człowiekiem dobrym, ale cholernym cholerykiem. Mnie i tak się upiekło. Inni miewali większe starcia.

Można powiedzieć, iż w porównaniach do życia i pracy w dolinach, w miastach, na szczycie tym wszystko było w jakiś nienaturalny sposób zwarowane. Pogoda to jedno. Jej wpływ na ludzi? Kto wie? Chociaż wszyscy poza kierownikiem i jednym tylko ob-

serwatorem byliśmy młodymi ludźmi. Włodek, absolwent geografii Uniwersytetu Wrocławskiego miał swoje na ten temat zdanie; to wpływ złożeń uranowych u podnóża góry. Faktycznie, do lat sześćdziesiątych XX wieku Rosjanie mieli po czeskiej stronie kopalnię uranu. Potem, podobno porównawszy te złoża z ich własnymi w Sojuszu, oceniwszy jako mało wydajne, podziemia zalaną. A uran przecież pozostał. Mnie, fizykowi, taki wpływ mini ilości radioaktywnych pierwiastków, oddalonych nawet w linii prostej o kilometry wydawał się nieprawdopodobny, a jednak bywało w tej budzie co najmniej dziwnie. Inny obserwator, ponoć niewierzący, przypisywał nasze neurotyczne zachowania oddziaływaniom satanistycznym. Całkiem poważnie rozprawiał o Borucie i zastępach jego podziemnych karkonoskich diabłów. Sam nie postrzegając swojej odmienności. Był jedynym, który główny obiadowy posiłek, dawno wystygły, wolno spożywał w czasie trzech obserwacji, czyli od dwu do trzech godzin.

Tu trzeba opowiedzieć, że czas na bazie meteorologów na szczycie Śnieżki odmierzany był rytmem obserwacji. Co godzina zwyczajne, co trzy godziny zasadnicze, poszerzone. Wszystkie szyfrowane według światowego zegara meteorologów, czyli w Time Greenwich. W Wielkiej Brytanii obowiązuje tzw. czas Greenwich. Jest to umowny czas zero, do którego odnosi się czas na całym świecie. Na zachód od niego czas maleje o jedną godzinę co 15 południków, a na wschód rośnie co 15 stopni globusa o 1 godzinę. Nie trudno zauważyć, że Polska leży na wschód od Wielkiej Brytanii, tak więc czas w kraju różni się od tego przyjmowanego w Zjednoczonym Królestwie. Gdy w Wielkiej Brytanii jest godzina 12.00, w Polsce zegary pokazują 13.00. Zda się to normalne i logiczne. Jeszcze bardziej logicznym wydaje się, że obserwatoria całej Ziemi mają ujednolicony zegarek.

Dzięki temu łatwiej prognozować pogodę. Mimo tej logiki ta różnica czasów stwarzała już jednak pewną, wprawdzie niewielką, inność ludzi w wieży obserwacyjnej do reszty świata. Większą anomalią były rozkłady temperatur. Inwersja temperatury to w meteorologii zjawisko atmosferyczne polegające na zmianie temperatury powietrza wraz z wysokością, odwrotnie niżby tego oczekiwać.

W normalnych warunkach, w najniższej części atmosfery, powietrze bliżej powierzchni ziemi jest cieplejsze niż wyżej. Czasami w wyniku zjawisk zachodzących w atmosferze dochodzi do odwrotnego układu temperatur niż zazwyczaj. Tak właśnie często bywało na szczycie Śnieżki – górującym ponad 300 metrów nad całym grzbiem Karkonoszy.

Powodowało to dodatkowe efekty w atmosferze, gromadzenie się mgły, osiadanie szadzi na wystających słupkach, krzewach kosodrzewiny, wszystkich ponad ziemię wystających przedmiotach. Takie lodowe chorągiewki tworzone przez wiatr i mróz.

Szczególnie interesująco wyglądała pogoda przed i po burzy. Starczyło wyjść na taras a włosy – wtedy jeszcze miałem – stawały dęba. Wystarczyło, rozcapierzywszy palce wystawić w górę rękę, a z każdego opuszka ku niebu ciągnęła się widzialna strużka fioletowego strumienia zjonizowanych cząstek. A gdy waliły pioruny? To w pokoju głównym obserwacyjnym w rogu między dwoma gniazdkami przelatowały wyraźnie widoczne małe błyskawice. W zimie, mimo kilku elektrycznych pieców akumulacyjnych, bywało, że woda w akwarium zamarzała. Rzeczą bardzo zwyczajną było, że na wiosnę kierownik Hołdys przynosił nowo zakupiony narybek. Rzadko się zdarzało, by chociaż kilka rybek przetrwało zimę. Przetrzywały natomiast doskonale każde warunki myszy, żyjące między podwójnymi, drewnianymi ścianami wieży obserwacyjnej. I to, mimo że przy każdej bytności na górze, szef rozstawiał pułapki. I zawsze potem dziwił się sprytowi gryzoni. Łapki klapnięte, przynęta zjedzona, a myszy ani widu. Nie wiedział, że tuż po opuszczeniu przezeń budynku, sami litościwie rozładowywali mysie zagrożenia. By w nocy zwierzaczki nie biegały po nas, zostawialiśmy na stole w sypialni pokruszoną bułkę. Do rana blat stołu był zawsze pusto czysty, a my mieliśmy spokojne sny.

Gdy przybyłem, skierowany z wrocławskiej centrali PIHM, przemianowanego potem na IMGW, czyli z Państwowego Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego na Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej, nawet nie wiem, kto podszeptał mi był, że przychodzę na miejsce po Aurelim. Ten podpadł i dni jego są policzone. A czym to on tak podpadł?

Wpierw wprowadzenie topograficzne. Na kopule szczytowej jest zaledwie kilka budynków. Romańska w stylu, niewielka kaplica z 1681 roku. Czeskie schronisko z restauracją. Polskie obserwatorium. Kilkanaście metrów poniżej, po czeskiej stronie, górna

stacja wyciągu krzeselkowego. I koniec. Nic więcej. Jedyną rozrywką polskich obserwatorów, poza programem telewizyjnym i przypatrywaniem się rybkom w akwarium była, przepisami PRL zabroniona, bo związana z nielegalnym przekroczeniem granicy, wizyta w czeskim schronisku. Podobnie po pracy tamże, czescy kelnerzy, wówczas wszyscy dysydenci, dziennikarze, nauczyciele skazani po rozruchach 1968 roku na banicję do pracy w najodleglejszych, oddalonych od ludzkich skupisk miejscach, przychodzili nielegalnie na pogaduchy do stacji meteo. Smaczkowi dodaje, że przy tych nielegalnych kontaktach, często na zasadzie znudzonego słuchacza, przysiadł żołnierz Wojsk Ochrony Pogranicza. Żołnierz strzegący prawa komunistycznego, takich kontaktów zabraniającego. A granica szła przez środek szczytu. Każdy z tej, czy z tamtej strony miał swoje dwadzieścia metrów legalnych i nieswoje 20 metrów nielegalnych. Nikt na szczycie tego prawa głupiego rzecz jasna nie przestrzegał. Szczyt był nasz: siedmiu krasnoludków ze stacji PIHM (a potem IMGW) oraz siedmiu „Rumcajsów” z czeskiej strony. U nas była jedna kobieta, już wspomniana Marysia. U nich była jedna holka, piękna, młoda Jana. Dwie perły rzucone pośród wiecznie głodnych... Prawo na górze stanowiliśmy sami. Gdy Jana przychodziła do naszej budy na pogaduchy, to zawsze z kilkoma butelkami pilznera. Gdy nasz człowiek miał dobrowolną przerwę po dyżurze i nagły pościg do tęsknot niewypowiedzianych, szedł do oddalonego o kilkanaście kroków schroniska i zwałował duży kufel beczkowego. Pech Aureliego polegał na tym, że nie mając szansy na jeden pełen uczucia uścisk Jany, nie zadowalał się jednym kuflem przez nią podanym. A potem w naszym obserwatorium głośno chrapał. Szef znał prawdę, ale nigdy nie udało mu się niecnych praktyk piwnych Aureliego nakryć. Tak jak nigdy nie odkrył, kto zwalnia mysie pułapki przez niego nastawiane.

Była jeszcze jedna ważna regulaminowa sprawa. Dyżur trwał 24 godziny. Po nim przysługiwała przerwa, także całą dobę. A potem następny dyżur. Jak łatwo zauważyć, przez trzy dni i noce, przepracowaliśmy 48 godzin. A administracyjnie szychta wynosiła w instytucie godzin siedem. Czyli po trzech dobach mieliśmy zaliczone bez mała dni siedem. Co miał robić młodzieniaszek, któremu nigdzie nie było śpieszno? Jechać w doliny? Łazić po górach? Czy przejść się niewiele kroków do budynku naprzeciw i przy dużym jasnym poprzekomarzać się z Janą albo posłuchać wyznań kel-

nera, który był za rewolucją Dubczeka, ale nie przewidział, że czas kresu komuny jeszcze nie nadszedł? W konsekwencji zaś zasnąć chrapiąc przed telewizorem. To prowadziło do konfliktów między władzą, czyli kierownikiem i służbą, czyli obserwatorem. Aureli czuł, że dni jego, tak czy siak są w stacji policzone. I trzeba było, że w tak napiętej, nerwowej, nieprzewidywalnej sytuacji, podczas wczesnojesiennej, zimną mżawką podkreślonej pogody, odwiedziła wysokogórskie obserwatorium paniusia M., przedstawiająca się „jestem pani magister M. z centrali” z zamiarem przeprowadzenia kontroli. Jeszcze zanim na dobre weszła do tej naszej drewnianej twierdzy, przyznała się, że w tak wysokich górach to ona jest pierwszy raz w życiu, że jazda wyciągiem krzeselkowym to jest igranie z życiem, a jej godzinne podejście na szczyt granicy z osiągnięciami wartymi zanotowania w księdze Guinnessa. I że bardzo zmarła. I że już żadnej kontroli jej się nie chce, byle kierownik potwierdził jej druk delegacyjny.

A szef? Ten szarmancki choleryk zaproponował herbatkę, na co chętnie przystała była. Przypadkiem przy stole tuż obok niej zasiadł Aureli. Gdy szef podał w kubkach herbatkę z czeskim, bezalkoholowym, ale rozśiewającym przyjemną woń rumem, ta „ęć-pani” zapytała:

– A czy ja to mogę pić? Czy aby ta herbatka nie jest za gorąca? I tu się porozumiewawczym grymasem uśmiechnęła ni to zalotnie, ni to chytrze w stronę kierownika.

Aureliusz, będący jeszcze w tym dniu na etacie firmy, zwinął dłoń tak, że wystawał tylko palec wskazujący i prawie całą jego długością wstał do filiżanki kontrolerki z centrali. Wyjął, otrząsnął resztki czaju wymownym gestem i powiedział:

– Herbatka jest w sam raz. Może pani pić.

Kobieta zbaraniała. Szef spurpurował. Aureli następnego dnia otrzymał wypowiedzenie na piśmie. Bez słowa o organoleptycznym sposobie sprawdzania jakości i temperatury herbaty dla gości.

Tym sposobem przyspieszywszy, tak czy siak, wiszącą nad nim decyzję, odszedł. Niespodziewanie to ja, najmłodszy wiekiem i stażem, mimo obiecanego etatu w Obserwatorium na Kasprowym Wiechu, zastąpiłem go w tej marynarskiej załodze obserwatorium na Śnieżce.

Można spytać – dlaczego marynarskiej? Gdzieś władza musiała taki nietypowy obiekt jak obserwatoria wysokogórskie i ich pracowników zaseregować. Wsadzili nas do rubryki – marynarze i portowcy.



Śnieżka zimą. Ze zbiorów prywatnych autora tekstu, autor fotografii nieznaną.



Śnieżka zimą. Ze zbiorów prywatnych autora tekstu, autor fotografii nieznaną.



Śnieżka – szczyt widoczny ze szlaku granicznego, rok 2002



Reprodukcja widokówki z okresu, gdy stały dwa obserwatoria – stare, drewniana i nowe „talerze”, prawdopodobnie koniec lat 70 tych XX wiek.

Blaszka z nesesera

– nagroda ppor. pilota Zbigniewa Rowińskiego

TADEUSZ LOSTER

Jacek Kaczorowski, mieszkający pod Warszawą, jest od lat pasjonatem wojskowości polskiej. Przede wszystkim interesuje się wojną obronną 1939 roku. Niezliczona ilość przeczytanych na ten temat książek, które zgromadził w bibliotece domowej, pozwoliła mu stać się ekspertem od wydarzeń, bitew września, miejsc pamięci i życiorysów bohaterów. Pasjonuje go przede wszystkim bitwa nad Bzurą, kiedy to dnia 9 września Armie Poznań i Pomorze przystąpiły do kontrofensywy, odnosząc początkowo sukcesy w walce z armią niemiecką. Jego zbiory to nie tylko książki, ale również skupowane przez lata zdjęcia, dokumenty z tamtego okresu i artefakty. Niektóre z tych pamiątek udało mu się znaleźć na polach bitewnych, posługując się wykrywaczem metali – oczywiście za zgodą wojewódzkiego konserwatora zabytków.

29 maja br. Jacek Kaczorowski pojechał do lasu w pobliżu wsi Stare Budy, gdzie drogą od Iłowa w stronę rzeki Bzury 17 września 1939 przedzierająca się w kierunku Warszawy Armia Poznań dostała się w niemieckie kleszcze. Samochód postawił na leśnej ścieżce. Przypadkowo postawiony dwa metry od auta i załączony wykrywacz zasygnalizował w tym miejscu ukryty metal.

Spod blisko 20-centymetrowej warstwy darni i piasku szczęśliwy znalazca wydobyl miedzianą blaszkę. Po jej oczyszczeniu ukazał się napis:

**I Nagroda
w II Śląskich Zawodach Lotniczych
dla zawodnika Aeroklubu Śląskiego
ufundowana przez
Okręg Wojew. Śląski L.O.P.P.
Katowice 11.VII 1937**

Dalsze poszukiwania w pobliżu miejsca znaleziska były również owocne. Jacek znalazł wbite w ziemię części silnika oraz kół samochodu ciężarowego.

W Śląskiej Bibliotece Publicznej można skorzystać z publikacji „Sprawozdanie Aeroklubu Śląskiego za rok 1937”, wydanej przez tenże Aeroklub. Wdług obszernego opisu z II Śląskich Zawodów Lotniczych, które 11 lipca 1937 roku zorganizował Aeroklub Śląski pod nazwą „Bałtyk – Beskid” wyszczególniono, że I nagrodę dla najlepszych załóg śląskich w klasie ogólnej – neseser – ufundowaną przez Okręg Wojewódz-

ki Śląski L.O.P.P. zdobył **pilot Zbigniew Rowiński**. Identyczną nagrodę – neseser – zdobył również partner lotniczy pilota Rowińskiego obserwator inż. Władysław Wojnar. Obaj panowie, startując na samolocie RWD-8, pokonali we wszystkich konkurencjach 19 startujących załóg z aeroklubów z całej Polski. Rowiński i Wojnar zdobyli pierwsze miejsce w próbach A oraz B, polegających na odnalezieniu w terenie w określonym czasie punktów kontrolnych oraz zrzuceniu na nie meldunków, zdobywając główną nagrodę przechodnią: rzeźbę „IKAR”. Ponadto pilot Zbigniew Rowiński zgarnął dodatkowy puchar, wazon kryształowy, srebrną papierośnicę, aparat fotograficzny Zeiss Ikon „Nettlar”, stoper, materiały pędne na 20 godzin lotów oraz wymieniony już neseser, na którym przyczepiona była mosiężna tabliczka znaleziona w lesie pod Budami Starymi nad Bzurą.

Ze sprawozdań Aeroklubu Śląskiego z lat 1936–1938 wynika, że Zbigniew Rowiński był dobrze zadowolony w aeroklubie katowickim. W czerwcu 1936 roku wraz z Władysławem Wojnarem na samolocie RWD-8 zdobyli pierwszą nagrodę za lot okrężny na trasie Grodno–Wilno, a w maju 1938 roku brał udział w locie do Rumunii, przelatując trasę



Przy samolocie Hanriot HD.14 E2 na poznańskim lotnisku Ławica, rok 1924, z archiwum Jędrzeja Rowińskiego



Zbigniew Rowiński, fot. z archiwum Jędrzeja Rowińskiego

ze Lwowa przez Sofię–Belgrad–Zagrzeb–Wiedeń–Budapeszt–Koszyce do Katowic w czasie ponad 21 godzin.

Udzielał się również społecznie w Aeroklubie, w latach 1937–38 był członkiem Zarządu oraz wchodził w skład Sekcji Propagandy i Sekcji Towarzyskiej.

Aby szerzej nakreślić sylwetkę Zbigniewa Rowińskiego trzeba wspomnieć jego ojca Stefana (1875–1943), syna powstańca styczniowego, pierwszego komisarzycznego burmistrza Ostrowa Wlkp. w wolnej Polsce, polskiego księgarza i drukarza, działacza politycznego w Wielkopolsce związanego z endecją, Kierownika Okręgu Południowa Wielkopolska Delegatury Rządu na ziemię włączone do III Rzeszy. Z żoną Kazimierą z domu Poturską miał czwórkę dzieci, najstarszy syn Bogdan urodził się w 1903 r. Zbigniew był drugim dzieckiem, urodził się w Ostrowie w 1905 roku, miał młodszego brata Lecha (1907) oraz siostrę Wandę (1912).

Zbigniew Rowiński szkołę podstawową i średnią ukończył w Ostrowie, otrzymując świadectwo maturalne w 1924 roku. W tymże roku rozpoczyna studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim im. Adama Mickiewicza. Tytuł magistra prawa uzyskuje w roku 1930. Po ukończeniu studiów rozpoczyna jednoroczną służbę wojskową w Batalionie Podchorążych Rezerwy Piechoty Nr 7A w Jarocinie. Tam zainteresowany lotnictwem uzyskuje możliwość nauki pilotażu w 3 Pułku Lotniczym w Poznaniu. Zafascynowany lotnictwem przeniesiony zostaje do Centrum Wyszkożenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie, w skład którego wchodzi Szkoła Podchorążych Lotnictwa. Po dwóch latach kończy ją i zostaje przydzielony do 1 Pułku Lotniczego w Warszawie. Po odbyciu dodatkowych ćwiczeń w pułku odchodzi do rezerwy otrzymując stopień pilota ppor. rezerwy.

Po powrocie z wojska zaczyna pracować jako aplikant w Sądzie Okręgowym w Ostrowie, a następnie w Sądzie w Poznaniu. Po zdaniu egzaminu na prokuratora otrzymuje skierowanie do pracy w Prokuraturze Okręgowego Sądu w Katowicach. Przebywając na Śląsku nie rezygnuje ze swojego zamiłowania do lotnictwa, wstępuje do katowickiego Aeroklubu Śląskiego, gdzie już w 1936 roku startuje w zawodach jako pilot sportowy. Jako czołowy zawodnik – pilot Aeroklubu Śląskiego odnosi wiele sukcesów. Jeszcze przed wybuchem wojny, pod koniec czerwca 1939 roku, zostaje zmobilizowany i trafia jako pilot do 131 Eskadry Myśliwców, która wraz z 132 Eskadrą stanowiła III/3 Dywizjon Myśliwski, wchodzący w skład Lotnictwa Armii „Poznań”.

W lipcu i sierpniu eskadra uczestniczyła w koncentracji i ćwiczeniach wielkopolskich jednostek lotniczych. 1 września 1939 roku wybucha wojna. III/3 Dywizjon lotniczy rozpoczyna działania bojowe przeciwko lotnictwu niemieckiemu urządzając patrole, wyprawy i zasadzki. Jak wyglądało takie „czatowanie” na zasadzce? Warto przytoczyć fragment relacji ppor. pil. Włodzimierza Gedymina z 131 eskadry:

Siedzimy w kabinach z założonymi spadochronami, zapiętymi pasami, z włączonymi iskrownikami. Do zapuszczenia silnika należy wykonać dwie czynności – wpuścić sprężone powietrze do cylindrów i uruchomić rozrusznik. Po tem dźwignia gazu na siebie, drążek od siebie i start. Siedząc w kabinie samolotu i wsłuchując się, niczym myśliwy w odgłosy kniei, by wyłowić z nich szmery zbliżającej się zwierzyny – rozmyślam, jaka to może być zwierzyna. Jeżeli gdzieś w pobliżu zjawi się wyprawa bombowa lecąca na wysokości kilku tysięcy metrów, to nie ulega żadnej wątpliwości, że zanim nabierzemy wysokości, oni nam uciekną, a my ich nie dogonimy...

3 września do zorganizowania zasadzki w Gębarzewie z lotniska w Dzierżnicy odleciał klucz 3 samolotów PZL P11. Do wykonania zadania zostali wyznaczeni piloci por. Z. Moszyński, ppor. Z. Rowiński ze 131 eskadry oraz piloci 132 eskadry ppor. Łuczyński i ppor. J. Czachowski wraz z personelem naziemnym. W tej zasadzce parze pilotów Rowiński, Czachowski udało się zestrzelić jeden samolot bombowy Heinkel 111. Tak walkę polskich pilotów z niemieckimi samolotami opisze Czesław Kazecki:

W porze południowej – dwa nasze samoloty wystartowały na odgłos niemieckich bombowców, lecących z kierunku Inowrocławia w stronę Poznania. Niemiecka eskadra Heinkli została zaatakowana od strony słońca zaraz po przelocie bombowców nad Gnieznem. Po kilku krótkich i bardzo zwinnych atakach naszych dwóch

„jedenastek” (P-11) – tuż przed pierwszą stacją kolejową na linii Gniezno-Poznań (Pierzyska) – za ostatnim w szyku Heinklem pojawiła się wpierrw mała i cienka, a potem coraz bardziej grubiejca i wydłużona wstęga czarnego dymu, pomieszana z językami ognia widocznymi na lewym silniku niemieckiego samolotu. Po przelocie nad ową stacją – za rozpierschłą niemiecką eskadrą, ostrzeliwującą nasze dwa myśliwce, na końcu leciał ów uszkodzony mocno bombowiec, zniżając pułap lotu z około niecałych 2 km wysokości do 1,5 km, potem 1 km, a następnie kilkuset metrów (i do jeszcze niższego). Po przelocie nad drogą z Łubowa do Iwna (zarazem z Gniezna do Kostrzyna i do Poznania) – w niskim już locie – szykował się do przymusowego, twardego lądowania na spodzie kadłuba z południowej strony stacji kolejowej w Falkowie. Znieruchomiał dopiero na odległości około pół kilometra na płd.-zach. od budynków stacyjnych. Lot tego bombowca śledzili też na ziemi polscy żołnierze, którzy jakąś ciężarówką, dość szybko pędzili po bezdrożach pola, by zaraz ująć do niewoli niemiecką załogę. Tak się też stało. Ów zestrzał lotniczy miał potwierdzenie od polskich wojsk ziemnych. Nasi piloci wykonali kilka okrążeń miejsc pobojowiska lotniczego, po czym, nie ścigając już dalej w stronę Poznania pozostałych niemieckich bombowców (silnie ostrzeliwujących wcześniej nasze 2 P-11) – powrócili na swe lotnisko niedaleko Gębarzewka, radośnie kiwając tam swymi skrzydłami dla personelu naziemnego tej zasadzki.

Zestrzelenie niemieckiego samolotu bombowego Heinkel 111 zaliczono pilotowi ppor. Józefowi Czachowskiemu. To jedyna znana relacja opisująca działania bojowe Zbigniewa Rowińskiego.

Wg przekazu Czesława Kazeckiego nie znaczy to, że pilot Rowiński nie brał udziału w innych zasadzkach oraz zadaniach bojowych w dniach od 1 do 16 września 1939 roku. Wieczorem 9 września wskutek reorganizacji III/3 Dywizjonu Myśliwskiego uległa likwidacji 131 Eskadra Myśliwska. Część pilotów zlikwidowanej eskadry zasilila uszczuplony stan 132 EM, wśród nich znalazł się ppor. Zbigniew Rowiński, by nadal walczyć do 16 września.



Zbombardowana kolumna samochodowa w pobliżu rzeki Bzury. Wrzesień 1939, ze zbiorów Jacka Kaczorowskiego

Wyglądać tu może (pisze Kazecki), że ppor. pil. Zb. Rowiński mógł przez większość dni działać na oddalonych placówkach i tym samym mógł być mało widocznym pilotem dla dowódcy III/3 DM (jakby pozostający w cieniu i w dużym zapomnieniu, a tak czasami się też zdarzało).

Luszyń w dniach 14–16 września 1939 był przedostatnim lotnikiem, skąd wlatywały do walki polskie samoloty P-11. Ostatnim lotnikiem był Iłow. 17 września 1939 roku Rosja Sowiecka napadła na Polskę. Jeszcze tego samego dnia Naczelną Wódz wojska polskiego wydał rozkaz ewakuacji wszystkich sprawnych samolotów do Rumuni. Ostatnie 3 sprawne samoloty PZL-11 z lotniska w Iłowie tego dnia wyleciały w stronę Lublina.

Ppor. Rowiński prawdopodobnie wraz z rzutem kołowym eskadry ruszył z Luszyńa przez Iłow i las pod Budami Starymi w stronę przeprawy nad Bzurą.

Wygląda tu na to (pisze Kazecki), że zdecydowana część taboru samochodowego uległa porzuceniu, celowemu zniszczeniu, spaleniu w okrażeniu, w dniach 17–18 września. Masakrę zrobiły też Ju-87 w dniu 17 września. Część rzutu kołowego dotarła w rejon Iłowa, lecz – stojąc w miejscu – była ciągle bombardowana. Z owego kotła, w rejonie Brochowa – szło się wyostać jedynie na pieszko, najłatwiej w nocy.

Osobiste rzeczy ppor. Z. Rowińskiego, a na pewno pamiątkowy nesesor, znajdowały się w samochodzie, który został trafiony podczas bombardowania. Pamiątkowa blaszka ze skórzanego nesesera, wraz w wbitymi w ziemię częściami samochodu, została znaleziona przy leśnej drodze w pobliżu wsi Budy Stare 2,5 km od Iłowa w kierunku rzeki Bzury.

Najwięcej pilotów i naziemnego personelu z dyonu dostało się do niemieckiej niewoli w dniach 17–18 września w Puszczy Kampinoskiej. Zabierani byli też podoficerowie, w tym piloci, i niekiedy przewożeni pociągami do obozu przejściowego w Pabianicach koło Łodzi. Bardzo prawdopodobne jest, że 18 września Zbigniew Rowiński, który wyrwał się z kotła, dostał się do niewoli w Puszczy Kampinoskiej, skąd trafił do jenieckiego obozu Oflag



Przy samolocie Lublin R. XIV na warszawskim Okęciu, z archiwum Jędrzeja Rowińskiego

XIB w Braunschweig, otrzymując numer 1205/XIB. Tam w obozowym baraku mieszkał z ppor. rez. Andrzejem Bukowskim, który po wojnie wydał książkę „Za drutami oflagu – dziennik oficera 1939–1945”. W swojej książce Bukowski opisze postać Rowińskiego – „prokuratora” jednego z drużyny piętnastu z izby nr 88.

Wśród podporuczników (stopnie zresztą w naszym życiu nie odgrywają żadnej roli) wyróżnia się kilka typów: jednym z nich jest „prokurator”. Był rzeczywiście przed wojną przez szereg lat prokuratorem w Katowicach. Nazywa się Rowiński. Pochodzi z Ostrowa w Wielkopolsce, gdzie ojciec jego ma księgarnię i drukarnię. Wzrostu średniego. Szczupły, wąty, blade na obliczu, z łysiną zbyt podniesioną jak na kawalera. Łysinę powiększają krótko przyszczyżone włosy i to po to, by dalszemu tyśnieniu zapobiec. Służą temu celowi specjalne środki kosmetyczne. Jest już też szczotka do pielęgnowania włosów. Wszystko w obawie o zbyt szybkie wytyśnienie przed ożenkiem. A lata kawalerskie pochylały już trochę głowę i wcisnęły do środka piersi, do czego zapewne przyczyniło się także ślęczenie nad aktami oraz książkami. Nikt z naszej drużyny nie czyta tyle, ile „prokurator”. Urządził sobie stolik przy oknie, siada przy nim i trwa przy nim przez cały dzień, głowę oparzony na prawej dłoni. Gdy patrzysz z ulicy, zawsze tę jego sylwetkę widzisz. Nikt nie śmie sanktuarium p. prokuratora naruszać, to znaczy jego zawsze tak samo ustawione krzesła i stolika. Pan prokurator jest ogólnie poważany. Wieczorem, gdy nadejdzie „Braunswagierka” i „Obzieracz” („Volkischer Beobachter”), czyta głośno świeże wiadomości, tłumacząc je od razu na język polski. Bo niemiecki zna znakomicie. Z fachu wojskowego jest lotnikiem. W czasie Pewuki (targów poznańskich – przyp. aut.) jako student, był szoferem. Zjeździł trochę Europę. Umie doskonale naśladować szczekanie psa i kwokanie kury. Umie też w każdej chwili wywołać u siebie czkawkę, kichanie... i wymioty.

Pod koniec czerwca 1940 roku ppor. Zbigniew Rowiński wraz z przebywającymi w obozie w Braunschweigu polskimi jeńcami zostaje przeniesiony do obozu w Woldenbergu, obecnie polskiego Dobiegniewa, leżącego w połowie drogi pomiędzy Poznaniem a Szczecinem.

W oficerskim obozie jenieckim: Kriegsgefangenenoffizierslager II C Woldenberg znalazło się blisko 6000 jeńców – oficerów polskich. Byli to nie tylko oficerowie zawodowi, ale też jeńcy różnych profesji. Między nimi znaleźli się również zawodowi aktorzy jak Kazimierz Rudzki, Janusz Ziejewski, Jan Koecher, pianiści Jan i Adam Landy, architektki Jan Bogusławski, poeta, satyryk i scenarzysta Andrzej Nowicki, czy poeta i zarazem aktor Henryk Roztworowski. Nie należy się dziwić, że już pod koniec grudnia 1940 roku grupa budowlana złożona z kilkudziesięciu „kolegów” w nieczynnej obozowej jadalni wybudowała scenę obozowego teatru o wymiarach 4x4m z kurtyną z worków, a potem z niebieskich koców. Premierą była „Noworoczna rewia” z muzyką ppor. Stanisława Gajdeczki i dekoracją ppor. Tadeusza Ptaszyńskiego.



W roli Rizzia w sztuce „Maria Stuart” Juliusza Słowackiego, z archiwum Jędrzeja Rowińskiego

Nie tylko zawodowcy związani ze sztuką tworzyli obozowy teatr. Liczna grupa jeńców z różnych środowisk i rozmaitych zawodów pracowała w zespole teatralnym z pełnym oddaniem i pasją. Do takich aktorów amatorów należał Zbigniew Rowiński. Musiał mieć talent jeżeli z powodzeniem występował w kilku przedstawieniach; w roli hr. Almavivy w czteroaktowej komedii *Cyrulik Sewilski*. Uniformę kawalerską, w którym występował, projektował Jerzy Czarkowski specjalista od historii mundurów wojskowych. Sztuka ta cieszyła się w obozie największym powodzeniem i wystawiana była 36 razy.

W *Marii Stuart* Juliusza Słowackiego grał Rizzia. Występował jeszcze w sztuce Roberta Cedrica Sherriffa *Kres wędrowniki* w reżyserii Janusza Ziejewskiego. Niestety w spektaklach tych role kobiece musieli grać mężczyźni i tak na przykład Marię Stuart grał bardzo przystojny aktor amator ppor. mar. Jan Pęski, dlatego w oflagu popularny był humorystyczny wierszyk ppor. Andrzeja Nowickiego:

Dziwny to teatr, teatr to jedyny,
Ot drugi taki nie wiem gdzie,
Chłopcy w tym teatrze grają za dziewczyny,
Ale na odwrót – niestety nie.

Jan Koecher w książce *Oflag IIC Woldenberg* w rozdziale „Teatr Obozowy” napisze:

Teatr w Woldenbergu był, można powiedzieć, „omnibusem”. Z jednej strony lekkim uśmiechem, humorem, satyrą i piosenką. Chronił „zamkniętych za drutami” przed marazmem i pesymizmem, z drugiej zaś – sztuką poetycką i dramatyczną kształtował umysły i uczucia, poziomem urabiał wrażliwość estetyczną, a cała działalność podnosiła na duchu odizolowaną od normalnego życia społeczność.

Rowiński w Katyniu

Po ujawnieniu przez Niemców w kwietniu 1943 roku odnalezienia masowych grobów zbrodni Katyńskiej ppor. Zbigniew Rowiński z uwagi na bardzo dobrą znajomość języka niemieckiego oraz zawód prokuratora zostaje wyznaczony jako świadek w pracach przy ekshumacji zwłok oficerów polskich. W listopadzie 1945 roku złożył raport ze swojego pobytu w Katyniu przed dowództwem Armii Andersa. Listopadowy raport Rowińskiego został zamieszczony w książce *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, która została wydana w maju 1948 w Londynie.

Jednak w przytoczonym raporcie nie znajdziemy jego autora; w tytule zeznań pisze, że jest to: „Relacja ppor. pil. wojsk polskich N.N. z podróży do Katynia w kwietniu 1943 r., w grupie oficerów jeńców niemieckich z obozu Oflag II C w Woldenbergu”. Warto zapoznać się z fragmentami relacji Rowińskiego aby zrozumieć odczucia jeńców – Polaków, do których docierały te wiadomości.

W kwietniu 1943 roku znajdowałem się jako jeńiec niemiecki w oficerskim obozie jenieckim Oflag II C, gdy w prasie niemieckiej, którą otrzymywaliśmy w obozie, ukazała się wiadomość o odkryciu masowego grobu oficerów polskich w Katyniu pod Smoleńskiem. Wiadomość ta wywołała ogromne poruszenie wśród 6.000 oficerów obozu, spośród których wielu miało braci lub krewnych w obozach rosyjskich. Większość nie wierzyła w możliwość popełnienia takiej zbrodni i raczej była przekonana, że to nowy chwyt propagandy niemieckiej, zmierzającej do pozyskania sobie Polaków i wykorzystania ich następnie do walki z bolszewikami, jako rzekomymi sprawcami niespotykanej w dziejach świata zbrodni...

...Jeszcze tego samego dnia, w którym w prasie ukazała się wiadomość o odkryciu grobów, władze obozowe zażądały wyznaczenia dwóch oficerów, którzy pojechać mieli do Szczecina „zidentyfikować listę nazwisk oficerów znalezionych w Katyniu”. Dzięki przypadkowi wyznaczony zostałem obok majora Nowosielskiego do wyjazdu. Jakkolwiek oficjalnie władze obozowe mówiły o wyjeździe do Szczecina, powszechnie wiadomo było drogą nieoficjalną, że chodzi o wyjazd do Katynia...

Dnia 15. IV. 1943 roku rano wyjechałem w towarzystwie mjr. Nowosielskiego do Szczecina, gdzie spotkaliśmy dalszych 6-ciu oficerów z innych obozów oficerskich okręgu Korpusu Szczecin, między innymi pułkownika Mossora. Tego jednego dnia odwieziono nas do Berlina, skąd następnego dnia samolotem przez Warszawę odstawiono do Smoleńska...

Przyjechaliśmy do Smoleńska na kilka dni po rozpoczęciu prac ekshumacyj-

nych, kiedy wydobyto zaledwie 300 zwłok, z których tylko około 160 zidentyfikowano na podstawie znalezionych przy nich dokumentów.

Swoje uwagi i spostrzeżenia z czasu kiedy uczestniczył w ekshumacji zwłok w lesie katyńskim zawarł Zbigniew Rowiński w rozdziałach: Pytanie ogólne, Pytanie zasadnicze, Zapoznanie się z relacją niemiecką, Osobiście wydobyliśmy dowolnie wybrane zwłoki, Mundury nie były rewidowane, Zwłoki nie były ruszane, Sznur krępujący ręce, Kaliber broni, Wątpliwości co do ilości zwłok, Dokumenty oraz w bardzo rzeczowym rozdziale Sprawozdanie. Katyński świadek ppor. Rowiński, mimo że z zawodu był prokuratorem – w swoich zeznaniach nie oskarża i nie szuka winnych. Z dużą precyzją i dokładnością przytacza niezbitą dowody i fakty, które w jego sprawozdaniu bezspornie wskazują sprawcę mordu na polskich oficerach. Zeznanie świadka Rowińskiego kończy się datą: Rzym, dnia 27 XI 1945 r. Nazwiska świadka – piszącemu, raport nie ujawnia.

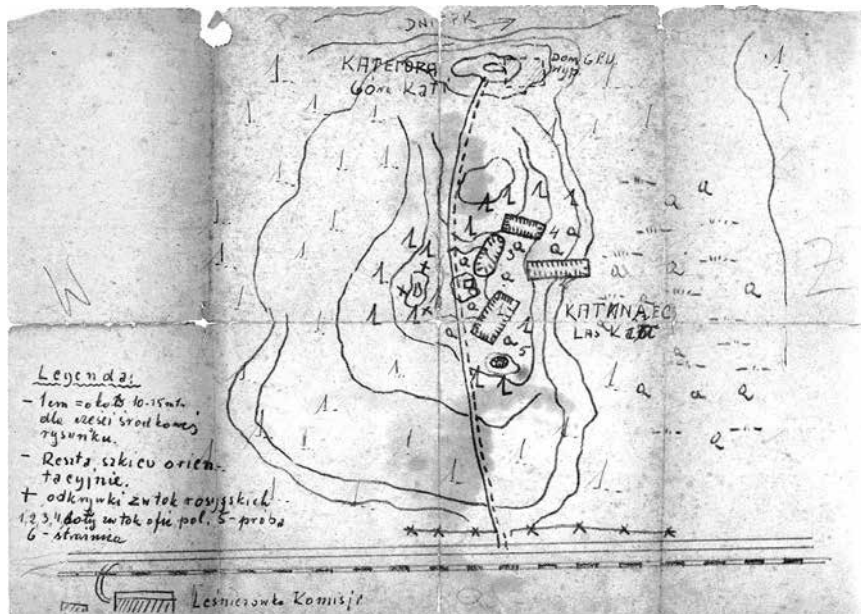
24 stycznia 1945 roku – z uwagi na zbliżający się front – niemieckie władze obozowe oświadczyły, że nastąpi ewakuacja obozu i wymarsz pieszy na zachód. Następnego dnia po apelu zaczęto do marszu ewakuacyjnego wyprowadzać z obozu około 6,5 tysięcy jeńców – oficerów polskich, podzielonych na dwa obozy i VI batalionów. Ppor. rez. Zbigniew Rowiński został przydzielony do 4 batalionu. Kolumny maszerujących jeńców zaczęli Niemcy kierować na Barlinek-Pyrzyce-Stargard Szczeciński. W ciągu jednego dnia po przebyciu 32 kilometrów jeńcy doszli do miejscowości Zabisko. Po dwóch dniach odpoczynku ruszyli w dalszą drogę. 28 stycznia IV batalion wyruszył z Seegenfelde w stronę Szczecina, 31 stycznia maszerujące grupy jeńców znalazły się poza

zasięgiem działania czołówki pancerniej wojsk sowieckich. 9 lutego po minięciu Prenzlau w dwa dni później IV batalion przybył do Gantnitz. 16 lutego spod Feldebergu jeńcy ruszyli w dalszą drogę na zachód.

8 marca IV batalion liczący 800 oficerów przybył w okolice Boizenburga, leżącego nad Łabą. W tak opisany sposób licząc od Woldenbergu kolumny oficerów w ciągu czterdziestu dni przebyły pieszo ponad 500 km. Tutaj wydzieloną z batalionu 400-osobową grupę wraz z ppor. Zbigniewem Rowińskim załadowano do wagonów towarowych i wieziono 12 dni przez całe Niemcy do Murnau. 22 marca zakończyła się wędrówka jeńców, którzy umieszczeni zostali w Oflagu VII A, w którym od 1940 roku przebywało 4 tys. polskich oficerów. 29 kwietnia 1945 roku obóz został oswobodzony przez jeden z oddziałów amerykańskich 12 Dywizji Pancerniej. Po opuszczeniu obozu ppor. Zbigniew Rowiński wyjechał do Włoch, gdzie wstępuje do II Korpusu Polskiego jako instruktor prawa karnego. W Rzymie w listopadzie 1945 roku składa raport z pobytu w Katyniu w 1943 roku przed komisją przy Armii Polskiej gen. Władysława Andersa.

Po uznaniu przez mocarstwa zachodnie w lipcu 1945 Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w Polsce rząd brytyjski postanowił w ciągu roku rozwiązać Polskie Siły Zbrojne. W marcu 1946 Brytyjczycy powołali komisję ds. P.S.Z. oraz przenieśli wszystkie jednostki polskie do Wielkiej Brytanii. Tutaj został utworzony Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia zdemobilizowanych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych do życia cywilnego i rozmieszczenia ich na terytorium Wielkiej Brytanii lub poza jej granicami.

Zbigniew Rowiński wie, że nie może wracać do kraju z uwagi na to, że uczest-



Szkic usytuowania grobów w lesie katyńskim, wykonany przez ppor. Z. Rowińskiego w roku 1943, z archiwum Jędrzeja Rowińskiego

niczył w ekshumacji zwłok oficerów polskich w Katyniu, grozi mu śledztwo, represje i więzienie. Po dwuletnim pobycie w Polskim Korpusie Przystosowania i Rozmieszczenia kończy kurs fotografii kolorowej i w Cardiff otwiera własny zakład fotograficzny. Po przeprowadzeniu się do Londynu prowadzi sklep z maszynami do pisania oraz urządzeniami do tłoczenia płyt gramofonowych.

W 1946 roku podczas trwania procesu norymberskiego prokurator sowiecki Roman Rudenko wniósł akt oskarżenia przeciwko Niemcom o popełnienie mordu na 11 tysiącach polskich oficerów w Katyniu. Sowieci mieli nadzieję, że uda im się obciążyc zbrodnią Niemców. W lipcu 1946 roku sędziowie zapoznali się z dowodami i przesłuchali świadków. W gronie tym nie znalazł się żaden Polak. Trybunał nie odwołał się do dowodów rzeczowych oraz śledztwa przeprowadzonego przez Polaków przebywających na emigracji.

Norymberga

30 września i 1 października 1946 roku Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał Niemców za niewinnych zbrodni, jednak nie wskazał winnych. Blisko pięć lat po procesie norymberskim w okresie trwania „Zimnej Wojny” w 1951 roku Izba Reprezentantów Kongresu USA powołała komisję do zbadania zbrodni katyńskiej, której raport po zakończeniu śledztwa wskazał jednoznacznie winę Sowietów. Jeszcze podczas trwania prac komisji w kwietniu 1952 roku Zbigniew Rowiński zeznaje przed Komisją Maddena jako świadek ekshumacji zwłok oficerów polskich w 1943 roku. Podczas przesłucha-



Z bratem Lechem Rowińskim w Arco we Włoszech 1945, z archiwum Jędrzeja Rowińskiego

nia świadek Rowiński przekazuje komisji jako dowód rzeczowy: sznur będący w jego posiadaniu, którym były skrepowane ręce jednego z pomordowanych oficerów polskich, oraz swoje notatki sporządzone zaraz po wizycie w Smoleńsku wraz z odręcznym szkicem – mapą usytuowania grobów w lesie katyńskim. Warto przytoczyć ten fragment zeznania ppor. Zbigniewa Rowińskiego przed komisją, w którym opisuje historię pozyskania sznura:

– **Daniel J. Flood** (prowadzący przesłuchanie) – *Co się wydarzyło, kiedy przybyliście do tych grobów, najlepiej jak pan pamięta?*

– **Zbigniew Rowiński** – *Kiedy przybyliśmy do tych grobów, przedstawiono nas profesorowi Buhtzowi. Kierował on tymi wykopaliskami i kiedy nas mu przedstawiono, pomyślałem, że spróbuję jakoś nawiązać z nim nic porozumienia, ponieważ, jak już panom mówiłem, wyruszyliśmy z obozu z ogólnym przeświadczeniem, że to jest niemiecka sztuczka. A jako prawnik, jako prokurator, chciałem osobiście ustalić fakty, wyrobić sobie własną, osobistą opinię na temat tej sprawy. Dlatego też podszedłem go w taki oto sposób. Zapytałem, czy to on jest autorem pewnej książki, o której wiedziałem, że ją napisał.*

– DJF – *Na jaki temat?*

– ZR – *O wypadkach drogowych, z której korzystałem, kiedy pełniłem funkcję prokuratora w Polsce.*

– DJF – *Czy profesor Buhtz był wówczas autorytetem w dziedzinie medycyny sądowej?*

– ZR – *Tak, we Wrocławiu, o ile pamiętam, przed wojną. Był raczej zaskoczony, kiedy usłyszał, że znam jego pracę, i zapytał mnie, jak to możliwe, że ją znam. Miałem więc możliwość wyjaśnienia mu, że też jestem prawnikiem, że jestem prokuratorem w Polsce. I potem był dla mnie bardzo pomocny i traktował mnie jak kolegę prawnika, jak młodszego kolegę. W każdym razie bardzo mi pomagał.*

– DJF – *Panowała wówczas atmosfera i postawa pełnej współpracy po stronie niemieckich oficerów?*

– ZR – *Tak.*

– DJF – *Proszę nam opowiedzieć, co się wydarzyło później. Co zobaczyliście, co robiliście i tak dalej.*

– ZR – *Oprowadzono nas wokół tych grobów. Było tam wtedy około pięciu miejsc, w których rozkopywano ten duży grób. Mam tutaj szkic. W jednym z grobów widzieliśmy zwłoki z rękoma związanymi sznurem. Mam tutaj kawałek tego sznura.*

– DJF – *Czy powiedział pan, że ma pan przy sobie kawałek tego sznura?*

– ZR – *Tak.*

– DJF – *Mówi pan, że fragment sznura, który ma pan ze sobą, to kawałek sznura, który osobiście zabrał pan z jednego*

z grobów w Katyniu w dniu, kiedy odwiedzał pan to miejsce?

– ZR – *Nie osobiście. Profesor Buhtz w mojej obecności zdjął go z rąk i przekazał mi.*

– DJF – *Mówi pan, że profesor Buhtz, który kierował niemieckim dochodzeniem, zdjął ten konkretnie fragment sznura, który ma pan teraz tutaj, z rąk zwłok polskiego oficera?*

– ZR – *Zgadza się.*

– DJF – *W jednym z grobów w Katyniu?*

– ZR – *Tak.*

– **Daniel J. Flood:** *Czy mogę go obejrzeć? (Pan Rowiński wręczył fragment wspomnianego sznura panu Floodowi).*



W samochodzie żandarmerii 2 Korpusu Polskiego Rzym 1945, z archiwum Jędrzeja Rowińskiego

W późnych latach swojego życia Zbigniew Rowiński ożenił się z dziennikarką Marią Plucińską znaną mu jeszcze przed wojną. Po trzymania obywatelstwa brytyjskiego odwiedził Polskę. Podczas pobytu dostaje zawału serca, wraca do Anglii gdzie ciężko choruje, umiera 17 maja 1985 roku. Zwłoki jego przewiezione zostały do Polski i spoczęły w rodzinnym grobie w Ostrowie Wielkopolskim.

A co z blazką, która miała tak dużo do powiedzenia? Jej szczęśliwy znalazca pragnie przekazać ją do Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą. ■

Autor artykułu pragnie podziękować rodzinie śp. ppor. pilota Zbigniewa Rowińskiego, przede wszystkim bratankowi panu Jędrzejowi Rowińskiemu za udostępnienie materiałów i zdjęć do niniejszego artykułu. Panu st. chor. szt. Czesławowi Kazeckiemu – pasjonatowi lotnictwa i jego historii za udostępnienie wyczerpujących wiadomości dotyczących III/3 Dywizjonu Myśliwców walczącego przy Armii Poznań, Panu Jackowi Kaczorowskiemu za merytoryczne przygotowanie artykułu oraz Panu Ireneuszowi Kozłowskiemu za wyszukiwanie i przekazywanie materiałów.

W świecie migotliwych znaczeń

WOJCIECH LIPOWSKI

Gdy zjawili się wszyscy, jakby nie z tego świata, od razu było oczywiste, że wydarzy się coś wychodzącego poza porządek rzeczy. Na początku dziwność, później ciąg fantasmagorycznych obrazów, za nimi cienie, widziadła pełne niepokoju, drgające w blasku światła. I każdy wiedział, że to widowisko nie będzie jak inne, usadowione w granicach wyznaczonych przez opowiadane historie, tutaj zostaną zawieszona prawa obowiązujące w rzeczywistym świecie. Otrzymamy wziętą w cudzysłów wizję upodobioną do fantasmagorii. Całość złożoną z pozornie niepasujących do siebie części, trudną do rozróżnienia, która dla większości stanie się złudzeniem, iluzją, pomieszaniem jawy i snu, inspirowaną podróżą, może zabawą wypełnioną absurdem, a na pewno współistniejącą całością.

Skąd w bielskim teatrze, na zakończenie sezonu, taki pomysł? Pomysł na *Faraona*, jakiego nikt wcześniej na scenie nie widział. Teatr Polski nie raz już zaskakiwał widzów. Spektakl Cezarego Tomaszewskiego, niepokojący, drażniący, pobudzający wyobraźnię, to przestrzeń ciąglej metamorfozy, sprawiający wrażenie nieustannej tymczasowości, iluzoryczny niczym chwila, nietrwała i zmienna. Skąd to wszystko? Z próby zespolenia dzieł odległych od siebie o mile, a może nieoczekiwanie, niespodziewanie bliższych? Pomieszać wątki wielkiej powieści Bolesława Prusa, inna sprawa

czy jeszcze czytanej, z fragmentami opery *Aida* Giuseppe Verdiego, trzeba przyznać zadanie niezwykle odważne. Grzegorz Niziołek, autor adaptacji i dramaturgii tak właśnie wymyślił sobie *Faraona*. Po co w historii młodego Ramzesa topić wątki z dzieła wielkiego Verdiego? Najprościej byłoby powiedzieć, żeby ożywić, rozszerzyć obszar znaczeń obu utworów, parafrazując Kierkegarda, doświadczyć pełniej, zrozumieć, przeżyć ciężar i powagę rzeczywistości.

Na scenie cały zapomniany świat: chór, wojska przekraczające granice Egiptu, faraon, niewolnicy, kapłani, płomienne uczucia, zdrada, odniesienia do współczesności, konflikty etniczne, wyznaniowe, tygiel naszej wspólnej wrzającej egzystencji w pięknej scenografii i kostiumach Agnieszki Klepackiej i Macieja Chorążego. I zniknie opowieść o mechanizmach władzy, samotnej walce Ramzesa z kapłanami, będzie bardzo aktualnie, a młody władca spróbuje przeciwstawić się temu, co nieuchronne, by okiełznać sytuację, zdemaskować spiskowców czyhających na jego życie. Nośny znaczeniowo stał się wątek miłości faraona do żydówki Sary i kapłanki Kamy, ale mocniej wybrzmiały konflikty społeczne, podsycane napięciem narodowościowe, nagonka antysemitka, czy w końcu żądania usunięcia obcych, czystości rasowej.

Tak się złożyło autorom adaptacji, że trafili na moment, gdy ich spek-

tał nie sposób odczytać inaczej niż poprzez lustro, w którym odbija się splekana codzienność, poobijana przez nacjonalizm, zniewolenie, powracający w różnych miejscach autorytaryzm, ideologiczne skrajności. A jeszcze za naszymi plecami, tak niedaleko wojna. Nie da się czytać *Faraona* Tomaszewskiego i Niziołka inaczej. Niezwykle ważnym elementem widowiska uczyniono wspomniany chór. Trzyście mgnień, trzyście masek, trzyście instrumentów o różnej tonacji, dobrze zestrojonych. To w zasadzie główny bohater spektaklu, towarzyszący postaciom, wcielający się w różne role: egipski lud, komentatora wydarzeń, figurę populizmu, niespokojny pełen żądań tłum, raz liryczny, innym razem złowieszczy, rozpięty na partyturze arii zaczerpniętych z opery Verdiego, snujący równocześnie opowieść o miłosnym i politycznym dramacie następcy egipskiego tronu, jego dylematy religijnych oraz kulturowych.

Aktorzy tworzący tę pełną znaczeń całość, mistrzowsko prowadzą narrację poszczególnych scen. Wcisną ją w fotele, gdy w ekspresyjnej, żywiołowej, czasem lirycznej artykulacji, próbują wydobyc na powierzchnię czas popadający powoli w nicość, smutne zapomnienie. Od wezwania egipskich bohaterów *Su! Del Nilo* poprzez marsz drogą do chwały *Chi Mai*, ku radosnym hymnom dedykowanym Izydzie *Gloria all'Egitto* płynie opowieść, uważna, pełna przestróg i repetycji zaduma na losom współczesnego świata targanego niepokojem. Przeżyte zdarzenie – zdaje się dowodzić chór – nie zna granic, towarzyszy mu zawsze nadzieja związana z przyszłością, stanowi możliwy wariant jej odczytania, niesie nadzieję odnowy, nadania sensu temu, co przyjdzie po nas.

Znane doskonale widzom arie z *Aidy* zaadaptowane przez Karola Nepelskiego, także autora muzyki do spektaklu, wykonują z powodzeniem także inni artyści. Powstaje pytanie o proporcje, chociaż nie jest możliwe ich zachowanie w tak żywiołowej, czasem nieprzewidywalnej, jak zaznaczono w podtytułach, fantasmagorycznej całości. Pamiętajmy, że to założenie dopuszcza pewien chaos, transgresje, niedopowiedzenia, burzy ramy, wręcz do-

fot. Joanna Gatuszka



maga się od widza podjęcia gry pomiędzy jawą i snem, rzeczywistością i fantastyką. Na styku tych przestrzeni mogą rodzić się ciekawe poznawczo znaczenia.

Faraon w Teatrze Polskim to także inscenizacyjna gra i zabawa, co ucieszy być może tych, którzy obawiają się patosu, powagi, znużenia ciężarem gatunkowym poruszanych spraw. Nic bardziej mylnego. Autorzy widowiska zadbali o jego atrakcyjność proponując w swojej wizji różne konwencje tak, aby z rzeczy znanych składać ciągle na nowo inny kształt. Zatem jak wiemy spotkała się tutaj opera z dramatem, proza powieściowa z muzycznym librettem, wzniosłość ze śmiesznością, humorem, język polski z włoskim. Dotyczy to również obszaru narracji. W płynącym przed naszymi oczami, mieniącym się barwami korowodzie zdarzeń mieszczą się wszelkie możliwe w obu dziełach intrygi, zdarzenia, paleta uczuć, od miłości do zdrady, namiętność, czułość, troska, ale też pożądanie, zbrodnia, modlitwa, rozpacz, wszystko w konwencji wizualnej czerpanej dowolnie, pełnymi garściami z epoki.

Fantasmagoryczna jest także scenografia spektaklu. Starożytny Egipt kipi złotem, rzecz jasna, czasem jest go wręcz za dużo. Są także inne atrybuty tamtego, minionego świata: mocne, wędrujące po niebie słońce czasem oślepiające wszystkich, dostojne mury świątyni, gdzieś w perspektywie pustynia, nie brakuje znaków bóstw, nieco kiczowatych palm – wszystko wzięte w nawias konwencji, niezbędne w przyjętym sposobie narracji. Podobnie jak zjawiskowe kostiumy noszone przez wykonawców. Widz w tym wszystkim może przyjąć rolę kolekcjonera osobliwości, jakie oferują mu twórcy. Oczywiście, nie będzie on w stanie wprowadzić w tym wszystkim porządku, usystematyzo-



fol. Joanna Gatuszka

wać tej wymykającej się podobnym zabiegom przestrzeni, ale będzie mógł, poruszając się po niej, dokonać próby zrównania znaczeń i rzeczy, nadać osobom i rzeczom nowej kompozycyjnej wartości. Dużo to i mało, ale zestawiając takie byty jak powieść Prusa i operę Verdiego należy się liczyć z konsekwencjami zaproponowanego widzowi szoku interpretacyjnego. W końcu wyobraźnia odbiorcy jest także sceną, miejscem, gdzie może ulec odwróceniu logika przedstawienia fantazmatycznego.

Tego wszystkiego nie byłoby bez znakomitych aktorów bielskiej sceny. Ramzes grany bardzo dojrzałe przez Mateusza Wojtasińskiego to przysły władca, który rozumie znaczenie własnych decyzji oraz błędów, ulegający żądrom, miotający się między brakiem doświadczenia i zgubnym uczuciem. Sara w kostiumie rozpacz, tragizmu, niezwykle uczuciowo, podkreślmy przejmująco, została pokazana przez perfekcyjną do bólu Martę Gzowską-Sawicką. Jej protagonistka, kapłanka Kama to byt osobny, wygrany na

szerokiej palecie namiętności, chęci posiadania przez zaskakującą możliwościami interpretacyjnymi w każdej z ról Oriane Soikę. W końcu Lykon Karola Pruciaka, to postać nie tyle tajemnicza, co demoniczna, przyciągająca uwagę, skryta we własnej niebezpiecznej nieprzewidywalności. Michał Czaderna w roli Tutmozisa, to próba zagrania cienia, sprawienia, że plan drugi jest ważniejszy od pierwszego, nie wszystkie możliwości pokazał nam w tym spektaklu, ale pokazał wiele. No i *last but not least* chór, bohater zbiorowy, niezwykle współbrzmienie, gry, gestów, spojrzeń, ale też choreografii. To oni, długo nie pozwolili o sobie zapomnieć, gdy na początku zjawili się wszyscy: Izabela Czyżycka, Piotr Gajos, Anita Janciana-Prokopowicz, Jagoda Krzywicka, Tomasz Lorek, Flaunnette Macha, Grzegorz Margas, Sławomir Miska, Adam Myrczek, Rafał Sawicki, Grzegorz Sikora, Marta Suprun, Wiktoria Węgrzyn-Lichosyt.

Kiedy opowieść dobiegła końca, wybrzmiały jej ostatnie akordy. Co zabrałyśmy ze sobą jako pamiątkę tego wieloznaczeniowego spektaklu, jakie skojarzenia wywołał w pamięci? Czy nieoczywiste zestawienie dwóch dzieł, jakie dokonało się na scenie w sposób istotny wzbogaciło przeżycia? Być może w nowym porządku znaczeń, jaki wyłonił się z widowiska jest miejsce na przekonanie, że przeszłe historie są równie rzeczywiste jak współczesność. ■

Faraon
Adaptacja i dramaturgia Grzegorz Niziołek
Reżyseria Cezary Tomaszewski
Premiera 4 czerwca 2022
Teatr Polski
Bielsko-Biała



fol. Joanna Gatuszka

Moje przemyślenia o Myśli Myśliwskiego

JERZY PASZEK

Książka ta ukazała się w Katowicach w roku 2018, czyli w rok po obchodach 85. rocznicy urodzin Wiesława Myśliwskiego, jako plon ogólnopolskiej konferencji naukowej, w której również uczestniczył autor 6 powieści i 4 dramatów (*Myśl Myśliwskiego. Studia i eseje*. Pod redakcją Józefa Olejniczaka, przy współudziale Marzeny Bonieckiej i Piotra Zająca. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego. Katowice 2018, s. 340). Piśzę „autor 6 powieści”, bo referencji sesji nie znali jeszcze najnowszej książki Myśliwskiego, czyli *Ucha Igielnego* (Wydawnictwo ZNAK. Kraków 2018, s. 424 + 8 nlb.). Ba, w tekście zbioru esejów, w najdłuższym z nich (s. 9–49), zatytułowanym „Księga Myśliwskiego” (*w oczekiwaniu na siódmy rozdział...*), Olejniczak po śródtytule „Rozdział siódmy” daje wielokropki w nawiasie kwadratowym (s. 46), sygnalizując czytelnikom, iż autor zapewne napisał już swoje nowe dzieło, ale chce zaskoczyć jego sentymentalnym tytułem (Ucho Igielne zostało ukazane – w czwartej powieści, czyli *Widnokręgu* – w wędrowskich ojca Piotra do lekarza po stromych schodach do owej Bramy) i pożegnalnym spojrzeniem na sandomierskie i dwikoskie krajobrazy z czasów jego dzieciństwa. Jak wiemy, na 90. urodziny pisarza wydano okazałą antologię przemówień i wywiadów: Wiesław Myśliwski: *W środku jesteście baśnią*. Mowy

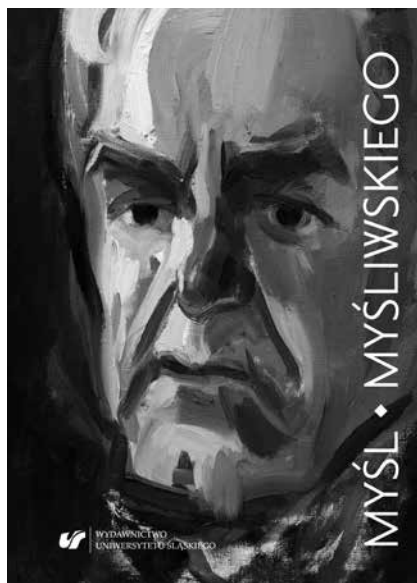
i rozmowy. Wydawnictwo ZNAK. Kraków 2022, s. 540 + 4 nlb. Ale czy można twórcy zabraniać dalszego pisania? Wszak Józef Hen publikuje stale swoje diariusze, mając 98 lat!

Współpracownikami Olejniczaka byli poloniści z całej Polski: z Gdańska (Jan Ciechowicz), Lublina (Anna Podstawka), Katowic (Ewa Wąchocka, Paweł Otręba, Antoni Leśniak, Piotr Zajac, Krystian Węgrzynek, Marzena Boniecka), Słupska (Jolanta Betkowska), Gorzowa Wielkopolskiego (Wojciech Kuska), Opola (Karol Maluszczyk), Krakowa (Karolina Wawer), Poznania (Bogumiła Kaniewska), Rzeszowa (Wiesław Setlak), Łodzi (Tomasz Bocheński), Częstochowy (Artur Żywołek), Warszawy (Bartłomiej Krupa). Brak więc jedynie reprezentantów Wrocławia, Szczecina, Zielonej Góry, Kielc, Torunia, Olsztyna czy Białegostoku... A wymieniam te wszystkie nazwiska, bo większość z nich nie pojawia się w „Indeksie nazwisk”. Sądzę też, iż duża część referentów to młodzi uczeni, tuż po napisaniu doktoratu (jeszcze nieobeznani z zasadami i zwyczajami bibliograficznymi, pomijający nie tylko wydawnictwa, ale i edytorów cytowanych książek, nawet tych opracowujących tomy „Biblioteki Narodowej”). Dodam, że jednym z autorów jest też Myśliwski (przedruk jego *Kresu kultury chłopskiej*) oraz Stanisław Baj jako twórca portretu Myśliwskiego, wyzyskanego na okładce (nieco innego niż ten z obwoluty tomu *Mów i rozmów*), a także szkicu do wizerunku bohatera libelli (s. 325).

Olejniczak w tekście otwierającym ten monograficzny zbiór śledzi persewerujące w całej twórczości pisarza motywy, takie jak: Historia, Los, Pamięć; kontakty ojca z synem i syna z ojcem, rola kobiety w patriarchalnym świecie. Sześć omawianych powieści – *Nagi sad*, *Pałac*, *Kamień na kamieniu*, *Widnokrąg*, *Traktat o łuskaniu fasoli*, *Ostatnie rozdanie* – to zdaniem gombrowiczologa (wspominam o tym, bo redaktor tomu lubi snuć dociekania nad powiązaniem autora *Kosmosu* z twórcą pomysłów filozoficznych i eschatologicznych, zawartych i w *Widnokręgu*, i w *Kamieniu na kamieniu*) 6 części *Księgi Myśliwskiego*.

Muszę zgodzić się z zaprezentowaną tutaj tezą o dominacji wymienionych słów kluczy w całym dorobku Myśliwskiego, a w tym i w *Uchu Igielnym*, czyli w 7. rozdziale *Księgi*. Także i sztuka monologu, wielkiego monologu i pomniejszych, nakładających się na siebie solilokwiów, jest dla mnie fundamentalnym chwytem artystycznym tego pisarza: „Myśliwski konsekwentnie opowiada w pierwszej osobie, zawsze jest to monolog, zawsze wewnętrznie zróżnicowany, zawsze ma charakter wielogłosowy, bo chętnie pierwszoosobowy narrator ‘oddaje głos’ przywoływanym przez siebie w pamięci czy we śnie postaciom” (s. 47). Zgadzam się też z Olejniczakiem, gdy podkreśla autobiograficzność jego dzieł, a przede wszystkim *Widnokręgu*. Po lekturze tomu *W środku jesteście baśnią* jasne się stało, iż historia matki niosącej przez dziewięć mostów swego, chorego na koklusz, synka jest oparta na rzeczywistej biografii pisarza (zob. s. 14 omawianej książki i s. 210 *Mów i rozmów*, czyli wywiad Barbary Kazimierczyk z autorem).

Mogę nadmienić, że Olejniczak wymienia (na s. 46) wszystkie wydane przed rokiem 2018 monografie i syntezy – choćby tylko z wąską perspektywą badawczą – jakie w Polsce i poza jej granicą (Austria) zostały opublikowane. Są to prace takich autorów, jak: Ewa Pindór (1989), Czesław Dziekanowski (1990, 1993, 1994, 1995), Bogumiła Kaniewska (1995, 2013), Agnieszka Czyżak (1997), Jerzy Ablewicz (1998), Anna Myjak-Pycia (2000), Jan Paclawski (red. tomów z lat 2001, 2007, 2012, tu wraz z Andrzejem Dąbrowskim; własny tom Paclawskiego: 2011), Renarda Lebda (2003), Zdzisława Anna Toman (Wiedeń 2003), Michał Siedlecki (2015). Jak widać, dorobek Myśliwskiego bywa bacznie obserwowany z wielu punktów widzenia. M.in. z lingwistycznego, bo praca Lebdy nosi tytuł *Dotykanie rzeczywistości, czyli Językowy obraz świata w powieści Wiesława Myśliwskiego „Widnokrąg”*. Również w omawianym tomie zbiorowym pojawia się podobny esej, gdyż mowa w nim o *Motywach dendrologicznych w powieściach Wiesława Myśliwskiego* – [w] ujęciu językoznawczym Wojciecha Kuski.



Historia ze wstępnego studium Olejniczaka szczegółowo została przedstawiona w referacie Bartłomieja Krupy pt. *II wojna światowa w prozie Wiesława Myśliwskiego* (s. 51–86). Nb., autor pisze „do Dwikoz i Chmielnika” (s. 75), a przecież powinno być: Dwikozów! Przytacza też osąd Przemysława Czaplińskiego, dotyczący *Traktatu o łuskaniu fasoli*, iż „W spotkaniu z historią monolog [...] ponosi klęskę. [...] *Traktat...* [...] mnie wydał się [...] powieścią kryzysu zwykłego gadania. Takiego, jakiego każdy z nas prowadzi z samym sobą i z drugim człowiekiem” (s. 83). Ja tak nie uważam, bo monolog w tekstach Myśliwskiego ma fundamentalne znaczenie, a dopiero nieokreślone nawroty tych samych, identycznych słów i zdań czy nawet akapitów stanowią – dla mnie – podstawę do narzekania na manieryczność tej prozy, widoczną wyraziście przede wszystkim w narracji o siostrach Ponckich.

Nie przekonał mnie Artur Żywiołek o wadze odróżniania „percepcji” od „perceptu” w wywodach pod nagłówkiem *Percepty Myśliwskiego. Estetyka „Widnokregu”* (s. 87–101). Tak samo wątpię w potrzebę „afektywnego odniesienia do perceptów erotanatywnych” (s. 96), w „resurekcyjne możliwości mowy” (s. 97; nb. wedle ortografów ma być: „rezurekcyjne”), w „poliwizualność” (s. 98), w „aistetyczność widzenia i słyszenia” (s. 99). Bo na pewno błędem jest tu „ogień z brewion” (s. 95; ma być „bierwion”) i w zdaniu: „Człowiek ma oczy płytkie, u każdego widać, co na dni, sknera czy fałszywiec” (s. 99; ma być: „co na dzień”). A jaki to „estetyk” cytuje *Ode do młodości* Mickiewicza z Inertytu (s. 99)?

Mam też kłopot z referatem Wiesława Setlaka pod długiśm tytułem: *Podmiot nomadyczny w prozie Wiesława Myśliwskiego. Próba oznaczenia miejsca antropologicznego. Wprowadzenie* (s. 119–133). Uważam, że problemy przestrzeni (różnic miasta i wsi, kraju i zagranicy) można opisywać bez używania terminologii antropologicznej. A już zupełnie nie pojmuję „Chiazmatycznego rozumienia relacji między przestrzenią a językiem, literaturą i kulturą” (s. 121, cytat z *Geopoetyki* Elżbiety Rybickiej), choć używam terminu retorycznego chiazmu, gdy widzę strukturę składniową typu „pada deszcz, wiatr wieje”. Dlaczego kultura chłopka jest „przeźrzenią znacznie mocniej zatimizowaną, bardziej dyfuzyjną, zdeterytorializowaną, odrębną” (s. 122)? A co to ma być „Nomadyzm intelektualny Myśliwskiego” (s. 130)? Ja bym przypuszczał, że pisarz jest raczej zwolennikiem tezy o tym, iż chłop sam stwarza sobie język i kulturę w każdych warunkach, że jest stałe poetą, choć mało kto to docenia... Nie jest więc nomadą, czyli koczowniciem! Tym bardziej jego piewca też nie bywa kosmopolitą!

Panie Bogumiła Kaniewska i Marzena Boniecka, a również Karolina Wawer

zajmują się kobietami w powieściach Myśliwskiego. Czynną to z punktu widzenia dam, czyli potępiają w zasadzie męskie spojrzenie na dziewczęta i flirtiarke. Nie dostrzegają hiperbolicznych metafor w opisach silnych, przebojowych bohaterów w dekoracjach wiejskich, małopolskich, prowincjonalnych. Myślę nawet, że pisarz jest profeministyczny, tylko w nieco innym znaczeniu tego epitetu: że uznaje rolę i niezależność niewiast w patriarchalnym społeczeństwie (zob. s. 161: „Mógłbym tu wygłosić cały referat profeministyczny, ponieważ, jak powiedziałem, jestem z przekonania ukształtowany przez kobiety” – słowa Myśliwskiego z roku 2012). By użyć syntaktycznego chiazmu Kaniewskiej: „Postaci kobiece postrzegane jako **piękna tajemnica** – albo też **tajemnica piękna** [...] – podlegają szczególnej estetyzacji. Ich portrety malowane są niczym tajemnicze obrazy, dzieła mistycznej sztuki” (s. 145). Wawer rozsądnie zauważa, że „Portret sióstr Ponckich [z *Widnokregu*] stanowi jedną z najbardziej wielowymiarowych i pogłębionych reprezentacji figury prostytutki w literaturze polskiej” (s. 169). Nietrafnie natomiast pisze, że słowo „enkawude” związane jest z niemieckim oficerem (s. 171), gdy istotnie chodzi o Rosjanina, kapitana Michała Siemienowicza Jefremowa (zob. s. 74). Uczona ta niespodziewanie wiąże dziewczynkę żydowską, Sulkę, z „wyobrażeniami delfickiej Pytii” (s. 175). Szulcówna bowiem przeczuwała, co czeka wszystkich sandomierskich Żydów!

Piotr Zajac wygłosił na sesji referat pt. *Pisanie o zwierzętach u Wiesława Myśliwskiego – esej polemiczny* (s. 199–211). Tekst ten należy do klasy „animal studies”, cytujących Jacques’a Derridy pracę z 2006 roku *L’animal que donc je suis*: zwierzęta „nie są tylko przedmiotem patrzenia, ale również podmiotem. Znaczy to, że ich status bycia przed nami i za nami daje im przede wszystkim możliwość obserwowania nas, ludzi” (s. 210). Nieoczekiwaną ciekawostką tekstu Zajaca jest zastanawiająca tu ilość nazwisk etymologicznie powiązanych ze zwierzętami: Józef Baran (s. 203), Bogdan Baran (s. 204), Cary Wolf (s. 207); wiele mówią także



Wiesław Myśliwski

tytuły artykułów naukowych: *Dlaczego gęsi krzyczały?* oraz *Schizofretki i kotpulsywni psychopaci* (s. 209)! Czy to nie był dodatkowy atut tekstu pers-wazyjnego?

Ozdobę tomu niewątpliwie stanowią 3 referaty teatrologiczne, czyli Ewy Wąchockiej *Kwartet dramatyczny Wiesława Myśliwskiego*, Anny Podstawki *Bogdana Toszy teatralna adaptacja „Widnokregu”* (z 6 kolorowymi fotografiami z lubelskiego spektaklu), Jana Ciechowicza *Adaptacje prozy powieściowej Wiesława Myśliwskiego w teatrze polskim (krótko i węzłowo)*. Dramaty pisarza nawiązują do jego powieści (zawierają te same słowa kluczowe, o których mówi Olejniczak), natomiast proza Myśliwskiego, dzięki strukturze dobrze skonstruowanych rozdziałów i powrotów dominujących tematów udanie może być zaadaptowana na scenę teatralną (lub być podstawą ciekawego scenariusza filmowego).

Mam nadzieję, że omawiany tom *Myśl Myśliwskiego* zalicza się do cenniejszych przekrojów całej twórczości sandomierskiego pisarza, stając się tym samym ważnym wyznacznikiem pewnego etapu recepcji dorobku prozatorskiego i dramatycznego Myśliwskiego. A literaturoznawczy „przemysł myśliwskologiczny” zdobywa tu piękny szczyt, z którego rozciągają się ciekawe perspektywy (badawcze) dla czeladników owej manufaktury, przemysłowego oraz przemysłanego, choć tylko rzemieślniczego, przedsięwzięcia. Ale przecież czeladnicy z czasem mogą wyrosnąć na wysokiej klasy fachowców bądź nawet mistrzów!

Autorkę zainteresowała komunikacja wizerunkowa, głównie zaś „kreatywny aspekt twórczości blogerów mody” (s. 7). „Wizerunek zawsze był ważny, ale w ostatnich latach zyskuje coraz więcej uwagi i prestiżu” (s. 7). Badaczka napisała: „Bлоги i media społecznościowe traktuję jako ważne zjawisko społeczne i kulturowe zmieniające współczesną cywilizację internetową i dlatego postanowiłam poddać je badaniu” (s. 7–8). Do swoich analiz zaprzęła więc Instagram, Facebook, blog i vlog. Napisała: „Każdy przeanalizowany w tej książce kanał podkreśla inne cechy wizerunku blogera” (s. 197). „Każdy z przebadanych twórców ma [...] inną osobowość, którą chętnie pokazuje [...] swoim odbiorcom, budując z nimi w ten sposób relację. [...] Dzięki swemu autorytetowi, osobowości i umiejętności rozmowy z ludźmi, blogerzy stali się liderami opinii a często wręcz autorytetami” (s. 197).

Spójrzmy jak to zostało pokazane w pracy. Jest ona erudycyjna. Całość została strukturalistycznie domknięta, a każda z części (podrozdziałów) szczegółowo wytłumaczona „Metodologia pracy – czytamy we wstępie – bazuje na narzędziach wypracowanych przez semiotykę i semiologię oraz próbie zbudowania »pejzażu semiotycznego« podejmowanego tematu. Opierać się będzie także [...] na swoistej hermeneutyce podejrzeń i próbie dociekania sensów w budowaniu autokreacji przez blogerów mody” (s. 18). I tutaj autorka rozprawy deklaruje, że będzie podążać tropem koncepcji Edwarda Balcerzana, który swego czasu wprowadził pojęcie genologii multimedialnej, choć zadaje także istotne pytanie: „Jak w tym pejzażu sytuują się media społecznościowe?” (s. 18). I odpowiada: „Przestrzeń mediów społecznościowych jest wieloznaczna i może być rozpatrywana ze względu na różne aspekty [...]” (s. 19). Tak oto otwieramy się na interdyscyplinarność postawy badawczej.

„Kreowanie wizerunku jest tematem bardzo aktualnym i popularnym [...]”. Tymi słowami (s. 7) rozpoczyna swoją książkę Magdalena Szulc. „Aktualność” jest odniesieniem do czasu, który nie pyta o długie trwanie, lecz o chwilę. Nie jest teraźniejszością, ale błyskiem, czymś mimowolnym, rozpaczliwie znikomym i złudnym. W zdaniu otwierającym pojawia się również „moda”. A właściwie nie „moda” w substancjalnym znaczeniu, lecz w znaczeniu atrybutywnym: „modny”. Co to znaczy: być „modnym”? Substancjalność i atrybutywność spotykają się w historycznym i współczesnym wymiarze. „Kreowanie wizerunku” dotyczy obu czasów, a nie wyłącznie czasu naszego. Kładę mocny nacisk na zdanie otwierające, ponieważ autorka studium nie funkcjonuje poza czasem Internetu. Jest jego badaczką i wielbicelką. Napisała: „Tworzenie własnego świata, XXI-

Modowa blogosfera

KSIAŻKI

-wieczny kreacjonizm i stawianie siebie w roli wielbionego przez fanów bóstwa, wydawały – i nadal mi się wydają – niezwykle fascynujące” (s. 7).

Autorka rozprawy deklaruje, jak już wspomniano, jej interdyscyplinarność. Twierdzi, że kultura jest „siecią”, dlatego kulturologi kulturoznawcy winni „analizować nie rzeczywistość samą w sobie, lecz to, co ludzie o niej mówią i myślą” (s. 8). Przesunięcie z ontologii na epistemologię, z substancji samej w sobie na jej poznanie (z tego, co jest, na to, co wydaje się, że jest tym, co jest), sprawiło, że do refleksji zaprzęgnięte zostało nie pojęcie kultury w znaczeniu ogólnym, ale jej wymiek: moda. „Moda jest nieodłącznym elementem kultury konsumpcyjnej” – czytamy w pracy (s. 12). Badaczka zauważa: „Media społecznościowe dają swym użytkownikom ogromne możliwości kreowania wizerunku” (s. 14).

Książka została podzielona na cztery zasadnicze rozdziały, segmentowane bardzo odpowiedzialnie i przejrzysto – od mody kreowania wizerunku, poprzez wzmacniający kanał mediów społecznościowych, które stają się „przestrzenią kreowania nowych gatunków komunikacyjnych”, ku „autokreacjom blogerów mody”.

W pierwszym rozdziale mowa jest o tym, jak wizerunek współtworzy kulturowy model społeczeństwa konsumpcyjnego. W rozdziale drugim – jak media społecznościowe kształtują nie tylko typy wizerunku, ale jak galwanizują wizerunek w zderzeniu sfery publicznej i prywatnej. W rozdziale trzecim – jak media społecznościowe kreują „nowe gatunki komunikacji”. W dwuczęściowym rozdziale czwartym najpierw pokazano jak blogerzy mody kreują wizerunek w mediach społecznościowych, a następ-



MARIAN KISIEL

nie jakie są rezultaty owej kreacji w blogach i vlogach oraz kanałach wspierających – Instagramie i Facebooku.

W rozdziale pierwszym – *Kreowanie wizerunku a moda* – badaczka powiada o dwuetapowości tworzenia wizerunku. Najpierw następuje próba określenia tożsamości podmiotu, a następnie zbadania przez blogerów oczekiwania społecznych (s. 25, 29–34). „Wizerunek pełni różne funkcje: zjednuje opinię publiczną, niweluje anonimowość jednostki, ułatwia wzajemne porozumienie, a także wpływa na poczucie akceptacji” (s. 26). Pani Magdalena Szulc pisze o wizerunku w myśli społecznej (Erving Goffman, Charles H. Cooley), pyta o jego relację w odniesieniu do tzw. socjologii ciała (Chris Schilling), dowodzi, że „[k]ultura konsumpcyjna pozwala dowolnie kreować wizerunek, stawać się kim innym, niż jesteśmy naprawdę – tym, kim chcemy być lub jak chcemy być widziani przez otoczenie” (s. 39), a wreszcie – arcyciekawie pokazuje, że „[w]ytworzenie społeczeństwa wizerunkowego jest kolejnym etapem, który nastąpił po fazie społeczeństwa konsumpcyjnego i jest jego naturalnym wynikiem” (s. 41). „Kreowanie wizerunku – pisze badaczka – jest tworzeniem produktu, zatem jest to proces podobny do działań na rynku konsumenckim” (s. 42). „Jest to kapitał, z którego człowiek korzysta” (s. 43). I dalej: „Celem budowania wizerunku jest wywołanie u odbiorcy pozytywnego wyobrażenia jednostki i zbudowanie w mediach obrazu, który w najpełniejszy sposób odpowiada oczekiwaniom odbiorców – w przypadku blogerów są to oczywiście czytelnicy bloga oraz obserwatorzy innych kanałów prowadzonych przez blogera w social mediach” (s. 52).

Jak więc media społecznościowe jako przestrzeń Internetu służą kreowaniu wi-

zerunku? O tym traktuje rozdział drugi książki. „Social media zmieniają nie tylko system przepływu informacji, ale też zmieniają społeczeństwo” – pisze Szulc (s. 55). Autorka szczegółowo analizuje (nowe) sposoby kreowania wizerunku w sieci, typy wizerunków w social mediach, pyta o relację między sferami prywatną oraz publiczną, a wreszcie przypomina, że w praktykach autokreacyjnych ważną rolę odgrywa marketing relacyjny. Na zakończenie tego rozdziału autorka daje typologię mediów społecznościowych (blogi i mikroblogi, serwisy społecznościowe, społeczności kontentowe, wirtualne światy społecznościowe), zastrzegając się, że najczęściej omawiani przez nią kanałami będą „blogi (lub vlogi w formie kanału na YouTube), Facebook oraz Instagram” (s. 74).

Ważny dla problematyki poruszanej w książce wydaje się rozdział trzeci: *Media społecznościowe jako przestrzeń kreowania nowych gatunków komunikacji*. Jest gruntownym przeglądem koncepcji genologii multimedialnej (czy internetowej) i na tym tle rozważań na temat bloga, który jako gatunek wciąż budzi różne dyskusje. Brak zgodności wśród badaczy jest niebywale pouczający, jedni koncentrują się wyłącznie na jego stronie technicznej, inni poszukują podobieństwa ze znanymi formami gatunkowymi, tworząc nową genologiczną hybrydę. Magdalena Szulc z szeregu koncepcji wybiera te, które ona sama uznaje za słuszne. „Blog powinien wyrażać poglądy i osobowość autora i to wyróżnia go na tle innych stron internetowych” (s. 97). „Blog tym różni się od innych kanałów mediów społecznościowych, że kreowany jest przez jego autora, który dowolnie może zmieniać szablon oraz zamieszczane tam treści” (s. 97).

W dalszej części rozdziału autorka przypomina typologię blogów za Anną Gumkowską, Maciejem Maryłem i Piotrem Toczyskim (blogi tekstowe, fotoblogi, wideoblogi, MP3blogi, linklogi), a następnie – koncentrując się na blogach modowych – przeprowadza własny trójpodział na klasyczne blogi modowe, blogi lifestyle oraz społeczno-kulturowe blogi modowe. Badaczka zwraca uwagę na takie cechy gatunkowe blogów, jak: antychronologia, fragmentaryczność, zmienność, niefikcyjność, autoprezentacja, ekshibicjonizm, a wreszcie – wtórna oralność (funkcja komunikacyjna).

W rozdziale czwartym Magdalena Szulc najpierw podejmuje zagadnienie polskiej blogosfery modowej na tle blogosfery ogólnej, przypominając, że blogi modowe są najbardziej popularne, a ich udział w zysku branży modowej stale rośnie. Wraz ze stabilizowaniem się pozycji polskiej blogosfery w Internecie i poza nim, za sprawą livestreamingu, „[b]loger i jego życie stają się elementem rzeczywistości użytkownika, a ich oba livestreamin-

gi przenikają się wzajemnie, co sprawia, że bloger lub vloger staje się jeszcze bliższy swoim obserwatorom, niejako wtapia się w jego społecznościowy ekosystem, ponieważ jego relacje z życia przenikają się z relacjami znajomych użytkownika” (s. 120). Zdaniem badaczki, „livestreaming będzie przybierać na sile”, „będzie wpływał na zmiany społeczne, kulturowe czy polityczne”, a „początki tych procesów można obserwować już teraz” (s. 121).

Równie ważną rolę w kreowaniu wizerunku ogrywa grafika. Autorka rozprawia pisze o selfie i – łącząc je z branżą modową – za Alice Marwick nazywa blogerów/vlogerów mikrocelebrytami: „dlatego, że często naśladują celebrytów modowych, takich jak modele, projektanci mody czy dziennikarze związani z branżą modową” (s. 123). Mikrocelebryta pokazuje, co robi, celebryta – kim jest. „Podczas gdy celebryci są dla użytkownika niedoścignionym aspiracyjnym marzeniem o bardziej luksusowym życiu, blogerzy i vlogerzy modowi jawią się jako inspirujący, bliscy, wręcz przyjaciół” (s. 124). Poza ukazaniem indywidualnego stylu mikrocelebryty, „[f]otografie w blogosferze to swoisty modowy *performance*” (s. 128). Autoekspresja i autokreacja blogerów/vlogerów sprawiają, że „performatywne są wszystkie elementy ich działalności” (s. 129), również język – nastawiony na swobodę, potoczność, ludyczność, adaptację anglicyzmów, neologizację czy neosemantyzację. Wiąże się to oczywiście również z określoną wiekowo grupą społeczną, do której blogi/vlogi są adresowane. Luźny styl, potoczność i szersza znajomość języka angielskiego skracają dystans między nadawcą i młodym odbiorcą, budują wspólnotę opartą na podobieństwie przekonań i oczekiwań.

Mówiąc o blogach modowych, trudno nie zapytać o ich związek z reklamą. Magdalena Szulc napisała: „Poprzez współpracę reklamową kreowanie wizerunku odbywa się na zasadzie sprzężenia zwrotnego – marki kreują wizerunek dzięki blogerom, a blogerzy dzięki markom” (s. 136). Korzyść jest więc obopólna, a w zacieśniającej się relacji bloger – odbiorca bloga, „[b]logerzy stają się autorytetami, z czego chętnie korzystają marki” (s. 136). Nic więc dziwnego, że stają się oni liderami opinii. „Branża marketingu oparta na liderach opinii warta jest już miliard dolarów [...]” (s. 141).

Bloger, vloger, lider opinii powinni mieć autorytet. Sytuując się między grupą idoli i celebrytów, „[s]ą bardziej dostępni niż idole i mniej nieśmiały niż celebryci” (s. 144). Autorytet zdobywają przez bycie w blogosferze modowej, budowanie więzi z odbiorcą (poczucie akceptacji), szacunek do wspólnych wartości, zaufanie, kompetencję, odpowiedzialność. Oczywiście: także poprzez ubiór. „Odpowiedni strój, na przykład formal-

ny strój służbowy, budzi szacunek i jest nieodłącznym składnikiem autorytetu. W przypadku blogerów i vlogerów modowych istotne jest, by ich strój był odzwierciedleniem ich wizerunku, charyzmy, poglądów i przekonań, a zarazem budził uznanie wśród ich grupy odbiorców” (s. 145). Dla blogerów i vlogerów „lustrem są reakcje odbiorców” (s. 146). Istnieją w relacji, bez niej – czyli bez komentarzy – „[b]log lub vlog [...] staje się zwyczajną stroną internetową i traci swój potencjał komunikacji dwukierunkowej, która jest jednym z głównych wyznaczników gatunkowości mediów społecznościowych” (s. 149).

Na tym kończy się część teoretyczna książki Magdaleny Szulc. W części drugiej rozdziału czwartego badaczka dała opisy wybranych blogerek modowych w polskiej blogosferze i na polskim kanale You Tube oraz blog Freestyle Vlogging Tomasa Kujawy. Badaczka właściwie potwierdza wcześniej teoretycznie opisane cechy poszczególnych gatunków blogosfery, a także sposoby kreowania wizerunku. Przeczytamy: „blogerzy i vlogerzy modowi świadomie kreują swój wizerunek w mediach społecznościowych, korzystając z udogodnień techniki, jakie oferuje im XXI-wieczny świat Internetu. Zdają sobie sprawę ze zjawisk zachodzących w Sieci i chętnie je komentują. W swoich wypowiedziach używają języka potocznego, neologizmów, zapożyczeń i specjalistycznego słownictwa związanego z branżą, jaką się zajmują. Dbają o jakość grafik, inwestują w nowy sprzęt do robienia zdjęć czy filmów – wszystkie te aspekty wpływają na ich wizerunek” (s. 191).

W zakończeniu swojej książki Magdalena Szulc powiada, że trudno jest przewidzieć przyszłość blogosfery i mediów społecznościowych. Podatne na zmiany środowiska, rozwijają się bardzo szybko, nie tylko nie znikną z Sieci, ale będą reagować żywiołowo na wyzwania, jakie przed nimi ona będzie stawiała. „W przypadku blogów i vlogów modowych wirtualna rzeczywistość może umożliwić na przykład wspólne zakupy, przymierzanie ubrań czy projektowanie doświadczeń z nim związanych” (s. 199). Wraz ze zmianami w Sieci zmieniać się będą wizerunki blogerów, a także reakcje dotychczasowych odbiorców blogów i vlogów.

Magdalena Szulc podesała do blogosfery modowej z perspektywy, jak to nazwała we wstępie, pejzażu semiotycznego. Jej rozważania i ustalenia są bardzo interesujące. ■

Magdalena Szulc: *Od gatunku do wizerunku. Autokreacje b(v)logerów modowych w mediach społecznościowych*. Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2022, s. 214.

Tych wierszy nie można czytać zbyt szybko, o nie! Trzeba czasu, by spotkać się z językiem poezji Piotra Lamprechta i tym, co z sobą niesie. Adam Ziemianin tak opisał je na tylnej stronie okładki: „to żywy szlak drgających bursztynów odkryty i przyłapany przez autora na gorącym uczynku. Czasem na wielkiej plaży miasta, innym razem też w leśnej otulinie”. Zgadzam się z bursztynami jest tak samo – po prostu żyją. A kiedy chcemy je poznać zbliżamy oko, obracamy grudki na wszystkie strony i szukamy zaklętego, czy może lepiej powiedzieć „przyłapanego” w nich istnienia.

Miniaturowe formy poetyckie są różnej postaci. Próbowano ich w epigramatach, figlikach, fraszkach przyłapując życie „al fresco”. Przybywały z Dalekiego Wschodu jako egzotyczne haikai, haiku, hokku. Zawsze wymagały złożoności, niezależnie od tego, czy przy czytelnym rozsypywaniu tych szczególnie zapętlonych węzłów odbiorca reagował śmiechem czy zadumą. Po prostu maksymalna kondensacja. Tom Fabryka papieru idzie właśnie tym tropem.

Na okładce zbioru nie znajdziemy tytułu, a obraz (zdaje się, że taka gra wśród współczesnych poetów stała się popularna). Projektant zarezerwował ją na obraz Kamili Kansy reprezentujący odmianę fotografii kreatywnej. Oto dziewczynka siedzi na ławce na tle miejskiego krajobrazu (kamienice, wieże kościołów), a z miejsca głowy (ta znika na czarno-białym zdjęciu) wyfruwają ptaki. Reszta białego pola okładki stanowi dla obrazu obramowanie czarną kreską swiste passe partout. Ów oniryczny obraz gra więc poniekąd pierwsze skrzypce, zanim dowiemy się, że mamy do czynienia z Fabryką papieru. Fotografie utrzymane w sennie, nierealistycznej stylistyce będą również współtworzyły trzy tematyczne części prezentowanej twórczości poetyckiej Lamprechta. Na tom składają się bowiem Miasto, Ślady i Las. W ów labirynt wierszy-znaków wprowadza nas również grafika, a szczególnie topografia liter wymienionych tytułów. Porzucono tutaj tradycyjną linearność na rzecz przestrzeni, a poszczególne znaki na stronie ułożone centralnie odczytujemy podążając wzrokiem od znaku do znaku (duże litery) w dół. Taki zabieg nie tylko przynosi poczucie opadania, kołysania, zlatywania, ale jest zapowiedzą sztuki „totalnego”.

Co więcej, ów wertykalny kierunek obiorą także słowa. W tradycji kultury ów zapis przejawia się predylekcją wartościującą, bowiem „góra” i „dół” to nieoobjętne znaki orientacji w przestrzeni. Intuicyjnie można by je rozpisać na sacrum i profanum, na to co boskie i ludzkie, co wysokie i niskie... Zobaczymy jak realizuje ów ruch poeta uprawiający, także w poprzednich tomikach „ascezę słowa”. Już pierwszy wiersz wydaje się czynić obiektem swojej obserwacji bohaterkę

„Potem idzie gładko”

KSIĄŻKI



PIOTR SKOWRONEK

okładki: „dziewczyna / mówi // tramwaj // bez / pomocy / słownika”. Słowa pozostawione są niejako samym sobie. Czernieją na środku białej strony, nie potrzebując żadnych znaków przestankowych, nic. Co więc wydaje się, że poeta kpi z nas w żywe oczy. Co więcej skondensowana „prawda” wiersza wymaga do omówienia go znacznie więcej słów niż sama użyła. Czy to zatem przewrotnie właśnie nie „my” – czytelnicy, myślący „nad” nie jesteśmy ową tytułową „fabryką papieru”? Czego zauważony paradoks „wyrażania”, „nazywania” nas uczy (?) i czy uczyć powinien? A może, jak nazwał to Robert Rybicki: „Piotr Lamprecht wywiódł nas w las”.

A może wystarczy sam dystans, obserwacja rodząca zasiedlając pustą kartkę słowa i przybywające do nich znaczenia. Zdaniem Stanisława Srokowskiego: Lamprecht unika jak ognia długich, sprozaizowanych form, pustej frazeologii i skonwencjonalizowanej wersyfikacji. Zrozumiał, że po doświadczeniach poezji lingwistycznej najistotniejszym czynnikiem w twórczości staje się symbolika języka, kunszt myśli, precyzja konstrukcji i potęga fantazji”.

Ta ostatnia wyrażna jest w finale wiersza zatytułowanego *Stółka dla bezdomnych*, gdzie czytamy: „Wracam z pogrzebu // przed albertynami / kolejka po chleb // jeden z nich mówi mi / że anioł do raju / zabiera tylko światło”. Owych „niebiańskich” przywołań jest znacznie więcej, bo: „szeleszczą / ptaki w gazetach // czytam / przepis na por / z błyskawicą”, czy: „zakłada buty / z gwiazdą / bez dna”.

Prosta budowa owych „nieoczywistych” obrazów każe nam przystanąć, pomyśleć i przemyśleć rzeczywistość, która wymyka się łatwym hipotezom. Jej metafizyczna strona sprawia nam – odbiorcom wiele trudu, więc kiedy ukazuje nam ją duszpasterz stoimy oniemiałymi mocą odkrywającego słowa, spoglądając ku jego wnętrzu. Taki wymiar ma bezsprzecznie *Wizyta u chorych*, w której głos oddany został

pacjentce (noszącej imię od łacińskiego: wytrzymała, wytrwała, znoszący coś): „poruszam się / już na chodniku // perlargonie zerwałam / z balkonu o świetle // to była podróż / za ocean // leżą teraz na stole / przy zapalonym / ogarku”.

Lakoniczność wierszy Lamprechta i pozbawianie ich powszechnych tropów artystycznych sprawia, że całe obrazy możemy traktować metaforycznie, a ich znaczenie ewokowane jest in statu nascendi w nas samych. Musimy niejako dla siebie odkryć ich sens, emocjonalność i granice poznania. Na taką „wieloznaczność semantyczną gestów i obrazów” zwrócił uwagę Tadej Karabowicz (*Świadomość metafizyczna, pisarze.pl*, nr 498). A może nie musimy? Może wystarczy zgoda na to, co zaproponował nam poeta i jego rozmigotana wyobraźnia. A może Lamprecht tylko podpowiada nam tropy, byśmy idąc jego śladami wydeptali własne ścieżki?

„szur szur szur / po gałęziach / poznacie” to pierwszy z wierszy, który odsłania pozostawione znaki, strzępki, drobiny, detale, które wiodą nas do Lasu, a tam „w zarosłach / zwierzęta // mokną / po cichu”.

Dosyć już słów, nie twórzmy „fabryki papieru” przypatrzmy się raczej efemerycznym obrazom Kamili Kansy, które na granicy snu i jawy towarzyszą wierszom i pozwalają się zagłębić w przestrzeń samym już tylko okiem, bo: „zamykasz / oczy // morfologia // patrzysz dalej”. A „morfe” to nie tylko kształt, a „logos” nie tylko nauka i co właściwie znaczy to „dalej”? Zdaniem cytowanego już Ziemianina: „To jakby znaleźć na mrocznym strychu świata rower ze złotymi szprychami i cieszyć się każdą chwilą, choć czasem pod respiratorem”.

Piotr Lamprecht, *Fabryka papieru*, Biblioteka Śląska, seria Ut Pictura Bibliotheca, Katowice 2021, s. 40.

„Śmierć wybitnej osoby (wiemy to od Gundolfa) nie jest bynajmniej kresem dziania się jej biografii. Nie tylko dzieła zmarłego, ale i zdarzeniowy przebieg jego życia – podlegają następnie wielorakim reinterpretacjom, przeinaczeniom i przewartościowaniom w zmieniających się kontekstach społeczno-kulturowych” – pisał Janusz Sławiński. Uczony nazwał to zjawisko „czasem wspomnień”, który trwa tak długo, jak długo żyją ludzie pamiętający osobę zmarłą. Ten „czas wspomnień” zaczął się właśnie dla Marii Pańczyk-Poździej (1942–2022) i będzie trwał bardzo długo, bo krąg jej przyjaciół i znajomych był ogromny i wielopokoleniowy.

Wspomnienia, jak wiadomo, mają swoją konwencję, podkreślają zwykle udział wspominającego w życiu zmarłego (czasem wyolbrzymiając swą rolę), opowiadają o zażyłości, wydobywają na światło dzienne nieznanie nikomu fakty, a przede wszystkim wyrażają żal i odczucie pustki. Piszę o osobie zmarłej zawsze dobrze, ale też często piszę się więcej o sobie – niż o bohaterze/bohaterce tekstu. Niektóre fakty wybrzmiewają podobną nutą, inne wnoszą ton odrębny, własny.

Tym razem można zauważyć, że o Marii Pańczyk-Poździej pisze się serdecznie, ale z zawsze z należnym szacunkiem, z należytą godnością, nawet ci, którym pozwalała do siebie mówić po imieniu. Czy mowa jest o Pani Marii, Pani Senator, wicemarszałek Senatu RP, ale też Marysi, Mariji, Maryjce, to zawsze właśnie tak, z pewną atencją, ale i ciepłem. Szanowali ją wszyscy, również przeciwnicy polityczni. Marszałek Senatu RP Bogdan Borusewicz podczas uroczystości pogrzebowych w Tarnowskich Górach w dniu 21 maja br. powiedział między innymi: „Nie obrażała się, nie obrażała innych, a przecież była politykiem to także wchodzenie w konflikty, nie tylko w dyskusje. Ale ona starała się dyskutować z pogłębieniem, a nie atakować człowieka”. Trudno o piękniejszą charakterystykę.

Nic więc dziwnego, że ton uznania i przyjaźni dominuje właśnie w całym tomie *Zaczynam i kończę słowem. Wspomnienia o Marii Pańczyk w 80. rocznicę urodzin* wydanym przez katowickie „Wydawnictwo Śląsk”. Miał mieć charakter jubileuszowy, a stał się pożegnaniem. Książka jest pomysłowa i bardzo dobrze zredagowana. W czterech częściach zawarto kolejno: pożegnania, teksty wspomnieniowe, „wiersze śląskie” (Tadeusza Kijonki, Mariana Zembali, ks. Jerzego Szymika) i aneks, który sam w sobie ma sporą wartość dokumentarną, zwłaszcza „Autobiografia”, szkoda tylko, że zdjęcia są kiepskiej jakości, niewyraźnie i wyblakłe.

Wspomnienia są polifoniczne, rozpisane na wiele głosów, czasem szeptów, jednak wobec siebie komplementarne. Piszę, więc profesorowie uniwersytetów (Daniel Kadłubiec, Danuta Krzyżyk, Jan Malicki, Franciszek Marek, Jan Mioddek, Dorota Simonides, Helena Synowiec, Grażyna Szewczyk, Marian Zembala). Dalej koledzy „radiowcy” (Maciej Bakes, Jadwiga Chmielowska, Jacek Filus, Henryk Grzonka, Anetta Kłys-Hyska, Grzegorz

Wszystko łączy słowo

KSIAŻKI

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Płonka, Anna Sekudewicz, Danuta Skalska) i politycy (Bogdan Borusewicz, Małgorzata Mańka-Szulik, Józef Musioł, Jan Olbrycht, Piotr Uszok, Michał Wójcik). Piszą też duchowni, samorządowcy, działacze społeczni, rodzina Pani Marii, i wiele innych osób; nie sposób wszystkich wymienić. Jednak najbardziej wzruszające są teksty laureatów konkursów, spontanicznie i bardzo osobście opowiadających o tym, co zawdzięczała zmarłej i jak trwale wpisała się w ich życie. Twórczyni wielu świetnych i niezapomnianych inicjatyw kulturalnych, jak „Niedziela w Bytkowie”, czy „Honorowy Ślązak roku”, a przede wszystkim Konkursu *Po naszymu, czyli po śląsku* miała talent do odkrywania ludzi, wydobywania talentów, ośmielenia i ukazywania systemu autentycznych wartości. Była niesamowicie żywotna, pełna inwencji i niestrudzona, docierała więc do wielu zakątków i osób.

Antoni Piechniczek bardzo celnie zwrócił uwagę na to, że Maria Pańczyk mówiła piękną polszczyzną i wspinała gwarą, świadoma jej staropolskich źródeł, tłumaczyła wartość języka młodszemu pokoleniom. Czym jest słowo i jakie ma znaczenie wiedziała najlepiej. Znany piłkarz i trener napisał: „Wielką robotę zrobiła Pani Maria – mówiąca piękną polszczyzną i wspinała gwarą Ślązaczka. Z pasją pielęgnowała tę gwarę, mającą przecież swe źródła w staropolskim języku. To ona pomogła wielu Ślązakom uwierzyć w siebie, wyjść ze skorupy zakompleksionego prostego człowieka od czarnej roboty. Który zamiast mówić – *godo*”. W podobnym tonie brzmi wypowiedź dr Marii Lipiok-Bierwiaczonek, etnografki i muzealniczki, współpracowniczkii zmarłej, piszącej, że Maria Pańczyk dokonała nieprawdopodobnego w swym znaczeniu dzieła, „przeorała” świadomość Ślązaków, dała im/nam poczucie dumy z brzmienia śląskiej mowy i z jej bogactwa leksykalnego”.

Natomiast z mozaiki opowieści kolegów „po fachu” wyłania się portret wielkiej osobowości radiowej, w prostej linii kontynuatorki



„Radiowej Czelodki” Stanisława Ligiona i audycji Agaty Wojterzanki „Gdzie miłość wzaajemna i dobroć”. Młodzi wspominają jak ich przyjaźnie prowadziła przez zawile meandry antenowej sztuki, jaka była otwarta, i po „matczynemu” opiekuńcza (Grzegorz Płonka), ale też wymagająca. Anna Sekudewicz, również doświadczona dziennikarka radiowa, napisała, że oprócz znawstwa zmarłą cechowała bezkompromisowość i odwaga. Ta odwaga, jako istotna cecha „Maryśki ze Śląska” pojawia się we wszystkich wypowiedziach, podobnie jak wierność tradycji narodowej, regionalnej, rodzinnej i religijnej. Podkreślano, że zwłaszcza w okresie PRL-u, choć wylano jej niejedną „kubel z zimną wodą na głowę”, słowa przyzwoitości i lojalność rozumiała w ich najpiękniejszym sensie, brzydząc się kłamstwem, obmową, wyrachowaniem jako środkiem do celu.

Najbardziej wzruszają wspomnienia laureatów konkursów, tchnące autentyzmem i jakąś żarliwością. Józefa Jendrusia, Jerzego Kiołbasy, Edyty Koj, Sally Sekuły – Schaefer (z Teksasu), Teresy Szymońskiej, Krzysztofa Zaremby, Beaty Zimończyk. To właśnie ona w imieniu „Czelodki – Po naszymu”, żegnając zmarłą, przypomniała jak wiele osób mówiło do niej „mamulko”, na koniec obiecując: „Pójdymy, Mamulko, a Ty ło nic nie musisz się już starać. O nas tyż niny... Łobiejemy dobrze żyć i nigdy gańby Ci nie narobić. Łobiejemy, że po śląsku – po naszymu nauczymy jeszcze niejednego i nie domy naszymy mowy najpiyrszyj zapomnieć. Dalij bydymy godać, łosprowiać i rządzic. I dycki Ciebie za wzor mieć przed łoczami... Z Ponboczkiym, Mamulko... śpij spokojnie”.

Zaczynam i kończę słowem. Wspomnienia o Marii Pańczyk-Poździej. W 80. rocznicę urodzin. Pod red. Beaty Brachaczek-Świerkot. Katowice 2022, s. 171, nlb. ilustr.

Wraz z biegiem wydarzeń w rzeczywistości społeczno-polityczna kategoria protest songu nie traci na popularności. I choć może coraz rzadziej tym terminem określa się kolejne buntownicze utwory, namawiające do zmiany, które mają otworzyć oczy społeczeństwu, a nawet nim potrząsnąć i wręcz zmusić do działania, do zmiany, nie oznacza to, że one nie powstają, a te, które były, straciły na aktualności.

Nad zagadnieniem odważnych piosenek pochylili się autorzy wydanej w połowie 2022 roku książki „100 najodważniejszych polskich piosenek” – Jakub Krzyżański i Marcin Mieszczak.

Książka powstawała od początku 2021 roku, zatem zbiór i wybór stu utworów znanych nie tylko wielkim pasjonatom polskiej muzyki (głównie rockowej, choć nie tylko), ale – odważę się (sic!) zaryzykować stwierdzenie, że każdemu Polakowi – zebranie unikatowych historii, informacji, musiało być ogromnym wyzwaniem.

Przyznać trzeba, że autorzy podolali wyzwaniu. Skomponowali zestaw stu utworów, które, jak sami zaznaczają we wstępie, nie mają charakteru rankingowego. Dla przyjęcia neutralnej zasady postanowiono ułożyć je w kolejności alfabetycznej, od *Alkoholika* (wykonanie: Mieczysław Fogg do słów Juliana Tuwima) do *Żyję w kraju* Strachów na Lachy. Zatem polska odwaga od a do ż. Od Fogga, przez takie legendy jak *Republika (Biała flaga)*, *Perfect (Chcemy być sobą)*, *Czesława Niemena (Dziwny jest ten świat)*, *Kultu (Mieszkam w Polsce)*, aż po przedstawicieli młodszej generacji jak *Darię Zawiałow (Kanonashi)* czy *Taco Hemingway’a (Polskie tango)*.

W książce „100 najodważniejszych polskich piosenek” autorzy zawarli taki ładunek tematów trudnych, buntowniczych, tabuizowanych, bolesnych, a wręcz wypieranych z świadomości, że aż trudno wybrać kilka utworów, które by były sztandarowymi przedstawicielami charakteryzującymi całość publikacji. Dość wymienić, że pojawiają się takie tematy jak: faszyzm, dyskryminacja, namawianie do zbrodni, ksenofobia – o tych wspomnieli autorzy, od siebie dodam – miejscami jest mocniej, dochodzą też takie tematy jak samobójstwo, gwałt, eutanazja, narkomania (też wśród młodzieży), zmęczenie i rozczarowanie ojczyzną. Aż chciałyby się zadać pytanie, czy można na takie tematy śpiewać piosenki? A dlaczegoż by nie?! Czy ktoś chce ich słuchać? Jednak tak. I to do tego stopnia, że mogą stać się hymnami zastępczymi.

Czy piosenka z 1934 roku może być odważna? W końcu to czas nostalgicznego dwudziestolecia międzywojennego (jeszcze!) i piosenek kojarzących się z klimatem zadymionych kawiarni, *Umówiłem się z nią na dziewiątą* etc., a tu nagle zamiast słodkich słówek pojawiają się gorzkie i mocne: *Czarna noc rojem robaczek już drga / Czy to widmo stoi, czy ja / Alkoholik, alkoholik / Dzisiaj życie wypiję do dna! (...)* *Aż upiorny przyjdzie mus / Widnem trwogi będzie rósł / Drżące ręce, prędzej więcej / Jeszcze, jeszcze, koniec, szlus.*

To *Alkoholik* Fogga. Dziś takie słowa niktoby nie obruszył, a piosenek o picciu, czasem przesadnym, w naszej muzyce nie brakuje, jednak w końcu lat 30. ubiegłego wieku takie wydanie muzyki rozrywkowej mogło wzbudzać zdziwienie, a może nawet i ferment, gdy słuchano

Muzyka jest (od)ważna

KSIĄŻKI

jej przy dobrej, niewątpliwie zakrapianej zabawie... Przy czym warto zauważyć, jak przemycano w ten sposób wątek edukacyjny – dziś zastępowany przynębiającymi kampaniami społecznymi, już kilka dekad temu dało się ostrzeżać przed zgubnymi skutkami nadmiernego spożywania alkoholu.

Znany utwór *Chałupy welcome to*, to tematyczny wybryk Zbigniewa Wodeckiego, sławiący uroki plaży dla nudystów w Chałupach, jednak mało kto wie, a z książki się tego dowiadujemy, że najpierw zaproponowano wykonanie tego utworu... Irenie Santor, jednak ta się na nią nie zdecydowała... z zyskiem dla Wodeckiego. I tak do dziś w nadmorskich Chałupach jest „plaża od Wodeckiego” jako atrakcja turystyczna. Co mogło być buntownicze w tak lekkiej piosence? Nagość i naturyzm jako sprzeciw wobec szaryzmy PRL-u, zwrot w stronę – dziś powiedzielibyśmy – czynów nieobyczajnych, odejście od wciąż pruderyjnej kultury, a sam plażowy nudyzm stał się „czymś w rodzaju wentylu bezpieczeństwa” (s. 59) w obawie przed obyczajowym buntem, a sama piosenka, na przekór rockowym manifestom, miała sprzyjać rozrywce i zabawie – *Bahama mama luz!*

Najświeższym zaś utworem przywołanym w książce jest piosenka (o ile można tak mówić w przypadku rapu) *OK Boomer!* od Fisz Ema-de Tworzywo. Znajduje się ona na płycie *Balady i protesty* wydanej w październiku 2021 r. I choć utwór trwa ponad osiem minut, więc dla stacji radiowych nie jest apetycznym kąskiem, i tak stała się sztandarowym utworem całej płyty. *OK Boomer!* to gorzka refleksja nad różnicą pokoleń, słowa czterdziestokilkulatka, który już nie trafia swoją muzyką do młodych, nie potrafi zrozumieć pokolenia swoich dzieci, sam o sobie mówi (na wyrost), że jest boomerem, czyli pokoleniem baby boomersów, dzieci urodzonych na fali powojennego wyżu demograficznego, dzisiejszych 60, 70, 80-latków.

I choć Bartosz Waglewski, czyli „Fisz” nie zalicza się do tego pokolenia, sam zaczyna się taki czuć, niezrozumiany, wykluczony, coraz



KATARZYNA DZIUBAŁA

bardziej na bocznej trasie biegu wydarzeń. Nie pasuje do mainstreamu, nie jest już młodzieżą, którą dopiero co był. Zwykle, gorzkie poczucie nieuchronnego przemijania, które nie jest chwilowym wrażeniem, a dobitnym faktem ukazującym się co dzień. Może i takie refleksje nie są szczególnie odważne, jednak przyznanie się, że jest „boomerem”, które to określenie dla młodego pokolenia jest obraźliwe, może być aktem odwagi. Bo kto powie, ok, jestem już stary, nie pasuję, nie rozumiem, moje już minęło – i weźmie ten ciężar na barki?

Warto także zaznaczyć, że do książki została dołączona płyta z unikatowym, pięciominutowym singlem pt. *#muzykajestwazna*, w klimacie rockowo-bluesowych ballad w wykonaniu wokalistki Patrycji Goli o ciemnym, głębokim głosie. Pomysł bardzo dobry, w końcu muzyka musi wybrzmieć, jednak – co przykro mi zauważyć – sama piosenka nie jest odważna, nie chce niczego zmieniać, a i przy pierwszym kontakcie nie wpada w ucho żaden szlagwort, dopiero po kilku odsłuchaniach można wyłapać refren:

Hej ty! Może właśnie dziś, najpiękniejszy z pięknych dni, ten szept, delikatny tak, by poruszyć martwy czas.

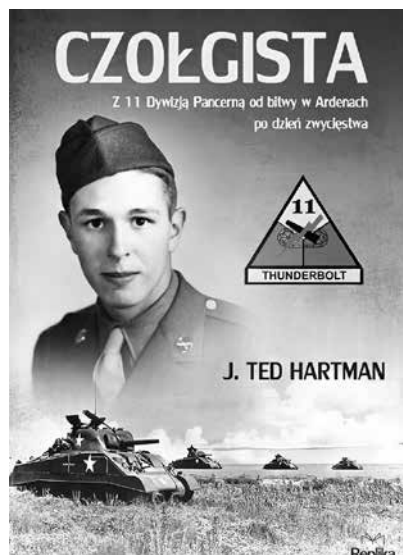
Ponieważ zapis wykonałam ze słuchu, trudno stwierdzić, czy nie pominęłam np. wielokropków, ale i z nimi refren nie nabrałby dodatkowego sensu... niestety dryfuje na powierzchni banału.

Książka ta udowadnia, że muzyka może zmieniać rzeczywistość, wpływać na myślenie ludzi, a dalej i na działanie. Z pewnością każdy, kto się w nią zagłębi zada sobie pytanie – a dlaczego nie ma jeszcze o tej i tamtej piosence – może właśnie po to, żeby ożywić dyskusję, żeby muzyka każdego pokolenia pokazała, że może i chce coś zmienić.

Jakub Krzyżański, Marcin Mieszczak:
100 najodważniejszych polskich piosenek, #muzykajestwazna 2022, s. 440.



Bohdan Łukasiewicz, Andrzej Jarczewski, *Synchronizacja kształcenia i zatrudnienia*. Wydawca: Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2022.



Ted Hartman, *Czołgista. Z 11 Dywizji Pancerną od bitwy w Ardenach po dzień zwycięstwa*. Wydawca: Wydawnictwo Replika, Poznań 2018.



Agnieszka Zielińska, *Spółdzielnia Mieszkaniowa „Metalurg” w Dąbrowie Górniczej 1981 - 2021. 40 lat*. Wydawca: SM „Metalurg” w Dąbrowie Górniczej, Muzeum Miejskie „Sztynarka”, Dąbrowa Górnicza 2022.



Światy poetyckie Barbary Gruski-Zych. Pod redakcją Ewy Bartos i Joanny Kisiel. Wydawca: Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2022.



Andrzej Jarczewski, *Wprowadzenie do etyki czasownikowej*. Wydawca: Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2022.



Eugenio Corti, *Wrócili tylko nieliczni*. Wydawca: Wydawnictwo Fundacja Historia.pl, Gdańsk, 2019.

Śląsk i świat: fotki z podróży

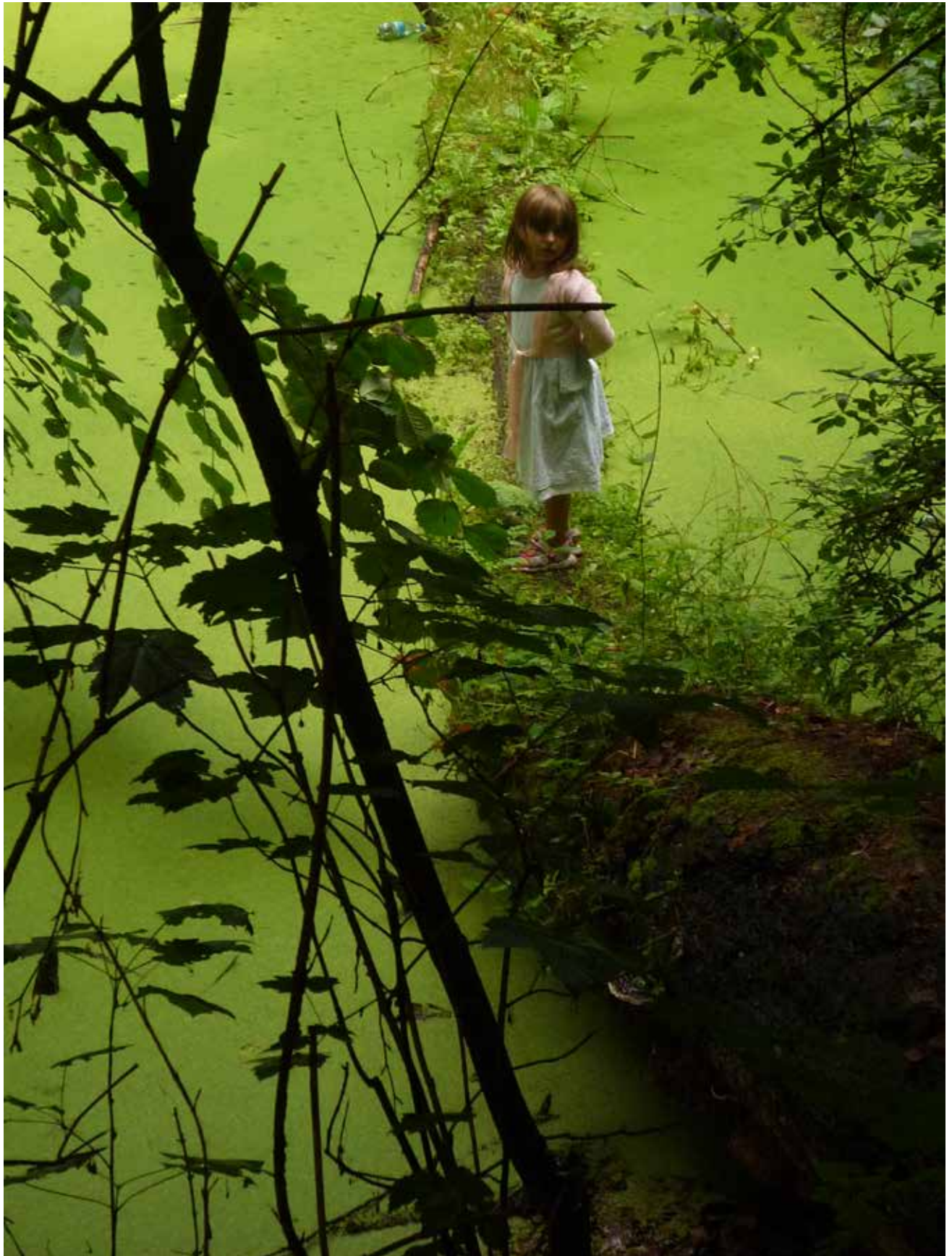
SŁAWOMIR KONKOL

Nie jestem stąd. Urodziłem się co prawda na Śląsku, ale Dolnym, i to w jego północnej części, na granicy Wielkopolski. W Bielsku-Białej mieszkam od dwudziestu lat, dłużej niż gdziekolwiek indziej, ale tu nadal nie czuję się do końca u siebie – a tam, skąd pochodzę, już nie. Dlatego wszystkie zamieszczone zdjęcia są fotkami z podróży, wszystkie zrobiłem w miejscach, na które patrzę z zadziwieniem i zachwytem turysty, niezależnie od tego, czy widzę je codziennie od lat, czy odwiedzam je po raz pierwszy – i być może ostatni. Mam nadzieję, że chociaż część tego zadziwienia udało mi się uchwycić.

*Zielona Góra.
Fot. Sławomir Konkol*

W podróży. Fot. Sławomir Konkol





Jakubów. Fot. Sławomir Konkol



Głogów. Fot. Sławomir Konkol



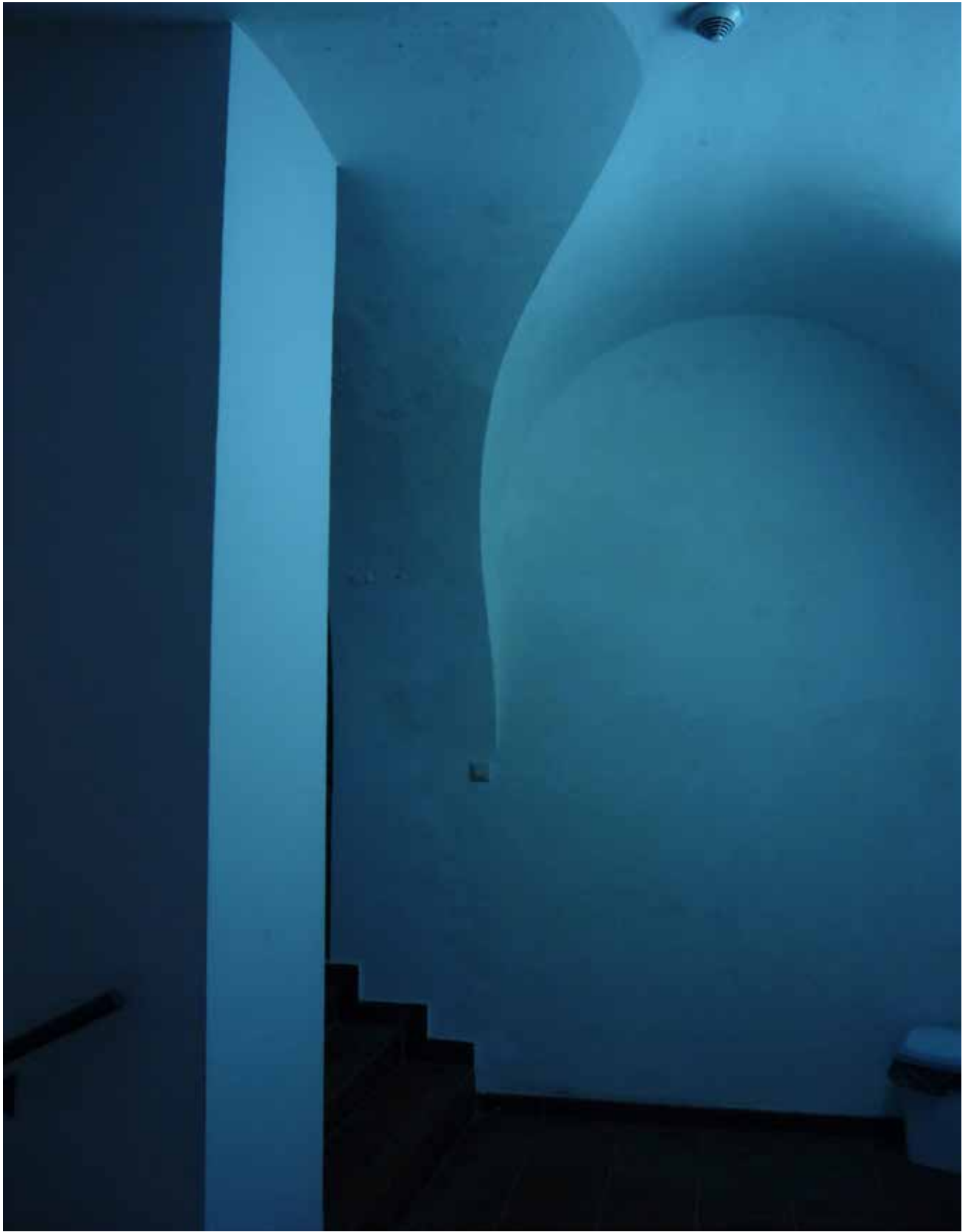
Bordeaux. Fot. Sławomir Konkol



Hersonissos. Fot. Sławomir Konkol



Bielsko Biala. Fot. Sławomir Konkol



Zamość. Fot. Sławomir Konkol

Jubiler klawiatury

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



for. arch.

Spotkałem w życiu zastanawiająco pokazną grupę muzyków – są to głównie kompozytorzy oraz instrumentalści, panie wydają się bardziej odporne psychicznie – którzy w pewnym momencie zdecydowali się na zakończenie kariery. Po prostu przestali komponować albo zajmować się wykonawstwem. Fascynuje mnie ten fenomen nie od dziś, gdyż zawsze sobie wyobrażałem, iż dar tworzenia muzyki, komponowania, grania, jest powołaniem niejako naturalnym, wrodzonym. I może na początku zawsze tak jest, bowiem kto normalny chce dzisiaj zostać muzykiem; wszak potem następuje rozczarowanie, górę biorą tzw. sprawy przyziemne: walka o przetrwanie na rynku pracy, rezygnacja z ambicji, zobojętnienie na inspirację, poczucie bezsensu. Słowem, tortura. A może, jak w przypadku Jeana Sibeliusa, przytłacza ciężar wczesnych sukcesów (plus dożywotnia pensja rządowa)?

Nierzadko rolę w podjęciu decyzji o zaprzestaniu twórczości odgrywają względy administracyjne – czyli emerytura (wreszcie!). Po przejściu na emeryturę (szczególnie w Ameryce Północnej notorycznie się tak dzieje pośród akademickich nauczycieli przedmiotów muzycznych), dany kompozytor czy wykonawca przestaje uprawiać muzykę, bo już nie musi. W ciągu lat pracy człowiek ten przekazywał studentkom i studentom jakąś namiastkę wiedzy (namiastkę – wystarczy popytań dzisiejszych studentów o nazwiska czołowych dwudziestowiecznych kompozytorów, żeby się o tym przekonać; a nie wspominam o słuchaniu utworów tych mistrzów – jak niewielu muzyków słucha muzyki!), dzieląc się z nimi swoją przeciętnością, bo ktoś równie przeciętny go kiedyś do pracy zaangażował. Po zdobyciu pracy komponował nieważne utwory, które (czasem ważny) wykonawca zgarnięty z łapanki bez entuzjazmu grał; teraz nasz „kompozytor” idzie na emeryturę i nic go nie obchodzi, jako że, mówiąc szczerze, piękna nigdy nie tworzył, więc nie wie, co traci – ot, i wszystko.

Dodatkowo, tak to niestety bywa, do tego stanu świadomości przyczyniają się zazdrość,awiść, złośliwość, wszystko jedno czy te uczucia są własne czy cudze (na te nic nie poradzimy), zaś w efekcie mocno kłują gorycz porażki i niechęć do udziału w cyрку, gdzie tyle zależy od uwarunkowań środowiskowo-politycz-

nych i własnej przemyślności lub chytrości – a to na dłuższą metę męczy. Pozostaje machnąć ręką i włączyć telewizor.

Jak widać w tym „interesie” bardzo łatwo zostać malkontentem, nawet jeśli się nadal pomimo bólu – działa. Przeważnie malkontentstwo – oto zadanie na miarę artystycznego zbawienia. Niezbędny wysiłek, który należy włożyć w akt samo-ocalenia jest kolosalny. Szanujmy tych, którzy, jak np. Karl Amadeus Hartmann tudzież – mimo swych nazistowskich sympatii – Anton von Webern, uporzyciwie pracowali, pisali do szuflady, nie zważali na kłody rzucane im pod nogi, tym bardziej obecnie, w dobie grabieżczego materializmu i konformizmu. Nie ma co się przejmować społeczną znieczulicą wobec najnowszej sztuki wysokiej. Inaczej nie pozostanie nic innego tylko się poddać – a poddanie się nie jest tak interesującym jak podjęcie wyznania, walka, nawet w osamotnieniu, na własną rękę.

W osamotnieniu, na własną rękę walczy Sławomir Dobrzański, jedna z osób, na których przychodzi mi się wzorować. Sam o tym nie wiedząc, Sławomir inspirował mnie nie tylko jako kompozytora, ale również jako człowieka.

Urodził się we Wrocławiu, w maju 1968 w rodzinie kresowych (naturalnie!) wygnańców. Studiował w ówczesnej Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie (dzisiaj to Uniwersytet Muzyczny). Bardzo charakterystycznych wyborów dokonał wybierając nauczycieli: studiował pod kierunkiem wspaniałej Reginy Smendzianki, ale także u Jerzego Maciejewskiego i Andrzeja Dutkiewicza – od tegoż nauczył się cenić muzykę współczesną, której Dutkiewicz jest nieprześcignionym interpretatorem zajmując się przy tym kompozycją (moim zdaniem Dutkiewicz należy do najbardziej niedocenionych polskich twórców). Potem nastąpiły studia uzupełniające, w tym u legendarnego Mieczysława Horszowskiego (Sławomir był jednym z ostatnich jego studentów) oraz Wiktora Mierzanowa. Dobrzański jest więc kontynuatorem wielkiej tradycji romantycznej, lecz – co jakże ważne – wzbogaconej o doświadczenie współczesne. Nie gra (nigdy nie grał) muzyki awangardowej, koncentruje się na mało znanym repertuarze standardowym, niemniej chyba mogę przypisać sobie zaszczyt „zmusze-

nia” go do gry współczesnych dzieł wychodzących poza ramy konwencjonalnej estetyki romantyczno-postmodernistycznej – jego potencjał jest i na tym polu olbrzymi. Co mi się u Dobrzańskiego podoba to niezwykle, nigdy niezaspokojony, głód wiedzy.

To właśnie owo pragnienie poznawania rzeczy nowych zachęciło go do studiów w Stanach Zjednoczonych, gdzie w roku 2001 uzyskał tytuł doktora nauk muzycznych w University of Connecticut. Być w USA artystą i, co więcej, zdobyć reputację umożliwiającą podjęcie pracy w dobrej uczelni, jest strasznie trudno. Sami Amerykanie podkreślają, że konkurencja jest u nich bezwzględna, nieubłagana, okrutna. Tak jest w rzeczy samej, a kto nie wierzy może się oprzeć na własnym doświadczeniu.

Nasz artysta osiągnął ewidentny sukces, zdobył akademicką pozycję w Kansas State University. O jego klasie świadczy choćby nadana mu w 2021 nagroda dla wyróżniającego się wykładowcy (The Outstanding Teacher Award). Dobrzański jest nie tylko pianistą, co – znowuz! – trzeba uznać za cechę dodatnią. Jako muzykolog w roku 2006 opublikował pierwszą w języku angielskim monografię Marii Szymanowskiej: *Maria Szymanowska – Pianist and Composer*, która bardzo słusznie spotkała się z wysoką oceną krytyków, i to nie dla jej pionierskiego charakteru (to też), ale jakości wywodu – Dobrzański to erudyta, którego myślowe horyzonty i wiedza mogą imponować najbardziej wybrednym znawcom wybieranych przez niego tematycznych obszarów.

Sławomir Dobrzański swój repertuar wybiera starannie. Obcą mu jest obsesja szopenowska, która tyłu pianistów doprowadziła do artystycznej śmierci. Pracuje wolno, acz z ogromną wytrzymałością. Cyzeluje. Gra każdą nutę, jak gdyby w życiu ostatnią. Gra pięknie. To jest najwyższej klasy jubiler klawiatury.

Zżyj się z życiem.

*

Z zakazanych owoców najśłodszy dżem.

*

Choroba marynarzy – MORSKOŚĆ wątroby.

*

W bibliotekach przechowywana mądrość, w bankach –
chciwość!

*

Najstraszniejszą bronią są śmiercionośne myśli.

*

Lepsze piękne kłamstwo, czy brzydka prawda?

*

W krainę cieni podążaj z latarką serca.

*

Szkoda tracić życia na pięć minut sławy.

*

Moralność gubi się w drodze po władzę.

*

Nie szukaj tęczy w popiele.

*

Czasem ślubna obrączka staje się kulą u nogi.

*

Aby się nie zagubić, trzeba umieć się odnaleźć.

*

Źle gdy do głosu dochodzą donosy.

*

Nikt wolnych myśli nie uwięził!

*

Erotyka – chwyty poniżej pasa.

*

Nie szukaj z szumowinami klarowności.

*

Za kielbasę wyborczą zre kawior władzy.

*

Niewierna żona jest zdradolubna.

*

Co ma rozwiać wątpliwości wiatru?

*

Nałóg – nieudolne zagłuszanie bólu istnienia.

*

Nie daj się nabić w butelkę, bo się nie wybijesz!

*

Kiedy los ci gra na nosie – ty mu na fujarcie.

*

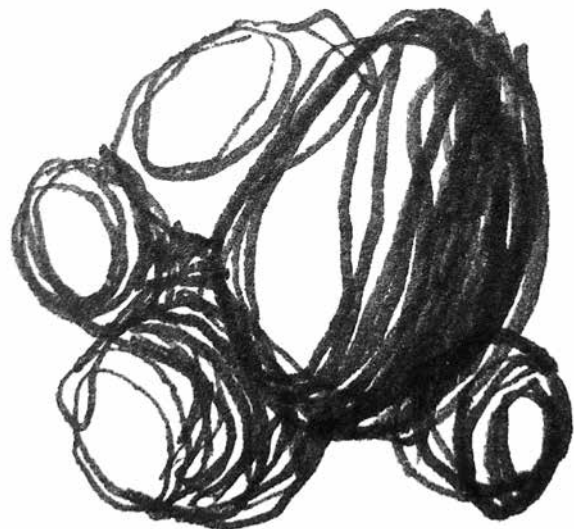
Źle gdy prawo przykrywką bezprawia.

*

Dyktator ma katów za klakierów.

*

Na szczęście czasu nie można sprywatyzować.





*Głupota mnoży się stadnie, mądrość pojedynczo.

*

To dziwne: w krainie cieni światłość wiekuista...

*

Czy niewierzący może być wiary-godny?

*

Do pewnego wieku nagość jest najatrakcyjniejszym strojem.

*

W dzisiejszych czasach tylko śmierć nie potrzebuje reklamy.

*

Ptaki – w przeciwieństwie do ludzi – nim zniosą jaja
wpierw budują gniazda.

*

Dusza – to krater do wyrzutów... sumienia.

*

Orzeł z łękiem przestrzeni, to dopiero ma przejebane!

*

Marzenia – witraże pragnień.

*

Prawdziwa maska? Tylko pośmiertna!

*

Łysemu tęskniej do kudłatych myśli.

*

Próżno szukać kolorów w teatrze cieni.

*

Święte racje zwykle z piekła rodem.

Głupota to wybrakowana mądrość.
Wolności do twarzy w kajdanach.

*

Tylko czas się nie starzeje.

*

Gdy w smrodzie żyjesz, to nie czujesz smrodu.

*

Rower nigdy nie dogada się z czołgiem.

*

Z krzyku milczenia nie wyciśniesz.

*

W puszczy jodłowej świerk intruzem.

*

Jako umarłemu kadzidło, tak żywemu obietnice wyborcze.

*

Szczekający pies ujada ciszę.

*

Co ci po wietrze, gdy nie masz żagla?

*

Ludzie mordują w imię boga, któremu na imię diabeł...

*

Nie po drodze mi z bezdrożem.

*

Waham się jak ciśnienie: jeszcze się podnieść, czy już spadać?

*

Czas goi rany. I zadaje nowe...

Alina Kowalczykowa

9 lutego 1936–13 sierpnia 2022

Wiecznie ogarniająca przyjaźń

Marian Kisiel



Profesor Alina Kowalczykowa (dla przyjaciół, których miała wielu: Alina, a dla tych, którzy wstydziła się różnicy wieku i ewentualnej niestosowności: Pani Alina) była wielkim darem niebios. Wielkość, która negocjowała wielkość; skromność, która onieśmielała; szczodrość, która kazała szukać sposobów, żeby się odwdziżyć. Ilekroć spotykałem się z Nią, czułem się wyróżniony.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Było to na pewno w połowie lat 80., na jakiejś konferencji skamandryckiej, które organizował wówczas prof. Ireneusz Opacki. Pamiętam, że odbieraliśmy Alinę (ten jeden raz pozwolę sobie na tę poufałość, ale później już nie, choć byliśmy po imieniu) na dworcu w Sosnowcu. Przyjechała z doc. Januszem Stradeckim, potem jechaliśmy chyba do Cieszyna. Urzekła od pierwszego spotkania otwartością, bezpośredniością, ciekawością drugiego człowieka. Była żywiołowa, gadatliwa. Była mądra i dobra. Dla mnie, wtedy przed czterdziestu laty, była wyłącznie mądra.

A potem – długie lata nieobecności. Przecież rozumiała: jakiś magister z prowincjonalnego uniwersytetu miał zaprzętać swoimi wątpliwościami głowę Pani Docent (wtedy była docentem)? Zresztą w naszym uniwersytecie karty były rozłożone jasno. Dlatego bliską więź, podobnie jak moja zmarła przyjaciółka Basia Gutkowska, nawiązywaliśmy z książką Pani

Profesor o programach i sporach w dwudziestoleciu międzywojennym. Była naszą przewodniczką po świecie, który dopiero zaczęliśmy zgłębiać. Ale odrzucamy prywatne wspomnienia, które zwykle wywyższają wspomnianego, a nie osobę wspomnianą, i oddajmy honor Alinie. Profesor Alinie Kowalczykowej.

Jej żywiołem były (jednocześnie) teraźniejszość i historia. Wychowana w domu o tradycjach społecznikowskich, sama przez lata niosła – i zapalała do jej noszenia – ideę „świata pracy”, mądrych i szlachetnych osobowości, które powinny złączyć się w budowaniu tego, co służy wszystkim. W Jej postawie nie było nic wyniosłego i oczekującego na splendor. Jako skromny „pracownik kultury” (tak w międzywojniu nazywano i profesorów, i bibliotekarzy), otwarty sercem, nieograniczony myślą, tworzyła i współtworzyła przez lata różne środowiska szkolne i naukowe. Dzisiaj pozostaje we wdzięcznej pamięci zarówno krajowego grona akademickiego – Białegostoku, Katowic, Kielc, Łodzi, Rzeszowa, Warszawy, jak również polonistów zagranicznych – z Białorusi, Litwy, Ukrainy. Jej obecność w kulturze stale jest widoczna wśród tych, którzy na obrzeżach centrum niosą – nieogostycznie! – ten sam bagaż odpowiedzialnego uczestnictwa dla wspólnego dobra.

Grono uczniów Pani Profesor jest większe niż to zostało udokumentowane w polskiej bazie nauki, a krąg Jej współ-

pracowników nie daje się w ogóle policzyć. Kiedy w roku 2012 ukazała się jubileuszowa księga prac ofiarowanych wybitnej uczoney, nadano jej tytuł *Stolice i prowincje kultury*. Nacisk został tu położony nie tylko na słowo: „stolice”, ale i na „prowincje”. Była w tym też ukryta intencja, że każda „prowincja” ma swoją „stolicę”. Parafrazując słowa Marii Janion o romantycznym marzycielu, można by powiedzieć, że stolice są tam, gdzie ich nie ma, a nie ma ich tu, gdzie są. Profesor Alinie Kowalczykowej – znakomitej badaczce romantyzmu i współczesności – ta parafraza musiałaby przypaść do gustu. Ale też była Ona tej sentencji najdoskonalszym przykładem.

Urodziła się w Warszawie 19 lutego 1936 roku i z tym miastem związała swój los. Jej rodzicami byli Irena z Nasfeterów (1903–1983) i Stanisław Lorentz (1899–1991), profesor historii sztuki, muzeolog, niebywale zasłużony dla ratowania kultury narodowej w czasie II wojny światowej. Starszą siostrą Aliny Kowalczykowej była Irena Nowak (1928–1995), socjolog, uczennica Stanisława Ossowskiego i współpracowniczka Marii Ossowskiej. Wyniesiony z domu szacunek do pracy, ludzi i wartości, wpłynął na późniejszy życiorys Aliny Lorentzówny. Podobnie jak jej ojciec (niestrudzony społecznik i strażnik kultury narodowej), a także jej siostra Irena (współzałożycielka Towarzystwa Kursów Naukowych i krzewicielka wolnej myśli), i ona – w pierw-

studentka fizyki, a później filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego – całą swoją energię skierowała w stronę tego, co „przy człowieku”.

Jej postawę znamionowała – jak przeczytamy w sylwetce otwierającej tom *Stolice i prowincje kultury* – „szczególna wrażliwość na człowieka i jego sprawy, zwłaszcza na człowieka działającego w kulturze, określającego swoją tożsamość przez aktywny wybór tradycji i kształtowanie teraźniejszości, zmagającego się z codziennością, przeżywającego własny los tyleż w przestrzeni publicznej, co w obszarach prywatności i nieoficjalności, podejmującego codzienny wysiłek nadawania znaczenia swojemu życiu i sensu własnym działaniom”. Każdy, kto znał Panią Profesor, wie, że nie były to słowa na wyrost. Ona, rzeczywiście, z taktem, największą skromnością nawet, pytała o to, co najważniejsze: o los i sens. Nie rozgraniczała literatury i życia. Wiedziała, że w literaturze zamyka się konkretne doświadczenie, a w nim jest niepodrabialna opowieść o tym, co było i już nigdy się nie powtórzy.

Wdzięczni uczniowie napisali, że Uczoną interesowała „zmieniająca się rzeczywistość i ludzie w niej zanurzeni, wyrastanie teraźniejszej kultury z gleby wielowiekowego dziedzictwa, bliskość sfery publicznej i prywatnej, a także zmienny rytm codziennego życia, jego konkretność, namacalność, realność. I oczywiście sztuka – jako forma toczona na

bieżąco i na serio dialogu z rzeczywistością”. Chłonność: tak należałoby zatem określić owo bezustanne zainteresowanie światem, jego urodą i kolorystyką, ludźmi uczestniczącymi w przemianach czasu i zdarzeń. W jakimś sensie – niemetaforycznym, lecz dosłownym – tę postawę należałoby nazwać utylitarną. Piotr Chmielowski tłumaczył to słowo jako „użyteczność”.

Jak użyteczna była Profesor Alina Kowalczykowa?

Po ukończeniu studiów polonistycznych podjęła pracę w Instytucie Badań Literackich PAN, najpierw jako dokumentalistka, a później po odbytych stażu doktoranckim i obronionej – w klasie prof. Kazimierza Wyki – pracy doktorskiej o międzywojennej liryce Antoniego Słonimskiego, jako adiunkt. Tutaj uzyskała habilitację (1976), została zatrudniona jako docent, a następnie – po nadaniu tytułu naukowego – jako profesor (1991). Jednocześnie uczyła na innych uczelniach: w Kielcach, Łodzi, Rzeszowie. Przez cały ten czas służyła całemu środowisku, pełniąc rozmaite funkcje w Towarzystwie Popierania i Krzewienia Nauk, Komitecie Nauk o Literaturze Polskiej PAN, Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów, Polskim PEN Clubie. W 1995 roku powołała Stowarzyszenie Nauczycieli Humanistów „Prowincja”, łącząc nas w tym, co najcenniejsze: w obrębie najlepszych wzorów edukacji humanistycznej, niewyłącznie polonistycznej, lecz kulturowej i interdyscyplinar-

nej. Bezinteresowna strażniczka pamięci o Stefanie Żeromskim i jego rodzinie, kustoszka jego muzeum w Konstancji, była także propagatorką dzieła pisarza. Jako charyzmatyczna wykładowczyni od lat wpływała na postawy najlepszych uczniów, w tym również na tych, którzy sprawdzają swoje umiejętności i kompetencje podczas Olimpiady Literatury i Języka Polskiego.

Profesor Alina Kowalczykowa była literaturoznawczynią. Już wiemy, że nie do zastąpienia. Tylko ludzie nie do zastąpienia potrafią swoją opowieścią wprowadzić nas w świat, o jakim marzymy. Pani Profesor przywoływała światy, które odeszły w niepamięć wraz z ich ostatnimi przedstawicielami. I te romantyczne, i te z międzywojnia. Pod jej piórem ożywało miasto (Warszawa) i ożywał świat (Polska). Powiedzieć można, że w książkach i studiach Uczonej stawały naprzeciw siebie dwa stulecia, tak mocno są z sobą sprzęgnięte, że i dzisiaj odczuwamy ich morderczy uścisk. Romantyzm i współczesność zatruta romantyzmem – oto główna troska i fascynacja Uczonej.

Napisała w zakończeniu popularnego zarysu *Czym był romantyzm?!*: „Niezależnie od [...] urzędowo kształtowanej hierarchii i waloryzacji trwa romantyzm a świadomości narodowej i w kulturze literackiej jako tradycja w Polsce wciąż najbardziej żywotna, jako najbardziej interesująca paralela dla współczesnej problematyki patriotycznej, etycz-



nej i egzystencjalnej. I jako stale żywe źródło inspiracji artystycznej”.

Profesor Alina Kowalczykowa zaczynała jednak od lektury współczesności, a dopiero później jej myśl wypełnił romantyzm. Współczesność rozumiała tak, jak inni przedstawiciele jej pokolenia – zaczynała się ona od międzywojnia. Najwięcej uwagi poświęciła Skamandrytom, głosicielom teraźniejszości, lecz w uścisku z literacką (tematyczną, gatunkową, językową) przeszłością. Tym, co ją interesowało, była socjologia życia literackiego. Jak łączy się z sobą pisarze/poeci? Na jakiej zasadzie? W którą stronę kierują ostrze manifestów i pamfletów? Czy literatura jest dla nich sprawą warsztatu czy idei? Czy potrafią się przy tym bawić, a jeżeli tak, to w jaki sposób? Socjologia życia literackiego nie jest, twierdziła uczona, dodatkiem do literatury, ale jej przedustawną koniecznością.

Takie przesłanie niesie dokumentacyjna, a jednocześnie dowcipna monografia *Programy i spory literackie w dwudziestoleciu* (1978, 1981). Wychowało się na niej kilka generacji polonistów. W wartko napisanej i niestroniącej od anegdoty książce poznaliśmy dancingowy czar „Ziemiańskiej” i okrutny rygor Berezy Kartuskiej, radość początków Niepodległej i strach przed jej nieuchronnym końcem. Profesor Alina Kowalczykowa w tej zbójeckiej książce – wydanej po raz pierwszy na sześćdziesięciolecie Polski Odrodzonej – unaoczniała nam, że „radość z odzyskanego śmietnika” nie jest tylko poznawczym optymizmem, ale także perspektywą nieuchronnej utraty. Warto więc może wznowić dzisiaj tę pracę, by mogli na niej uczyc się głosiciele prawd wydumanych, ponieważ ma ona w sobie zarówno rześkość źródlanej wody, jak również smak przygody, która już nigdy się nie powtórzy.

Współczesności poświęciła Uczona więcej uwagi. Studia o Antonim Słonimskim i Julianie Tuwimie, o Janie Lechoni i Władysławie Broniewskim, o Józefie Piłsudskim i Stefanie Żeromskim (oraz jego *Przedwiośniu*), uświadamiają, że wraz z interpretatorką – krok w krok – idzie dokumentalistka, archiwistka, strażniczka chwil i momentów. Chcę przez to powiedzieć, że Profesor Alina Kowalczykowa nie ufała temu, co nie jest źródłem. Wielokrotnie sprawdzała, czytała na nowo, powracała do szpargałów i zwitków z tą samą pewnością, że ukryta jest w nich niezbywalna prawda. Jej lektura korespondencji – między innymi – Aleksandra Wata, Jerzego Stempowskiego, Czesława i Janiny Miłoszów czy Stanisława Pigionia i Moniki Żeromskiej przekonują, że słowo prywatne jest kluczem nie tylko do psychologii pisarza, ale w ogóle do epoki, w jakiej żył, funkcjonował, z którą brał się za bary i od której uwolnić się nie mógł.

Profesor Alina Kowalczykowa była kimś więcej niż edytorem tekstów i interpretatorem sensów niejawnych. Swoją znajomością epoki obdarowywała innych. Nie ma wśród liczących się dzisiaj badaczy współczesności nikogo, kto nie korzystałby z jej bezinteresownej wypowiedzi. Składają się one na szereg niezapisanych szkiców, może książek. Nie zawsze możemy je odnaleźć w „przypisach wdzięczności”.

Romantyzmowi poświęciła Uczona znacznie więcej uwagi niż współczesności. W cytowanej już sylwetce z tomu *Stolice i prowincje kultury* przeczytamy, że Pani Profesor z niespotykaną konsekwentnie podkreślała te „rysy epoki, które przez lata uznawano za drugoplanowe, wręcz marginalne: europejskość i uniwersalizm polskiego romantyzmu, zmagania ówczesnych pisarzy z cywilizacją techniczną i ich zainteresowanie miastem, fascynację codziennością i szaleństwem, problemami estetycznymi i rolą groteski, filiacje literatury romantycznej z malarstwem i teatrem, znaczenie pisarstwa kobiet”.

Nic dziwnego: Profesor Alinę Kowalczykową interesowało w romantyzmie to samo, co we współczesności dostępnej jej pamięci i interlokutorów. Uczona nie wydzielała sztucznie epok literackich czy historycznych jako związków idei i/lub programów estetycznych, ona chciała je widzieć – i widziała – w ich prawdziwości, to znaczy – w życiu codziennym a nie wyobrażonym, zmaganiach z ciałem i duchem. Każdy świat – ten miniony i ten, w którym jesteśmy teraz – ma swoją niepowtarzalną postać. Badaczka chciała go opisać, dlatego sięgała do świadectw, a ponieważ nie ma bardziej wiarygodnych niż literackie, opierała się na dokumentacjach pragnień, notacjach kuchennych, skreśleniach i papierowych przetarciach. Dlaczego to ją tak interesowało? Dlaczego poświęcała czas na coś, co jest może niepoznawalne? Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Czasami szukamy niepoznawalnego.

Być może dlatego w literaturze romantycznej zainteresowali Uczoną romantyczni szaleńcy, Juliusz Słowacki (pisma mistyczne, *Kordian* i *Sen srebrny Salomei*), dramat i teatr romantyczny. Literatura nieoczywistości. Autorka *Romantyzmu. Nowego spojrzenia* przyglądała się tej nieoczywistości w ponownej lekturze. Kiedy przed laty jej przyjaciół badaczy wieku XIX interesował historyzm, ona pytała o egzystencję; kiedy tamtych – idee, ją – codzienność, kiedy tamtych polskość, ją – europejskość. Nie było w tym przekory. Raczej odejście od wyobrażeń utrwalających się jako kanoniczne w powszechnej świadomości. Znakomicie pokazuje to pierwszy tom *Jej Pism zarzuconych i rozproszonych* skupionych „wokół romantyzmu”, a przecież nie „wokół”, ale w jego „centrum”, w istocie samej, w „duchu”. Tom

drugi nosi podtytuł mniej zobowiązujący: „tematy poważne i mniej serio”. Zamyka się w nim postawa uczzonej skiero- rowana „wobec współczesności”, a – jak wiemy – współczesność nie jest godna tego, by ją traktować wyłącznie poważnie.

O jednym nie wolno nam zapomnieć. Pani Profesor w ramach opracowań Biblioteki Narodowej udostępniła kolejnym pokoleniom czytelników wzorcowe odczytania romantycznych tekstów. Jednym z jej ostatnich przedsięwzięć była praca nad edycją narodowej epepei z epilogiem – *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza. To arcydzieło odczytywała jednak inaczej niż poprzednicy (profesorowie Stanisław Pigoń, Konrad Górski, Zbigniew Jerzy Nowak); nie posągowo, lecz rozumowo, najbardziej współcześnie; chciała, żeby dotarło ono do nowych pokoleń uczniów, a więc do tych „niewolników smartfonów”, którzy nie będą ślepić za filologicznym szczegółem, ale może odkryją w utworze nadzwyczajny romans – erotyczny i patriotyczny. Inne edycje w ramach Biblioteki Narodowej (*Kordian*, *Sen srebrny Salomei*), a jeszcze kanoniczne opracowania poezji Skamandrytów czy korespondencja Aleksandra Wata, wprowadziły Profesor Alinę Kowalczykową do polonistycznej wieczności. Nie każdy się tam znajdzie. Dlatego musimy podkreślić, że książki, artykuły i recenzje znakomitej uczoney są dzisiaj obowiązkową lekturą humanisty, polonisty, tropiciela polskiej tożsamości. Jest wielkim szczęściem, że na swojej drodze mogliśmy spotkać tak wielką Uczoną i razem skromnego Człowieka.

Przyjaciele i najbliżsi współpracownicy wskazywali na takie cechy Pani Profesor, jak: „niezwykły optymizm, wiara w ludzi oraz cudowna umiejętność obdarzania innych zaufaniem i przyjaźnią”. Tak, Profesor Alina Kowalczykowa była chłonna ludzi, nie mierzyła się z nimi na erudycję, bo takie mierzenie się – mówiąc Jej słowami – „jest kompletnie niemądre”, nic nie wnosi ani do kontaktów z ludźmi, ani do kultury. Natomiast trwanie „przy człowieku” jest ustawiczną pracą dla jego dobra, nawet jeśli on o tym nie wie lub może nawet tego nie chce. Tego właśnie nas uczy romantyzm: przekraczania własnych ograniczeń ku wyższemu celom.

Odszedł dobry, mądry Człowiek. Przyjaciółka uczniów i nauczycieli. Nauczycielka, która powtarzała, że najczęściej nauczyła się od innych. Będzie nam Jej bardzo brakowało. W świecie wiecznych pożegnań, to jest bardzo bolesne. ■

We wspomnieniu wykorzystałem fragment recenzji napisanej na okoliczność nadania Uczoney doktoratu *honoris causa*. Zob. *Profesor Alina Kowalczykowa Doktor Honoris Causa Uniwersytetu w Białymstoku. Białystok, 11 kwietnia 2018 roku*. Wydawnictwo Prymat, Białystok 2018, s. 41–49.

Ślubny prezent. O przyjaźni Jerzego Buzka i Jana Kubisza

JAN MALICKI

Obaj pochodzili z Końskiej, jednej z najstarszych wsi na Śląsku Cieszyńskim, dziś dzielnicy Trzyńca. Rodzice obu byli rolnikami; posiadali małe gospodarstwa, jak niemal wszyscy tutejsi mieszkańcy. Obaj chodzili do ewangelickiej szkoły ludowej, założonej jeszcze w roku 1791, w której uczono w matczynym języku, jak pisał ks. Jan Heczko, w gwarze polsko-śląskiej. To zdanie Stanisława Zahradnika. Józef Ondrusz zaś miał odmienną opinię. Pisał, iż „wychowanie i nauczanie młodzieży szkolnej już od najniższych klas odbywało się w duchu i języku niemieckim”. W każdym razie obaj nasi bohaterowie znali ten język na tyle dobrze, że mogli pójść do cieszyńskiego gimnazjum ewangelickiego. Poszedł – urodzony 24 stycznia 1848 roku – Jan Kubisz. O swoich gimnazjalnych czterech latach napisze, bodaj w najważniejszej książce swego życia, w „Pamiętniku starego nauczyciela”, wydanej w 1928 roku. Ale ten wybór i jego efekt był dla wielu kolegów zaskakujący. To już nie tylko pogłębienie znajomości języka, lecz wręcz reorientacja kulturowa i światopoglądowa młodzieńca. Józef Ondrusz, nauczyciel, folklorysta, zbieracz baśni, opowieści, przysłów ze Śląska Cieszyńskiego uważa, że on – „Językiem polskim, którego znajomość wyniósł z domu rodzicielskiego, gardził od tego stopnia, że trudnymi polskimi wyrazami nie bardzo się zachwycał, natomiast mowa niemiecka brzmiała w jego uszach, jak najpiękniejsza muzyka”. Ta fascynacja młodego, osiemnastoletniego chłopaka, stojącego „pomiędzy” wysoką literaturą niemiecką a kulturą pisaną wiejskiej chaty, zostanie przełamana przez polską książkę. Zawsze powtarzam; na Śląsku Cieszyńskim to nie jest slogan. To zjawisko kulturowe ugruntowane bogatą tradycją, ale też głębokim szacunkiem do książki i wiedzy. Począwszy od literatury kancjonałowej XVII i XVIII stulecia, poprzez szkoły, czytelnie ewangelickie, jak ta w Cieszynie, lub katolickie, jak ta w Jabłonkowie, wokół których koncentrowało się życie intelektualne – wykłady, wieczory literackie, wspólne śpiewanie; życie artystyczne, czy wręcz życie organizacyjne Towarzystw. I tak na przykład już na rok przed narodzinami Jana Kubisza powstaje w Cieszynie przy gimnazjum efemeryda: Towarzystwo Uczących Się Języka Polskie-

go, które, co prawda, w momencie zezwolenia na naukę polskiego jako języka nadobowiązkowego i wyjazdu Andrzeja Cinciały na studia, straciło rację bytu, ale symbolicznie przetrwało, skoro księgozbiór znacznie zasiłił zbiory Czytelni Polskiej, do którą niezwykle często Kubisz nawiedzał.

Nic dziwnego, że znowu książka połączyła obu przyjaciół. Z dokumentów, które pozostały, wynika, że kontaktowali się oni ze sobą codziennie, po południu. Jerzy Buzek posiadał bowiem dużą, jak na owe czasy, bibliotekę, z której pożyczał koledze współczesną literaturę polską. Był oczywiście Mickiewicz, był Kaczkowski i Korzeniowski (Apollo), nade wszystko zaś Mieczysław Romanowski, bodaj ostatni polski romantyk. Kubisz pisze o tym w przedmowie do rękopiśmiennego zbioru „Na biały wieniec” z roku 1872, adresowanego do Buzka: „Jerzy, mój przyjacielu. Tobiem winien wiele, Dałeś książki z wierszami...” I dalej:

„Wiersze Romanowskiego czytałem,
śpiewałem,
A z tymi pieśniami i wdziękami wierszy
Miłość kraju, by jad wsiąkała do pieśni
Zwolna, lecz pewnie.”

Właściwie od tego momentu nastąpił zwrot, a właściwie powrót do świata kultury rodzimej; śląsko-polskiej. Jeszcze tylko przypomnienie pobytu w „preporandzie”, zakładzie kształcących w ciągu dwóch lat nauczycieli, i poczynając od 4 stycznia 1869 roku rozpoczynając pracę nauczycielską. Będzie on jej wierny przez 40 lat, postrzegany przez uczniów jako „akuratny, ostrzejszy. Dzieci go bardzo respektowały, bały się go też” – wspomina Józef Bubik z Gnojnika. Ale był też i poetą. Nie czas na przypominanie całego dorobku twórczego. Dość jedynie wspomnieć, iż jest on autorem swoistego hymnu zaolziańskiego, jakim jest pieśń „Płyniesz Olzo”, śpiewanej przy każdej uroczystości polskiej społeczności na Zaolziu, tak wielkich, jak „Gorolskie Święto”; i tak małych, jak spotkania w szkole jego imienia w Gnojniku.

Ale jeszcze ciekawsze są losy niezwykle go rękopisu zatytułowanego „Na biały wieniec”, przeznaczonego właśnie dla Jerzego Buzka. Kubisz wybrał, przepisał i przygo-

tował wybór dwudziestu wierszy, w większości sonetów, dla przyjaciela z okazji jego ślubu. Znajdą się tam wiersze zaskakujące w swojej tematyce; od takich jak „Nad Olzą”, z pytaniem: „Po co dumać o Dniestrze i Niemnie”, poprzez „Kwiatek na biały wieniec” z przypisem o weselu 1868 roku, a opublikowany dopiero w „Gwiazdce Cieszyńskiej” dwadzieścia lat później; po zamykający wiersz „Do fajki”.

Ale mnie osobiście zaskoczył wiersz zatytułowany „Wieczór, siedząc...”, stanowiący parafrazę jednej z najpiękniejszych fraszek Jana Kochanowskiego. Nastroj oczekiwania na ukochaną, zniecierpliwienie, złość... Te same uczucia, nastroje, myśli. Nieprzypadkowo przywołałem tu skojarzenia z wielką literaturą polską. Owe asocjacyjne nawiązania dowodzą już nie tylko głębokiej znajomości literatury, ale umiejętności korzystania z przeszłości w nowym, oryginalnym kształcie. To swoista, a jakże wciągająca, gra z czytelnikiem.

Ostatni znany mi ślad kontaktów Jana Kubisza i Jerzego Buzka pochodzi z roku 1884, „kiedy to na uroczystości ku uczczeniu 100. Rocznicy Powstania Kościuszkowskiego u p. Jerzego Buzka w Końskiej (24 marca 1884 roku) – Józef Buzek wniósł toast na cześć Jana Kubisza, *naszego poety śląskiego*, Jan Kubisz, odpowiadając na toast, odezwał się w ten mniej więcej sposób: *Przybyłem i nie żał mi, bo nie myślałem, żeby tak daleko było doszło odrodzenie śląskiej młodzieży. Jestem tak wzruszony, że słów nie znajduję. Dziękuję wam, boście mnie podnieśli, popchnęli do pracy. Poetą śląskim mnie nazywacie, nie wchodzę w to, o ile to jest uprawnione, ale już w młodzięcym wieku czulem miłość do tego ludu, chciałem budzić drugich, w tej myśli pisałem dla młodzieży; miłość ta już w waszych sercach kwitnie, lecz przyjdą walki, które ją będą wyrwać. Nie dajcie jej sobie ziać, bo człowiek, który jej nie posiada, nie jest człowiekiem. Oto słowa zawierające własne credo Jana Kubisza” (G. Przeczek: „Jan Kubisz na tle epoki. Pamięci Jana Kubisza”, s. 7).*



Ławkowe myślniki

Jak poinformował Mariusz Wal, rzecznik prasowy Parku Śląskiego, na ławkach Alei Gwiazd Parku Śląskiego umieszczono osiem aforyzmów autorstwa dr Łukasza Zimnocha. Inauguracji tej stałej ekspozycji, która odbyła się w ostatnią sobotę sierpnia, towarzyszyła gawęda autora aforyzmów pt.: „Śląsk w sztuce”. Projekt o nazwie „Ławkowe myślniki” jest realizowany w ramach stypendium Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury. W ramach tego przedsięwzięcia na parkowe ławki wzdłuż Alei Gwiazd trafiły takie aforyzmy jak: „Wolę tych, co ciągle mają wątpliwości, niż tych, co zawsze mają rację”, „Ten co raz czyta, dwa razy myśli”, „Sukces w życiu to nie miejsce pierwsze, a miejsce właściwe”.

Dotychczas „Ławkowe myślniki” zawitały do Katowic, Świerklańca, Pyskowic i Czerwionki – Leszczyn.

Te i inne aforyzmy zostały promowane do oparc ławek. Zdaniem władz Parku Śląskiego te krótkie maksymy to zaproszenie do refleksji, zadumy, ale przede wszystkim to zaproszenie do rozmowy. Autor aforyzmów, dr Łukasz Zimnoch, jest prezesem Stowarzyszenia Wrazidlok, pomysłodawcą Szlaku Magnatów Przemysłowych, realizatorem widowisk multimedialnych, koncertów, pokazów mody. Autor dwóch książek: „Marketing dla naukowca i inżyniera” i „Po przebudzeniu”. Stypendysta marszałkowski w 2022r. w dziedzinie kultury.

PRZESTRZEŃ SŁÓWA **NIEZNANE**



TYMON TYMAŃSKI
One Man Show

koncert
spotkanie

+ promocja książki „Sclavus”
(wyd. Cześć Proste, 2021) 

15 września 2022
(czwartek) godz. 18.00

ZAGŁĘBIOWSKA MEDIATEKA
Sosnowiec, ul. Kościelna 11

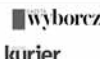
prowadzenie:
Szymon Kłoska

WSTĘP WOLNY

ZNAJDZIESZ NAS NA:

www.biblioteka.sosnowiec.pl

 mbpsosnowiec  bibliotekasosnowiec  mbp_sosnowiec  mbp_sosnowiec  mbpsosnowiec



104 Rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. dr hab. Ryszard Kosiński



Wystawa zdjęć, sztandarów i artefaktów

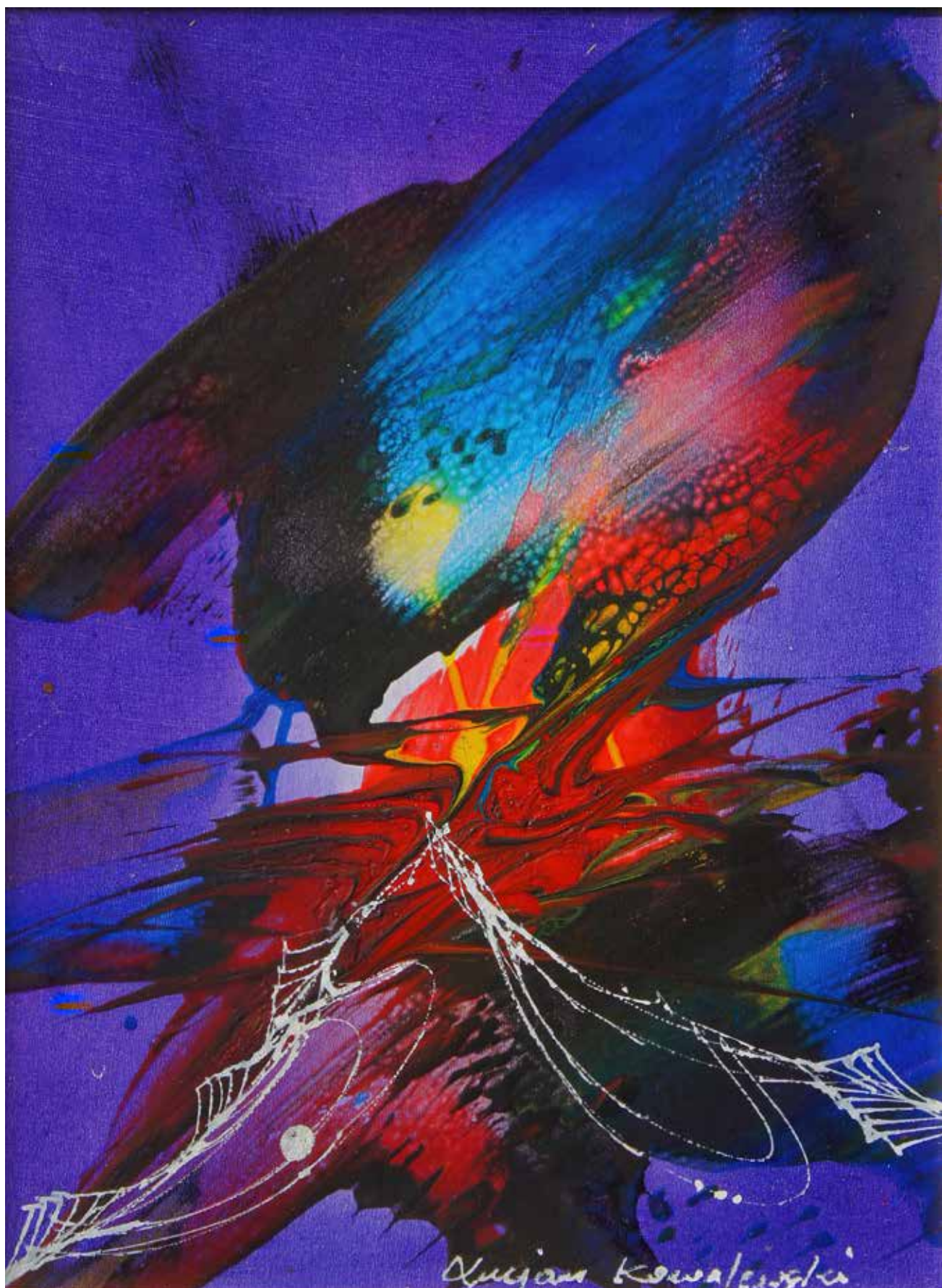
TARNOWSKIE GÓRY. W setną rocznicę przyłączenia części Górnego Śląska do Rzeczypospolitej Polskiej – 26 czerwca 2022 otwarto wystawę zdjęć z kolekcji Leszka Wałigóry i Marka Wrońskiego. Zwiedzanie bezpłatne po wcześniejszym uzgodnieniu telefonicznym: 32-285-50-30. Tarnowskie Góry, Muzeum Instytutu Tarnogórskiego, ul. Ligonia 7.



Sprostowanie

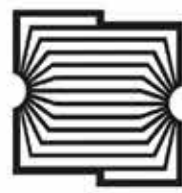
Redakcja miesięcznika „Śląsk” przeprosza p. dr Katarzynę Szkaradnik, autorkę eseju Buntownik z Zaolzia i kamrat z „Zarania”, opublikowanego w numerze majowym. Zdjęcie na s. 41, ilustrujące esej, nie jest fotografią Ludwika Brozka, „śląskiego Estreichera”. W tym miejscu dołączamy prawdziwe. Bardzo dziękujemy p. dr Krzysztofowi Brozkowi za udostępnienie fotografii jego stryja, wyrażając jednocześnie żal, że tak niefortunna pomyłka miała miejsce.





Magiczna pułapka wiecznego zagubienia

Lucjan Kowalewski (1950), mieszka w Krościenku nad Dunajcem, malarz abstrakcjonista, grafik i rzeźbiarz. Czytelników, którzy nie obawiają się pułapki, ani nie czują zagubieni patrząc na obraz Kowalewskiego zapraszamy do numeru wrześniowego, gdzie przedstawimy więcej ilustracji i próbę objaśnienia „magii” tego artysty.



Zagłębiowska
MEDIATEKA

spotkanie z
PRZEMYSŁAWEM

ZARSKIM

autorem bestsellerowych kryminałów,
pochodzącym z Sosnowca

16 września 2022

godz. 18.00

Aula Zagłębiowskiej Mediateki
ul. Kościelna 11

prowadzenie
Magdalena Boczkowska

WSTĘP WOLNY!

Partnerem wydarzenia jest Studencka Księgarnia Językowa z Sosnowca

